

Tam gdzie purchawki grają i malują

— Popatrzcie za siebie; Prawda, że nasza stacja wygląda dzisiaj jak pałac z bajki? — rzekł z nie ukrywaną dumą doktor Michał Olcha.

Od tych słów, wypowiedzianych na pokładzie małego, latającego pojazdu zwanego „ślimaczkiem”, zaczyna się nasza opowieść o katastrofie pionierskiej stacji badawczej na komecie K-1 i o niezwykłym ocaleniu jej mieszkańców. O człowieku zagubionym w lodowych czeluściach wszechświata i kosmicznych przemytnikach, o tajemniczych praktykach uczonych w zwariowanej bazie na Neptunie i zbyt zachłannym kolekcjonerze, o zbyt upartym pilocie i... Królowej Śniegu (tej z bardzo starej bajki). O ślicznych niebieskich oczach zmieniających się jak niebo nad prawdziwą Ziemią i wspaniałych warkoczach, jakimi nie mogła poszczycić się żadna z komet, a także o...

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Trzy głowy odwróciły się posłusznie.

— Wu-wu-wu — stwierdził Radek, starszy syn doktora Michała Olchy.

Radek miał czternaście lat i osiem miesięcy, jasną czuprynę, szare oczy, gromadkę piegów wokół nosa

oraz zwyczaj informowania świata o stanie swoich uczuć przy pomocy dwojakiego rodzaju odgłosów:

.wszystko, co ładne, ciekawe i przyjemne, kwitował:

dźwięcznym „wu-wu-wu”, a to, co budziło jego niezadowolenie — syczącym „fu-fu-fu”.

— Wu-wu-wu! — powtórzył teraz.

— Oooo! — zawtórował mu z entuzjazmem jego dziewięcioletni brat Bartosz, zwany przez rodzinę po prostu Basiem. Przy tym okrzyku twarz Basia, z natury okrągła, upodobniła się do księżycy w pełni.

Nik Zadra też skinął głową.

— Owszem, owszem... — mruknął łaskawie. Swoje niezbyt bujne rude włosy Nik czesał gładko do tyłu, jakby specjalnie po to, by świat mógł bez przeszkód podziwiać jego wysokie czoło. Poza tym był zawsze sztywno wyprostowany, poważny, nieczuły na tak pospolite atrakcje, jak, powiedzmy, orbitalne

wesołe miasteczka czy wyścigi meteorytów, i nieznośnie pewny siebie.

Radek posłał posiadaczowi „myślącego” czoła kose spojrzenie, ale nic nie powiedział, tylko z powrotem

powędrował wzrokiem w stronę miejsca wskazanego przez ojca.

Niczym jasna, okrągła czapeczka — nasadzona na kolistą linię horyzontu — widniała tam kopuła stacji badawczej K-1. Zazwyczaj niepozorna, jakby skulona od kosmicznego mrozu, teraz przedstawiała widok niezwykły i malowniczy. Na tle czarnogranatowego wygwieźdzonego nieba jaśniał bowiem nad nią olbrzymi, przestrzenny obraz. Przecinały się w nim różnej wielkości koła i elipsy, po których krążyły kolorowe bryły. Każdy człowiek obyty z kosmosem, tak jak pasażerowie ślimaczka, na pierwszy rzut oka rozpoznawał w tym obrazie artystyczne wyobrażenie ojczystego układu planetarnego.

— Tę dekorację przygotowaliśmy już przedwczoraj — wyjaśnił doktor Olcha. — Mozoliliśmy się cały dzień, żeby jak najpiękniej zaprogramować, a potem umieścić wokół stacji specjalne laserowe projektory. Chcieliśmy godnie przywitać Dni Starej Ziemi. Kto mógł przypuszczać, że akurat w święta dadzą o sobie znać te przeklęte purchawki i, zamiast się bawić, będziemy na gwałt budować nowy posterunek obserwacyjny?! Patt postanowiła nawet upiec tort...

— Tort? — ożywił się Baś. — I co? Nie zdążyła! — jęknął.

— Owszem, zdążyła — uspokoił go ojciec uśmiechając się melancholijnie. — Wy także zdążyliście wylądować — dodał z westchnieniem.

— Całe szczęście! — wyrwało się Radkowi.

Nik skrzywił się tylko z wyższością i wycedził:

— Ja i tak byłbym teraz tutaj. Mój ojciec może lądować wszędzie, gdzie zechce. Ma specjalne pozwolenie. A poza tym przybyliśmy własną rakieta — dodał od niechcenia.

Ciche Radkowe „fu-fu-fu” zagłuszył piskliwy okrzyk Basia:

— „Własną rakieta! Własną rakieta!” Samochwała! Purchawka!

— Bartoszu! — zawołał z wyrzutem ojciec.

— On myślał o tutejszych, kosmicznych purchawkach — powiedział prędko starszy brat Bartosza, nazywanego pełnym imieniem tylko w skrajnie kryzysowych sytuacjach. — Zawsze bardzo chcieliśmy poznać twojego ojca—ciągnął—i cieszymy się... cieszymy się, że jesteście z nami — zakończył zwycięsko.

Częściowo była to prawda. Radek znał i lubił książki Olega Zadry, słynnego astrografa i podróżnika, podziwiał jego filmy kręcone w najdalszych zakątkach Układu Słonecznego. Toteż aż podskoczył z radości, kiedy wczoraj, wkrótce po ich przybyciu na kometę, dyżurująca w dyspozytorni Patt Hardy zawiadomiła szefa stacji K-1, profesora Stanka Yaica, że stateczek Zadrów podchodzi do lądowania.

— Masz, babo, placek! — jęknął wtedy profesor. Radek darzył profesora, który był znakomitym uczonym, jednym z twórców superszybkich rakiet, ogromnym szacunkiem. Ten szacunek zwiększył się jeszcze, kiedy ujrzał Yaica na własne oczy. Sprawiała to piękna siwizna profesora, jego poważna, surowa twarz, a nade wszystko — niesłychanie krzaczaste brwi, które szef stacji potrafił unosić tak, że zakrywały mu połowę wysokiego czoła. Mimo to wzmianka o placku, a zwłaszcza o babie, wydała się chłopcu nader mało wytworna, i to nie tylko przez wzgląd na osobę Olega Zadry.

Po prostu Patt była młodziutką brunetką o śniadej cerze, ogromnych zielonych oczach i ślicznej figurze. Na wszelki wypadek Radek udał, że niczego nie usłyszał, a w chwilę później rzeczywiście zapomniał i o dyplomatycznych antytalentach wielkich uczonych, i o urodzie ich niektórych współpracowniczek.

W otwartych drzwiach służby ukazały się dwie wysokie sylwetki. Słynny podróżnik — lekko szpakowaty szatyn, o twarzy opalonej na ciemny brąz i jasnych szarych oczach — śmiał się już z daleka, natomiast kroczący obok jego piętnastoletni syn, który od niedawna towarzyszył ojcu w krótszych wyprawach, zachowywał kamienny wyraz twarzy. Nik miał bladą, by nie rzec: wyblakłą, cerę i starał się sprawiać wrażenie człowieka zawsze pograżonego w najgłębszych dociekaniach.

— I cóż ja z wami zrobię! — załamał ręce szef stacji K-1. — Akurat dziś rano odkryliśmy coś, co może się okazać największą rewelacją w historii podboju kosmosu! Mamy pełne ręce roboty.

— Rewelacje to nasza specjalność — oznajmił chłodno Nik.

Te słowa, a zwłaszcza ton, jakim zostały wypowiedziane, sprawiły, że Radek, który już zamierzał wyrazić swoją radość z poznania tak znakomitych osób, cofnął się od razu.

Późniejsze zachowanie syna słynnego Olega Zadry potwierdziło tylko to pierwsze, niesympatyczne wrażenie. Nic dziwnego, że teraz Radkowi trudno było całkowicie szczerze potępić Basia, któremu wyrwał się ów fatalny okrzyk: „Samochwała! Purchawka!”

Przez dłuższą chwilę w ciasnej kabinie ślimaczka panowało milczenie. Przerwał je ponownie Baś, któ-

rego wiadomość o przygotowanym przez Patt torcie wprawiła w tak wyśmienity humor, że gładko przełknął nawet surowe ojcowskie: „Bartoszu!” Chłonąc rozanielonym wzrokiem świąteczną dekorację stacji K-1, powiedział z rozmarzeniem:

— Wiecie, to wygląda jak bardzo wielka porcja lodów a la Saturn...

Michał Olcha zaśmiał się krótko.

— Całe szczęście, że nie ma tutaj autorów naszej dekoracji, którzy włożyli w swoje dzieło tyle twórczego zapału! Nazwać artystyczną wizję Układu Słonecznego wielką porcją lodów... Nie, litości! — wzniosł ręce z komicznym ubolewaniem.

— Dlaczego? — zdziwił się szczerze Baś. — .Lody a la Saturn są bardzo piękne — podkreślił z głębokim przekonaniem.

Ślimaczek, przechylając się nieznacznie, zatoczył łagodny łuk, co odwróciło uwagę jego pasażerów od kolorowego obrazu. Spojrzeli znowu przed siebie.

Ominęli właśnie łagodne wzniesienie i ponownie znaleźli się nad równiną. Jej powierzchnia

odbijała lśnienie gwiazd i przypominała trochę olbrzymie lodowisko. Ale, tafla tego lodowiska była nierówna, miejscami wypiętrzała się w nieregularne garby i nie miała nic wspólnego z poczciwą, zamrznietą wodą. Niebo,— pełne miliardów maleńkich, złotych iskier — otulało ów niegościnnie ląd jakby zbyt obszernym pokrowcem uszytym z czarnogranatowego aksamitu.

Wypada wreszcie opowiedzieć spokojnie i po kolei o czasie, miejscu, a także okolicznościach, w jakich znajdowali się Radek i Baś oraz ich ojciec, astrofizyk doktor Michał Olcha, i szalenie poważny Nik Zadra.

Czas:

Minęło dokładnie trzysta lat od założenia na Marsie pierwszej ziemskiej osady i dziesięć lat od zakończenia Operacji P, czyli programu zasiedlenia Układu Słonecznego. Na pamiątkę dnia, w którym człowiek pierwszy raz zamieszkał poza swoim macierzystym globem, obchodzą co roku Święta Starej Ziemi, zwane także „Błękitnymi Igrzyskami”. Właśnie wczoraj rozpoczęły się uroczystości rocznicowe we wszystkich ośmiuset trzydziestu wielkich kosmicznych miastach, osiedlach oraz małych bazach orbitalnych w całym Układzie Słonecznym. Także i załoga stacji K-1 miała zamiar godnie uczcić Błękitne Igrzyska, przygotowała już nawet wspaniałą dekorację, jednak, jak wiemy, na skutek pewnych nieprzewidzianych wypadków uczeni i piloci — zamiast świętować — musieli bez zwłoki przystąpić do nowej pracy. Miejsce:

„K-1” — była to nazwa nie tylko stacji badawczej, lecz także komety, na której tę stację zbudowano.

Każdemu, kto kiedykolwiek oglądał z Ziemi płonący na niebie ognik z imponującym złotym warkoczem lub chociażby tylko fotografię komety, mogłoby się zdawać, że Radek lecąc teraz tuż nad powierzchnią K-1 powinien tonąć w oślepiającym blasku bijącym od owego warkocza, a nie spoglądać na mroczną, lodowatą pustynię. W rzeczywistości jednak sprawa z kometami ma się trochę inaczej. Są ich miliardy miliardów, a tylko bardzo rzadko któraś z nich ukazuje się ludzkim oczom jako ogoniasta gwiazda. Obiegają one Słońce, podobnie jak Ziemia, ale nie w czasie jednego roku, tylko w ciągu tysięcy, nawet setek tysięcy lat. Najczęściej przebywają więc daleko w kosmosie, gdzie poruszając się w żółwym tempie, przybierają postać skurczonych, lodowych globików. Dopiero kiedy docierają w okolice wielkich planet, nabierają nieco życia. Pod wpływem bliskości Słońca przyspieszają, zaczynają się powoli topić i wtedy to uciekające z nich gazy tworzą owe wspaniałe ogony, które można by porównać do roziskrzonego dymu wyrzucanego przez pędzący, przedpotopowy parowóz.

W chwili gdy na K-1 znaleźli się Radek i Baś, kometa wracała już ku Słońcu po tysiącletnim pobycie w czeluściach kosmosu. Niedługo i ona miała rozwinąć za sobą piękny, ognisty warkocz. Na razie jednak była zamrożoną grudką o średnicy zaledwie dwudziestu ośmiu kilometrów. Na takiej to lodowej okruszynie ludzie zbudowali niespełna rok temu pierwszą w dziejach stację badawczą poza obszarem własnego układu planetarnego.

Okoliczności:

Dziesięć lat temu, o czym już była mowa, zakończono zasiedlanie Układu Słonecznego. A ponieważ człowiek w swojej historii nigdy nie mógł i nie chciał poprzestać na tym, czego już dokonał, więc teraz myśli wszystkich skierowały się z kolei ku gwiazdom.

Aby jednak utorować drogę statkom, które miały ponieść ludzi do innych słońc i Galaktyk, trzeba było jeszcze dokładniej niż dotychczas zbadać warunki panujące w głębinach wszechświata. Powołano więc Instytut Galaktyczny, który następnie uruchomił dwie placówki badawcze: bazę na orbicie Neptuna i... maleńką stację K-1. Uczeni doszli bowiem do wniosku, że kometa — wędrująca z dala od układu planetarnego — świetnie się nadaje, aby z niej właśnie prowadzić obserwacje i studia konieczne do przygotowania przyszłych wypraw. Doktor Michał Olcha, wraz z czworgiem innych pracowników Instytutu Galaktycznego, znalazł się więc tam wtedy, kiedy K-1 była jeszcze bardzo oddalona od Słońca i kiedy w związku z tym grupka budowniczych, a potem mieszkańców stacji mogła prowadzić swoje badania w warunkach prawdziwej międzygwiazdnej pustki. Praca ich przyniosła wiele bardzo ciekawych wyników, a przebiegała na ogół spokojnie. Gdy K-1, stale przybliżając się do Słońca,

przekroczyła granicę układu planetarnego, w bazie na orbicie Neptuna zaczęto przygotowywać do startu dwa potężne bezzałogowe statki. Miały zawieźć uczynom niesłychanie dla nich ważny, dodatkowy sprzęt — bez którego nie mogli ukończyć pewnych badań — i powrócić już z całą załogą stacji, która nie mogła przecież czekać, aż kometa, po przekroczeniu rejonu wielkich planet, zacznie się topić.

Wtedy to, po dramatycznych radiowych rozmowach, doktor Michał Olcha zgodził się, aby tymi statkami przyjechali na kilkudniową wycieczkę Radek i Baś. Zaczęły się świąteczne ferie, podróż wielkimi raketami bazy zapewniała całkowite bezpieczeństwo, a dla doktora Olchy była to ostatnia okazja pokazania synom stacji, na której spędził tyle czasu. Poza tym... no cóż, astrofizyk po prostu bardzo stęsknił się już za swoimi pociechami.

Radek i Baś wylądowali wczoraj. Drugim statkiem — prowadzonym zdalnie z pierwszego — miała przybyć córka kolegi doktora Olchy, Piotra Jardin, ale statek ten spóźnił się, bo napotkał po drodze potok meteorów, który trzeba było ominąć. Za to zupełnie niespodziewanie, zaraz po Radku i Basiu, zameldowali się na komecie Zadrowie. I jedni, i drudzy przybyli, jak już wiemy, nie w porę. Tego dnia rano zaszło bowiem coś, co postawiło uczonych w stan ostrego alarmu.

Na K-1 było jedno miejsce szczególne. W otoczeniu niskich, łagodnych wzniesień otwierał się nagle równy jak stół płacyk, pośrodku którego leżała pryzma dziwnych kamyków, jakby pozostałość po bardzo starej, wykruszonej piramidzie. Kamyki te przypominały do złudzenia dorodne, ziemskie purchawki, tyle że były twarde i, oczywiście, zimne jak lód. Uczeni zbadali je przeszło pół roku temu i wtedy nie znaleźli w nich nic godnego uwagi. Poza osobliwością kształtów — „purchawki” nie różniły się pod żadnym innym względem od pierwszego lepszego kawałka zmarzniętego gruntu wyrąbanego w dowolnym punkcie komety;

Dopiero kiedy K-1 przekroczyła granicę Układu Słonecznego i zaczęła przyśpieszać, czemu towarzyszył nieznaczny wzrost temperatury...

Dyżur w dyspozytorni pełnił wtedy profesor Sean O,Claha. Ku swojemu zdumieniu, a potem przerażeniu zauważył, że na ekranie przenoszącym monotony obraz szarawego ładu przytłoczonego czernią nieba ukazują się ni stąd, ni zowąd jakieś przedziwne kolorowe esy-floresy, że cała kabina, w której przebywał, jest już jedną przestrzenną areną pełną płonących wszystkimi barwami kropek, tasiemek, figur geometrycznych i cudacznych postaci miotanych czarodziejskim tańcem. A zaraz potem usłyszał muzykę. Brzmiała potężnie i groźnie.

Profesor O,Claha, znakomity matematyk, słynął z tego, że zawsze mówi bardzo dużo, bardzo szybko i bardzo głośno. Ale tym razem przeszedł samego siebie. Trudno się więc dziwić, że przebudzony jego wołaniem szef K-1, poważny Stanko Yaic, zaczął biegać na oślep po korytarzu i krzyżeć: — Zderzenie! Zderzenie! — a Patt, która niedawno skończyła dyżur i właśnie posilała się porcją syntetycznego indyka, połknęła od razu wielkie udko wraz z całą długą kością. Na szczęście syntetyczne kości trawi się równie łatwo, jak mięso, bo inaczej biedna Patt ani chybi powędrowałaby prosto do sali operacyjnej.

Kiedy w końcu wszyscy zbrali się w dyspozytorni, profesor O,Claha wyrzucił z siebie coś, co brzmiało mniej więcej następująco:

— Toskaczeirytojakieśdzikusyzinnegoświata!!! Już po pierwszych pomiarach i badaniach okazało się, że obrazy i dźwięk wypełniające kabinę pochodzą z owego placyku zaśnatego białawymi grudkami. Wtedy O,Claha stwierdził:

— Totepurchawkimalujająspiewająmnieśiętoniepodoba!!!

— A mnie się podoba — odpowiedział cicho Piotr Jardin, chłonąc wzrokiem tańczące w takt kosmicznej muzyki kolorowe zjawy. — Nareszcie coś naprawdę nowego.

To „nowe” mogło się jednak okazać groźne. Nie ulegało wątpliwości, że wbrew poprzednim orzeczeniom „lodowe kamienie”, jak je nazywali uczeni, lub — jeśli ktoś woli — „purchawki” różnią się w sposób bardzo istotny od otaczających je martwych lodów komety. Co zrobią za godzinę, za dzień, dwa, kiedy K-1 znajdzie się jeszcze bliżej Słońca, kiedy temperatura jej powierzchni wzrośnie jeszcze o kilka kresek?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć. Nie sposób było jednak wykluczyć, że kamyczki, które potrafią grać i malować, mogą się popisać także innymi sztuczkami. Czy nie zaczną na przykład wysyłać zabójczego promieniowania? Czy nie spowodują eksplozji, po której z K-1

zostaną tylko — krążące w wiecznej nocy wszechświata — mikroskopijne strzępki?

— Może jednak zawrócić dzieci? — powiedział z wahaniem profesor Yaic.

— Dzieci są na pokładzie statków, które wiozą nam sprzęt. Bez tego sprzętu nie zdążylibyśmy już przeprowadzić niezbędnych, dodatkowych badań. I dlaczego zaraz przewidywać najgorsze — odparł ojciec

Radka i Basia. — W razie czego na pewno zdążymy opuścić kometę.

Przez chwilę w dyspozytorni rozbrzmiewała tylko tajemnicza muzyka.

— Wiem, co zrobimy — powiedział nagle Piotr Jardin. — Musimy mieć na oku te muzyczne bryłki, i to do ostatniej chwili. Zbudujemy obok nich posterunek obserwacyjny. Kto wie, może nie my jedni wybraliśmy akurat tę kometkę, żeby z niej prowadzić badania...

Nikt nie odpowiedział. Przypuszczenie, że lodowe kamyki mogą być jakimiś żywymi lub martwymi instrumentami pozostawionymi tutaj przez inną cywilizację kosmiczną, brzmiało wprawdzie zupełnie fantastycznie, ale ostatecznie to, co te purchawki robiły w tej chwili, także zakrawało na obłąd, a jednak działało się naprawdę. Poza tym... w kosmosie trzeba być przygotowanym na wszystko. A żadnych lodowych kamieni nie mogło być na K-1, kiedy ta tyśiąc lat temu opuszczała Układ Słoneczny. Stanowiła przecież wtedy tylko rozżarzoną chmurę, pozbawioną stałej skorupy, a więc nic, absolutnie nic, poza pierwotnym materiałem, z którego kiedyś powstała, nie mogło na niej przetrwać.

— Mamy jeszcze trochę czasu — bąknął po chwili Jardin. — Zobaczmy. Może nic się nie stanie. A może akurat teraz, pod sam koniec naszych prac, odkryjemy WIELKĄ TAJEMNICĘ? Posłuchajcie mnie. Zbudujemy mały, jednoosobowy posterunek obserwacyjny niedaleko tej purchawkowej piramidki...

— Wiem nawet, kto będzie obserwatorem — przerwał ponuro profesor Yaic, patrząc spod swoich krzaczastych brwi na mówiącego.

Piotr Jardin uśmiechnął się. Jego zęby błysnęły olśniewającą bielą w śniadej, aż zaskakująco młodej twarzy.

— Oczywiście, że ja — przytaknął, prostując się, co zajęło mu trochę czasu, ponieważ mierzył dobre dwa metry wzrostu. — Po pierwsze, pomysł jest mój, a po drugie, jako egzobiolog mam największe kwalifikacje.

— Tamprzysłałbyś się raczej jak imalarz! — wtrącił po swojemu O,Claha.

Po krótkiej, choć burzliwej naradzie postanowiono jednak przyjąć projekt Piotra Jardin. Właśnie dzisiaj, wcześniej rano, ekipa robocza wyposażona w komplet automatów wyruszyła do pracy. Wraz z naukowcami na budowę podstacji obserwacyjnej udał się także Oleg Zadra. Nik, jak było do przewidzenia, koniecznie chciał lecieć z ojcem.

— Tym razem nie — rzekł krótko słynny astrograf.

— Przecież zawsze jesteśmy tam, gdzie dzieje się coś ciekawego — argumentował Nik. — Ja także chcę kiedyś pisać o kosmosie, robić reportaże i filmy, a poza tym... — zawahał się przez moment — poza tym wiesz przecież, że zbieram różne pamiątki. Taki lodowy kamyk byłby dla mnie... No, tato!

— Nie.

— I tak żaden z tych kamyczków nie mógłby wzbogacić twojej kolekcji — tłumaczył łagodnie Yaic. — Nie znamy jeszcze przecież ich właściwości. Nie wiadomo nawet, czy dowiózłbyś go na Ziemię, a gdyby ci się to udało — czy taka jedna mała bryłka nie zagroziłaby całej ludzkości. Jako zbieracz powinieneś już wiedzieć, że każdy drobiazg pochodzący z kosmosu musi być poddany niezwykle dokładnym badaniom, zanim otrzyma przepustkę do planetarnych laboratoriów czy muzeów. Może na przykład zawierać nie znane naszej nauce bakterie, które zaatakują ludzi.

Kolekcjoner i przyszły podróżnik ostentacyjnie odwrócił się plecami do szefa stacji.

— Tato? — wykrztusił błagalnie.

— Nie — powtórzył krótko i stanowczo Oleg Zadra. Wtedy do akcji wkroczył doktor Olcha.

— Ja nie jadę razem z wami, bo muszę jeszcze wykonać tutaj pewne prace — powiedział do astrografa. — Kiedy skończę, chciałbym zabrać ze sobą Radka i Basia, żeby zobaczyli kawałek naszej pięknej K-1. Niech twój syn pojedzie z nami. Weźmiemy ślimaczka, to bardzo bezpieczny pojazd. Potem ja wysiądę koło nowego posterunku, a komputer pokieruje ślimaczkiem w powrotnej drodze. Dzieci wrócą z pewnością całe i zdrowe.

Właśnie dzięki tej pojednawczej interwencji Michała Olchy lecieli teraz nad powierzchnią komety razem:

astrofizyk, jego dwaj synowie oraz blady i nieco obrażony Zadra-junior.

Ślimaczek zwolnił.

— Widać już te kamienie — powiedział doktor Olcha.

Chłopcy wytrzeszczyli oczy.

— To one są takie małe? — bąknął niepewnie Radek. Ojciec zaśmiał się.

— Nasze grające bryłki przypominają trochę małe porcyjki lodów — mrugnął na Basia — chociaż, oczywiście, nie a la Saturn, tylko a la K-1. Małe, lecz lichy wie, do czego zdolne...

— To nie są lody — stwierdził z niesmakiem Baś.

— Czy te aktywne kamienie — spytał Nik — cały czas emitują sygnały?

— Popatrzcie i posłuchajcie sami — powiedział doktor Olcha i przesunął małą rączkę w pulpicie sterowniczym.

Ślimaczek stanął, a raczej zawisł nieruchomo jakieś dziesięć metrów nad powierzchnią gruntu.

W oddali widać było jak na dłoni małą, kolistą równinę otoczoną łagodnymi kopczykami. W środkowej części placu wznosiła się sterta lodowych kamieni, a na jego skraju trwała gorączkowa krzątanina automatów budujących posterunek obserwacyjny. Wyglądał on jak miniaturka macierzystej stacji. Miał półkolistą kopułę, z której sterczały krótkie pręciki anten. Drzwi prowadzące do małego przedsionka, w którym mieściła się komora śluzy, były jeszcze otwarte. Stały tam dwie sylwetki odcinające się bielą skafandrów od szarzysty krajobrazu i czarnogranatowego nieba.

Doktor Olcha wcisnął jeden z guziczków w pulpicie łączności. Wewnątrz ślimaczka pociemniało. Pojazd przestał być przezroczysty. Nagle na jego pasażerów runęła lawina niesamowitych, przejmujących dźwięków. Muzyka, dzika i chaotyczna, była zarazem tak przejmująca i obca, że słuchających przeniknęła zimny dreszcz.

— Oj! — krzyknął Baś, odruchowo zatykając sobie palcami uszy.

— Ach! — zawtórował bratu Radek.

— No, tak... — wyszeptał Nik. Jego blada twarz stała się, jeśli to możliwe, jeszcze bledsza, ale potrafił utrzymać na niej wyraz dostojnej powagi.

Ściany ślimaczka zbiegły się raptem, jakby chciały zdusić siedzących w środku ludzi, a w następnej chwili zniknęły jak zdmuchnięte. Radek poczuł, że otacza go niezmiernie przestrzeń i że ta przestrzeń zaczyna atakować jego wzrok olbrzymimi trójwymiarowymi obrazami. Zobaczył wielkie wirujące koła, jakby utworzone z błękitnych płomieni, wokół których tańczyły złote gwiazdy, wiły się kolorowe serpentyny, na przemian gasły i zapalały się fioletowe, różowe i srebrne tarcze, a wszystko to przestrzeliwały cienkie niczym struny świetliste linie. Na moment zamknął oczy.

Kiedy otworzył je ponownie, dostrzegł dłoń ojca, cofającą się od pulpitu. W kabinie panowała cisza. Ściany wróciły na swoje miejsce, po ruchomych obrazach nie pozostało śladu.

— Co... co to było?... — zdołał wybełkotać.

— To kosmos opowiada i pokazuje nam swoje bajki — odpowiedział poważnie doktor Olcha.

Dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. Nagle Nik pochylił się do przodu i wpatrzył zachłannie w białawe bryłki tworzące ów dziwny stos na środku placu wśród lodowych wzgórz.

Radek, który siedział tuż obok niego, dosłyszał zduszony szept:

— Muszę mieć taką purchawkę — dłoń Nika spoczywająca na oparciu fotela zacisnęła się w pięść.— Muszę...

— Co mówisz? — zainteresował się astrofizyk. Przyszły podróżnik spostrzegł, że wszyscy na niego patrzą, i usiłował zrobić zdziwioną minę.

— Ja?

— Widać mi się zdawało — rzekł doktor Olcha, kręcąc z niedowierzaniem głową. —

Chociaż przysiągłbym, że wspomniałeś coś o purchawce.

Radek już otwierał usta, chcąc dyplomatycznie dać do zrozumienia, że ma bardzo dobry

słuch, ale Nik nie dał mu dojść do słowa.

— Proszę pana — spojrzął przymilnie na uczonego — dlaczego słyszy się i widzi to, co nadają te kamienie, tylko przy specjalnie ustawionych antenach?

— Obrazy i muzyka naszych bryłek są przenoszone wyłącznie w pewnym określonym paśmie częstotliwości — wyjaśnił zapytany i dodał: — Na szczęście. Inaczej nikt z nas nie mógłby opuścić stacji, bo w ogóle nie moglibyśmy porozumiewać się ze sobą.

— Panie doktorze — ton Nika stał się obrzydliwie słodki — bardzo bym chciał jeszcze przez chwilę popatrzeć i posłuchać. Tylko chwileczkę.

— Nie! Nie! — zaprotestował ostro Baś. Astrofizyk spojrzął przepraszająco na młodszego syna, zerknął na zegarek, westchnął i wreszcie — bez przekonania — ponownie sięgnął do pulpitu.

— Ale naprawdę tylko chwilę — zastrzegł się. — Powiniennem być już na dole, a w dodatku ktoś tutaj, jak się okazuje, nie lubi bajek.

— Lubię, ale nie takie — sprostował Baś, by następnie zawczasu demonstracyjnie zatkać sobie uszy.

Radek miał wielką ochotę pójść w jego ślady, ale wstydził się Nika.

Znowu zabrzmiała niesamowita muzyka, znowu wokół pasażerów ślimaczka zaczęły tańczyć ogniste, kolorowe obrazy. Michał Olcha odczekał kilkanaście sekund i właśnie zamierzał z powrotem przestawić odbiornik, kiedy w potężne akordy nie znanych Ziemiom instrumentów wmieszał się pojedynczy, dość cienki głosik.

— Tato! Tato! — wołał głosik. — Jestem już tutaj! Słyszysz mnie? Podobno tam zostajesz? Ja m u s z ę do ciebie przyjechać!!!

„Znowu ktoś coś musi — przemknęło przez głowę Radkowi. — Musi, czego nie tylko nie musi, ale i nie powinien, a w ogóle nie może” — doprowadził swoją myśl do końca, z wrażenia nie zwracając uwagi na jej dość swobodną konstrukcję logiczną.

W głośniku rozległy się trzaski, z których po chwili wypłynął względnie czysty, męski baryton:

— Anik? Córeczko, całuję cię bardzo, bardzo mocno! Niestety, teraz nie możemy się zobaczyć. Ale nie martw się. To potrwa zaledwie parę dni. Potem wrócę i razem polecimy z powrotem do bazy. Trzymaj się dzielnie i...

Dalsze słowa mężczyzny utonęły w huraganowym przypiływie purchasekowej muzyki. Dopiero po dłuższej chwili doktor Olcha i chłopcy wyłuskali z posępnej kakofonii jakiś inny kobiecy głos, miękki i ciepły.

— Kochanie, pomyliłaś klawisze w centralce łączności — odgadli, że to mówi Patt Hardy. — W ten sposób trudno wam się będzie porozumieć, bo z wszystkich głośników płynie teraz hałas, jaki robią te kamyki.

— Tatusiu! Tatusiu! — cienki głosik nie dawał za wygraną. Było jasne, że osóbką, do której należał, nie ma najmniejszego zamiaru przyjąć do wiadomości faktu istnienia purchasek ze wszystkimi ich obrazkami i melodyjkami. — Tatusiu, tylko na kilka minut!

— To niemożliwe. Anik, bądź dzielna...

— Ja nie chcę czekać, słyszysz?! Tatusiu, słyszysz?!

— Słyszysz, słyszysz — wyręczył uczonego Baś, który chwilę temu odjął dłonie od uszu. — Kto by nie słyszał? — dodał zgryźliwie. — Baba potrafi zagłuszyć nawet kosmos.

— One są teraz w bazie same — zatroskał się nagle Nik, spoglądając znacząco na doktora Olchę. — Czy m o ż e m y im zaufać?

Astrofizyk przez chwilę milczał, przyglądając się z pewnym zdziwieniem blademu osobnikowi, który tak niespodziewanie objawił się jako współgospodarz kosmicznej stacji. Wreszcie podrapał się w głowę, odchrząknął i powiedział z całą powagą:

— Możemy, Patt jest odpowiedzialnym człowiekiem, wielką nadzieją naszego Instytutu. A córka Piotra na pewno także da sobie radę. No, dość tego.

Wyłączył głośnik, unicestwiając za jednym zamachem bajki kosmosu i głosy ludzi. Włożył próżniowy kask, sprawdził szczelność skafandra, a następnie otworzył drzwi prowadzące do miniaturowej śluzy ślimaczka.

— Jak tylko zamknę za sobą właz, komputer zacznie realizować zapisany w nim program, czyli odwiezie was szybko i bezpiecznie do domu, to znaczy, do stacji — poprawił się. —

Bądźcie mili dla Anik — poprosił jeszcze — dziewczyna miała doprawdy paskudnego pecha. Przylecieć po tylu miesiącach i spóźnić się o kilkanaście minut... Cześć, chłopcy! No!

Po tym ostatnim wykrzykniku dał się słyszeć trzask zamykanych pancernych drzwi.

Równocześnie na jasnozielonym ekraniku komputera zapłonął napis:

powrót do stacji.

— Poczekaj chwilę! — zawołał Baś. Z ekranu natychmiast zniknęły literki tworzące napis, a ich miejsce zajął zgrabny znak zapytania.

— Realizacja programu powrotu: za pięć minut — poprawił brata Radek.

Znak zapytania ulotnił się i ekran zafalował łagodnym światłem, jakby komputer odpowiedział: dobrze.

Nastała cisza. Wszyscy trzej powędrowali wzrokiem w stronę niedalekiego placyku z kupką zagadkowych białawych bryłek i świeżo wzniesioną małą budowlą. Tam właśnie — po opuszczeniu ślimaczka przy pomocy specjalnej, maleńkiej windy—zmierzał doktor Olcha. Minął już ostatnie łagodne wzniesienie i wyszedł na płaski teren. Wtedy stanął, odwrócił się i pomachał w stronę ślimaczka. W tym momencie jego wyprostowana sylwetka w białym skafandrze zasłoniła sobą cały teren budowy. Radek uśmiechnął się bezwiednie. Ojciec był jeszcze wyższy od Piotra Jardin. Chłopcu wydało się, że widzi za wielkim próżniowym kaskiem tak dobrze mu znaną twarz o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych, pogodnych szarych oczach, prostym nosie, ustach, których kąćki znamionowały skłonność do śmiechu, i nieco wysuniętym, ostro ściętym podbródkiem. Radek odruchowo uniósł dłoń i odpowiedział na jego pożegnalny gest. Wtedy ojciec, jakby mógł to zauważyć, odwrócił się znowu i ruszył dalej. W chwili kiedy zatrzymał się przed małą budowlą, zgasły dwa najsilniejsze reflektory oświetlające miejsce pracy automatów i ludzi — podstacja obserwacyjna była gotowa.

Maszyny budowlane uformowały zwarty szyk i po-pełżyły w stronę wzgórz. Na miejscu pozostały jeszcze dwa łaziki czekające na ludzi, którzy żegnali się teraz pewnie wewnątrz budowli z ojcem Anik.

Radek oderwał wzrok od kopułki podstacji i spojrzał prosto przed siebie, tam gdzie wyraźnie zaokrąglony horyzont wyznaczał granicę małej komety. Jak okiem sięgnąć wszędzie niewielkie wzniesienia, zimne wydmy kosmicznej plaży. Porównanie z plażą było idiotyczne. Chłopiec poczuł, że przez plecy przemaszerowały mity zmarznięte na kość mrówki, i wzdygnął się odruchowo.

W tym momencie zauważył daleko za placikiem dwa maleńkie światełka. Błysnęły między pagórkami i zniknęły, ale po chwili ukazały się znowu, jakby odrobinę bliżej. Przemknęły jeszcze przez trzy czy cztery bruzdy, starannie unikając wierzchołków wzniesień, jakby kryły się przed wzrokiem ludzi znajdujących się w podstacji, po czym — znieruchomiały. Wyglądały zupełnie jak czołowe reflektory łazika. Ale skąd tam miałyby się wziąć jeszcze jeden łazik? Nonsens. Przecież Patt i Anik z pewnością nie opuściły stacji, a wszyscy pozostali byli tutaj, wewnątrz posterunku.

Chłopiec wyteżył wzrok. Nie, to nie złudzenie. Tam naprawdę błyszczą dwa reflektorki. Trwają teraz bez ruchu, jakby ktoś, kto sobie nimi przyświecał, posta nowił zaczekać, aż Piotr Jardin zostanie sam. Ta myśl przyszła Radkowi zupełnie niespodziewanie. Nie wiedział czemu, ale tajemnicze ogniki tłące tam, gdzie nie mogło, a w każdym razie nie powinno być nikogo — wydały mu się jakieś ponure i złowieszcze.

Uniósł dłoń, żeby szturchnąć Basta i spytać, czy on także zauważył te reflektorki, ale w tym właśnie momencie dalekie światełka zgasły.

Pięć minut minęło. Na ekranie ponownie pojawił się napis: *powrót do stacji.* Tym razem nikt już nie próbował nakłaniać komputera, by ten jeszcze chwilę poczekał.

Gwiazdni rozbitkowie

— Mamo! — jęknął z zachwytu Oleg Zadra. — Jakież boskie warkocze!

— Cudowne... — szepnął cichutko Radek, czując, że jego serce zmienia się, nie wiedząc czemu, w oszalałą z pośpiechu żabę.

— Słodkie — dorzucił Baś, oblizując się nerwowo. Po raz pierwszy tego wieczoru smutną twarzą Anik rozjaśnił przelotny uśmiezek.

— To ojciec nie pozwolił mi ich ściąć — rzuciła zdawkowo. — Poza tym są wygodne na lekcjach zajęć kosmicznych. Zwijam je wtedy na głowie w poduszeczkę i w ten sposób próżniowy kask nigdy mnie nie gniecie.

Baś wytrzeszczył na nią oczy.

— O czym ty mówisz? — wykrztusił.

— Ha, ha, ha — powiedział Nik. Nie zaśmiał się, tylko właśnie: powiedział.

— Wszystko w porządku, wszystko w porządku, wszystko w porządku — pośpieszył z pojednawczą interwencją poczytywy profesor O,Claha. — I jedno warkocze, i drugie warkocze są zdobądanasześwięta.

— Racja — potwierdził doktor Olcha, spoglądając z figlarnym błyskiem w oczach na Radka, który jednak nie mógł tego zauważyć, ponieważ druzgotał właśnie morderczym wzrokiem nieszczęsnego Basia.

Anik przestała się uśmiechać. Spojrzała na wspaniale zastawiony stół i zaczerwieniła się aż po kołnierzyk białego kombinezону. Teraz dopiero zrozumiała, że Baś wcale nie patrzył na jej, skądinąd naprawdę śliczne, kasztanowe warkocze, tylko pożerał oczami tort, który przed chwilą wpłynął na środek srebrzystego obrusa i miał stanowić szczytowy punkt świątecznej uczy. Tort był ogromny, miał kształt komety i dźwigał na sobie wspaniałe warkocz uplecione z najwymyślniejszych aromatycznych kremów szczerze nadziewanych bakaliami. Było to istne arcydzieło, świadczące o nadzwyczajnych talentach Patt Hardy. Autorka słodkiego poematu nie wyglądała jednak w tej chwili na twórcę, którego rozpiera słusne poczucie dumy. Utkwiła błagalne spojrzenie w twarzy Anik, wyraźnie głowiąc się, co by tu powiedzieć, żeby oczyścić atmosferę zmaconą fatalnym nieporozumieniem. Niestety! Zanim zdołała coś wymyślić, sprawę przesądził profesor Stanko Yaic.

— Dawno temu ludzie wierzyli, że pojawienie się komety wróży kataklizmy i nieszczęścia — nadmienił uprzejmym tonem. — Na wszelki wypadek palili wtedy na stosach młode dziewczyny z warkoczami, jako czarownice.

— Okropność! — wzdrygnął się Oleg Zadra. — Na szczęście K-1 nie ma jeszcze złowieszczonego ogona, a warkocze, które tu widzimy...

— Och, przestańcie! — przerwał mu bolesciwy okrzyk. Anik, jakby już poczuła żar bijący od ognistego stosu, zerwała się z miejsca i skoczyła w stronę drzwi.

— Ja... ja nie jestem głodna! Ja... przepraszam! — wydyszała jeszcze i zniknęła w korytarzu.

Zebrany mignął tylko piękny gruby warkocz, który w świetle lamp załśnił przez moment najczystszy złotem.

— Noicoterazbędzie — westchnął O,Claha.

— Biedne dziecko — szepnęła Patt. — Ma tylko Piotra... Wiecie przecież, że jej matka zginęła w katastrofie promu kosmicznego, kiedy Anik miała dwa latka. Przyleciała aż z Gagarina i nie mogła się zobaczyć z ojcem. Nic dziwnego, że jest zdenerwowana. A teraz jeszcze zrobiliście jej wielką przykrość.

— Co ja takiego powiedziałem? — przestraszył się słynny podróżnik. — Przecież chciałem tylko...

— To nie pan! — nie pozwolił mu skończyć Radek, który dopiero w tej chwili odzyskał zdolność mowy. — To Baś! — wysyczał, zaciskając kurczowo pięści. — Ten żarłok! Ta buła nadziewana! Ta... ta... ta purchawka!

— Ten — poprawił odruchowo profesor Yaic. — Ten purchawka.

— Co ja? Co ja? Dlaczego ja? — protestował purchawka.

— Uspokójcie się — Patt spojrzała na Basia smutnym wzrokiem i położyła mu rękę na ramieniu. — Widzisz, zaczęliście mówić o warkoczach i Anik pomyślała, że chodzi o nią, a potem, kiedy zrozumiała, że się pomyliła, było jej przykro. Każdej dziewczynie zrobiłoby się głupio w takiej sytuacji. Ale wszystko można było jeszcze naprawić, gdyby nie to, co profesor Yaic powiedział o paleniu czarownic. Nasz szef powinien uprzedzić, kiedy ma zamiar zażartować — ciągnęła niewinnym tonem, wznosząc oczy ku sufitowi — bo czy mówi o czarownicach, torcie, czy też o najnowszych badaniach Galaktyki IC 40, brzmi to zawsze tak, jakby informował o niebывалym odkryciu naukowym... Biedna Anik — zakończyła.

— Tak brzmi? — zdziwił się Yaic. — Tak — odpowiedział sam sobie. — Niedobrze. Bardzo niedobrze — wyraził ubolewanie.

— Czy długo będziemy jeszcze roztrząsać ten nie mający żadnego znaczenia incydent? — spytał nosowym głosem Nik.

Radek w pierwszej chwili nie dowierzał własnym uszom. Następnie doszedłszy do przekonania, że jednak usłyszał dobrze, poczuł nieprzepartą chęć porwania ze stołu feralnego tortu i umieszczenia go na rudej głowie zarozumialca.

Na szczęście, zanim doszło do tej ostateczności, w ak-cję wkroczył ojciec niedoszłej ofiary.

— Mój syn udaje, że obchodzą go tylko jego zbiory, podróże kosmiczne i zawite problemy astrografii — stwierdził pogodnie. — Nie przejmuję się, bo wiem, że mu to przejdzie. Najlepiej nie zwracajmy na niego uwagi.

Radek wpatrzył się z wdzięcznością i zachwytem w uśmiechnięte oblicze słynnego podróżnika. Wypada wyjaśnić, choć w gruncie rzeczy sprawa jest aż nadto oczywista, że kasztanowe warkocze Anik, jej wielkie niebieskie oczy, małe dołeczki w policzkach i zgrabna figurka od pierwszej chwili wywarły na bracie żarłocznego Basia kolosalne wrażenie.

— Nieładnie wyszło — westchnął po dłuższej chwili milczenia doktor Olcha — ale dajmy dziewczynie ochłonąć i zajmijmy się nareszcie twoimi warkoczami — zerknął z uśmiechem na Patt.

— Tak, tato, tak — poparł go skwapliwie Baś. Patt Hardy uniosła rękę na znak kapitulacji, a następnie ukrajała pierwszą, wielką porcję.

— To dla Anik — powiedziała, odstawiając talerzyk na bok.

W jadalni zapanowało teraz pełne skupienia milczenie przerywane jedynie głuchymi pomrukami uczujących. Pierwszy skończył Oleg Zadra.

— Pycha! — odsapnął. — Biedny Piotr...

— Ummm... urn... — mamrotał z rozkoszą Baś.

— Poemat...

— A propos Piotr — profesor Yaic podniósł się ciężko — muszę was przeprosić i usiąść przed ekranem. Piotrowi pewnie nudzi się samemu. Zresztą i tak nie powinniśmy go tracić z oczu.

— Niemówmuotorcie — przestrzegął O,Claha. — Gotów wszystko rzucić i przylecieć unapiechotę!

Szef stacji K-1 odpowiedział poważnym skinieniem głowy, po czym wyszedł do sąsiedniej kabiny, pozostawiając otwarte drzwi. Radek obserwował, jak siada w wygodnym fotelu przed ekranem, z którego chwilę później wyjrzała uśmiechnięta twarz ojca Anik. Obraz na ekranie był tak wyrazisty, iż mogło się wydawać, że Piotr Jardin naprawdę uczynił to, czego obawiał się profesor O,Claha — przyszedł na świąteczną kolację.

— Co będziemy robić? — Oleg Zadra rozejrzał się pytająco po obecnych.

— Miały być trzy dni świąt — przypomniał z melancholią doktor Olcha. — Tańce, hulanki, swawola.

— O tańcach nie ma mowy — ucięła zdecydowanie Patt. — Kiedy pomyślę o tamtej kosmicznej muzyce... brrr... — wzdrygnęła się.

— Może zagramy w szachy? — zaproponował po namyśle sławny podróżnik.

— A czy są tutaj prawdziwe szachy? — wyraził wątpliwość Nik.

— Oczywiście!

— Niechbędzie! — zgodził się O,Claha. Patt Hardy wstała. Wzięła zarezerwowaną dla Anik porcję tortu i skierowała się ku drzwiom.

— Przygotujcie wszystko, a ja pójdę z misją dobrej woli — oświadczyła. — Nie możemy przecież zostawić dziewczyny samej przez cały wieczór. Spróbuję ją namówić, żeby też zagrała.

Stół z resztkami uczytu powędrował pod ścianę. Od podłogi do sufitu kabinę wypełniło delikatne, różnobarwne rusztowanie. Załoga stacji miała p r a w d z i-w e szachy.

Specjalny zestaw projektorków rzucał krzyżujące się w przestrzeni pojedyncze promienie światła. Białe linie tworzyły trójwymiarową szachownicę. Pionki i figury powstały ze zgrabnie ukształtowanych plam, jakby z kolorowego szkła. Ich ruchy dyktowali gracze komputerowi, który przekazywał polecenia projektorom. No» a jeśli chodzi o oznaczenie pól, na które chciało

się przesunąć figurę... Cóż, szachiści ery kosmicznej od dziecka są przecież za pan brat z przestrzenią. Wystarczy im uruchomić wyobraźnię, aby widzieć trójwymiarową szachownicę dokładnie tak samo, jak dawniej ludzie widzieli przed sobą dwubarwny kwadratowy półka.

Wróciła Patt, prowadząc ze sobą nieco zmieszana Anik.

— Ktoz kim gra? — zawołał szybko profesor O,Claha, nie chcąc dopuścić, aby ktoś wyrwał się z jakimiś przeprosinami lub, co gorzej, z wyjaśnieniami. Niczego by one nie wyjaśniły, mogłyby najwyżej rozpętać nową burzę „warkoczową”.

Oleg Zadra grał z Anik, Radkowi, któremu sekundował Baś, przyszło się zmierzyć z Nikiem, a Patt przypadł jako przeciwnik Sean O,Claha. Doktor Olcha oświadczył, że musi pójść pomóc profesorowi, i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Może rzeczywiście chciał się przekonać, co słychać u Piotra Jardin, a mo- że po prostu postanowił nie psuć zabawy. Prawdziwe

szachy mają bowiem to do siebie, że najwygodniej gra się w sześć osób.

O,Claha po skomplikowanej rozgrywce pokonał Patt, co skwitował wygłoszeniem triumfalnej mowy, jak zwykle niezbyt zrozumiałej. Radek, ku swojemu wielkiemu zmartwieniu, uległ Nikowi, który okazał się nadspodziewanie dobrym graczem, natomiast Anik wygrała ze słynnym Olegiem Zadrą.

— Brawo! — zawołał rycersko ten ostatni. — Już dawno nikt mnie tak gładko nie pokonał!

— Udało mi się — odrzekła z miną niewiniątka Anik.

Skromność nie przeszkodziła jej jednak okryć się radosnym rumieńcem, z którym wyglądała tak ślicznie, że Radek musiał natychmiast sprawdzić, czy na suficie nie dzieje się coś, co wymagałoby jego interwencji.

— Gramy jeszcze? — spytał Nik.

— Nienienie — wycofał się profesor O,Claha. — Wygrałem ich cę pójść spać z wieńcem laurowym nagłowie.

— Wieńcem? — powtórzył bezwiednie Radek, ciągle szukając czegoś nad sobą.

— Może kolacja była zbyt obfita? — Anik uniosła brwi, przez co jej wielkie, niebiesciutkie oczy zrobiły się jeszcze odrobinę większe. — Ojciec zawsze mówi, że słodczy fatalnie wpływają na funkcjonowanie umysłu.

— Mnie nie zaszkodziły — podkreślił sucho Nik.

Dziewczyna skłoniła się z wdziękiem.

— Tobie widać nic nie jest w stanie zaszkodzić — stwierdziła z bałwochwalczym podziwem, odrobinę tylko zbyt przymilnym tonem.

Następnie potrząsnęła głową, tak aby jej kaszta nowe warkocze zawinęły szerokiego młyńca, ukazując się światu w całej swej okazałości.

Patt roześmiała się serdecznie, natomiast Radek popadł niespodziewanie w zadumę nad niezgłębianą zagadką kobiecych charakterów.

Nik pominął dyplomatycznym milczeniem uznanie, z jakim spotkała się jego odporność na torty. Wstał, podszedł do drzwi, za którymi widniały plecy profesora Yaica i Michała Olchy, po czym odwrócił się do ojca.

— Czy mogę tam wejść? Chciałbym przyjrzeć się pracy pana Jardin.

Oleg Zadra spojrzał pytającą na O,Clahę, a kiedy ten skinął potakującą głową, powiedział:

— Możesz. Tylko nic nie mów, bo oni mają teraz łączność głosową, jeśli więc nagle odezwie się ktoś nowy, Piotr gotów pomyśleć, że to jakaś purchawka wtrąca swoje trzy grosze.

— Chodźmy tam wszyscy! — przerwał profesor O,Claha.

Chwilę później cała siódemka stała za fotelami, w których tkwili uczeni dotrzymujący towarzystwa ojcu Anik.

— Zobaczcie teraz, co dzieje się na zewnątrz — dobiegł ich lekko stłumiony przez odległość głos.

Obraz na ekranie zmienił się. Miejsce wnętrza podstacji zajęła lodowa pustynia pod czarnym niebem. To niebo było nieco rozjaśnione tuż nad horyzontem, jakby wkrótce miało tam wzejść jakieś na wpół wy-gasłe, ciemnoniebieskie słońce. Bliżej widniał powiększony fragment krajobrazu komety, z placykiem otoczonym zmarzniętymi wydhami i pryzmą tajemniczych kamieni pośrodku.

— Spokojnie tu, prawda? — mówił niewidoczny teraz Piotr Jardin. — Kiedy przełączam odbiornik, słyszę cały czas kosmiczną orkiestrę i widzę te tańczące rysunekzki. Nic się nie dzieje. Może tylko ta muzyka brzmi troszeczkę głośnie.

— Robisz coraz cieplej — wtrącił O,Claha, nie bacząc na niedawne ostrzeżenie Zadry.

Jednak samotny mieszkaniec posterunku obserwacyjnego od razu poznał głos uczonego.

— Witam, profesorze! — zaśmiał się. — Wbrew twoim obawom to wszystko zaczyna mi się nawet podobać. Kto wie, czy nie przerzucę się na sprawy sztuki. Zostanę pierwszym w dziejach krytykiem muzycznym i plastycznym kosmicznych twórców. Będą się mieli z pyszna!

— Czy... czy przyniesiono próbki tych lodowych kamieni do laboratorium? — wyszeptał Nik wprost do ucha profesora O,Clahy. — Czy na stacji jest w tej chwili chociaż kilka takich aktywnych bryłek?

— A to kto? — zaniepokoił się ojciec Anik. Urządzenia łączności na K-1 były bardzo czułe;

— Nic, nic — uspokoił go Oleg Zadra. — To tylko taki jeden kolekcjoner marzy o zdobyciu kosmicznej purchawki. No cóż, marzenia jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

Nikowi odpowiedział profesor Yaic.

— Nie ma tutaj ani jednej aktywnej bryłki — rzekł, nie odwracając głowy od pulpitu. — Przedtem, kiedy nic o nich nie wiedzieliśmy, przeprowadziliśmy tylko pobieżne badania na miejscu, a teraz...

— Przeniesienie ich do ciepłego laboratorium mogłoby się okazać niebezpieczne — uzupełnił doktor Olcha.

— A czy ojcu nic się nie stanie? — zapytała przestraszona Anik.

— Przecież on nie rusza purchawek — powiedział

Zadra. — A nie ma tam nikogo innego, kto mógłby na tych kosmicznych śmieciach rozpaść ognisko.

W tym momencie Radek przypomniał sobie światełka, które dostrzegł z kabiny ślimaczka. Już otwierał usta, żeby spytać ojca, co to mogło być, kiedy zabrzmiał stanowczy głos profesora Yaica.

— No, kochani, spać! Śniadania jadamy tutaj wcześniej, a poza tym jutro będzie mnóstwo pracy. Dobranoc.

— Ja zostanę tu jeszcze chwilę — doktor Olcha objął synów przepaszającym spojrzeniem.

— Połóżcie się beze mnie, dobrze? Niedługo przyjdę.

Patt wzięła Anik pod rękę i uśmiechnęła się do niej.

— Ty pójdziesz ze mną — powiedziała. — Nareszcie nie będę spać sama.

Radek już przedtem zauważył, że oczy pięknej Patt Hardy nabierają ciepłego, a nawet czułego wyrazu, kiedy młoda badaczka kosmosu zwraca się do córki Piotra Jardin. Teraz spostrzegł, że Patt obdarzyła nie mniej wymownym spojrzeniem wielki ekran, gdy zniknął z niego obraz martwego lądu, a na jasnose-ledynowej tarczy ponownie ukazała się przystojna twarz egzobiologa. „Oho!” — pomyślał, niezbyt jasno, po czym wziął Basia za rękę i wyprowadził go na korytarz.

Kabinka była mała, ale przytulna. Łagodne światło, padające ze ścian, oblewało wygodne rozkładane fotele, niszę z czterema próżniowymi skafandrami, szafkę, miniaturową umywalkę z prysznicem i wąski żółty pulpit centralki łączności. Dzięki tej ostatniej można było w dowolnej chwili połączyć się nie tylko z innymi mieszkańcami stacji, lecz także z komputerem, aby zapytać o najświeższe nowiny lub zażądać sprawdzenia jakiejś teorii, która właśnie przyszła ko-

mus do głowy. Uczeni myślą bowiem zawsze. Bywa i tak, że wielkie olśnienia spływają na nich akurat wtedy, kiedy ułożą się już wygodnie do snu i przymkną powieki.

— Na co czekasz! — burknął Radek, ściągając bluzę i ruszając w stronę umywalki. — Rozbieraj się.

Baś spojrzał niepewnie najpierw w lewo, potem w prawo, wreszcie westchnął ciężko i utknął wzrok we wnęce ze skafandrami.

Radek stanął i przyjrzał się uważnie dziwnej wypukłości bluzy na piersi brata. Nagle zrodziło się w nim podejrzenie.

— Co tam masz? Pokaż! — wyciągnął rękę, chcąc pomacać osobliwą narośl. Baś cofnął się jak oparzony.

— Nie! Nic!

— Pokaż!

Na pobladłej twarzy najmłodszego Olchy odmalowała się rozpacz. Jeszcze raz powiódł po kabinie obłąkanym wzrokiem, jęknął, po czym desperackim ruchem rozpiął bluzę. Oczom Radka ukazały się przylepione do sportowej koszulki żałosne resztki kometowego tor.tu. Baś, uwolniony wreszcie od strasznej tajemnicy, odzyskał dobry humor i z największym spokojem zaczął wytrząsać swój łup na fotel, który wybrał sobie do spania jego starszy brat.

— Bartoszu! — zawołał grubym głosem Radek, usiłując naśladować ojca.

Natychmiast jednak zapomniał o powadze, jaką wypadło zachować w tych pożałowania godnych okolicznościach. Ryknął jak lew i zdzielił Basia trzymanym w ręku ręcznikiem. Wraz z opętańczym wrzaskiem skarconego łakomczucha pod sufit poleciały błękitne, różowe i złote strzępy aromatycznego warkocza.

— Wstyd! Wstyd! Wstyd! — wykrzykiwał Radek.

Ty beko! Ty spasiona purchawo! Przecież zobaczą, że brakuje całej góry! Wstyd!

— Zostaw! Tatusiu! Tatusiuuu!

— Tss...

Radek przestraszył się nagle, że wycie jego ofiary może ściągnąć tutaj nie tylko ojca, lecz także Patt lub nawet... Nie, to byłoby zbyt okropne!

— Wiem, co zrobić! — w jego oczach pojawiły się nagle mściwe błyski. — Zjem wszystko sam! Nie dostaniesz ani... Oj! — zakończył niespodziewanie wysoką i przejmującą nutą, bo Baś — do głębi poruszony potworną groźbą — wykonał jakiś opętańczy taniec obronny wokół fotela, rozdeptując po drodze wielki palec u bosej stopy swego prześladowcy.

Radek spędził teraz dłuższą chwilę bez ruchu, oburącz obejmując obolałe miejsce, a kiedy w kabinie umilkły wreszcie odgłosy smakowitego Basiowego mlaskania, powiedział grobowym głosem:

— Nie mam już brata...

— Oddajortoddajortoddajort! — syknął O,Claha krzywiąc twarz w szatańskim grymasie.

— Inaczej powiem wszystkimwszystkimwszystkim wszystkimwszy-stkowszystko!

— Fu-fu-fu — bronił się słabo Radek — to przecież nie ja...

— Posadźcie go na purchawkach — powiedział przez nos Nik Zadra. — Może coś wysiedzi... skoro one reagują na ciepło.

— Fu-fu-fu — powtórzył Radek czując, że na czoło występują mu kropelki potu.

— Zdrajca! Zjadł warkocz! — pisnął nagle dziewczęcy głos.

A Nik dodał ponuro:

— Ha, ha, ha!

— Trzeba go stąd przegonić — O,Claha przeistoczył się nagle w profesora Yaica.

W jego prawej dłoni mignął krótki pręt, da którego zamiast staroświeckiego biczu przymocowano długi, lśniący warkocz.

— Nie! — chciał krzyknąć Radek, ale głos odmówił mu posłuszeństwa.

Bicz-warkocz przeciął ze świstem powietrze. Zaraz potem Stanko Yaic ściągnął wargi i zagwizdał. Natychmiast zawtórował mu Nik, a chwilę później jeszcze jeden głosik, cienki jak najwyższa piszczałka organów. Warkocz w ręce gwizdzącego uczonego zmienił się teraz w wielkiego węża o oczach, rzecz raczej niespotykana w zoologii, koloru ziemskiego nieba. Wąż syczał coraz bliżej, coraz bardziej przeraźliwie...

— Nie!!! — zawył Radek.

Zebrał wszystkie siły, żeby rzucić się do ucieczki, i w tym momencie uniósł powieki.

O,Claha, Stanko Yaic, Nik, jak również niebieskooki gad — wszystko to zniknęło bez śladu. Natomiast głośny syk nadal przesywał powietrze. Był tak przenikliwy, że Radek w jednej chwili zapomniał o swoim koszmarnym śnie.

Zeskoczył z łóżka i podbiegł do drzwi. Te jednak ani rusz nie dały się otworzyć.

— Co to? — przez narastający gwizd przebił się z ciemności strwożony głos Basia. —

Tatusiu!

„Tatusiu!” — powtórzył w myśli Radek.

Ojca nie było w kabinie. Widać zasiedział się u profesora Yaica.

Chłopiec jeszcze raz spróbował sforsować drzwi. Daremnie. W dodatku nie udało mu się namacać klamki ani framugi. Jakby kabina zmieniała się nagle w pułapkę bez wyjścia;

— Zawołaj ojca! Zawołaj ojca! — głos Basia dobiegł tym razem skądś z dołu.

Radek zastygł w bezruchu. Z dołu? Co tu się właściwie dzieje?!

— Baś?! — zawołał niepewnie.

— Oj!... Ja dokądś lecę... Oj!

Radek pośpiesznie przesunął dłonią po ścianie, żeby odnaleźć kontakt, i niespodziewanie dotknął czegoś długiego i miękkiego, pokrytego gęsią skórą. Tym czymś była jego własna noga, unosząca się w górze niby koślawy maszt albo szyja żyrafy. Wraz z tym zaskakującym odkryciem spłynęło na niego olśnienie. „Wszystko się zgadza — pomyślał gorączkowo. — Katastrofa! Prawdziwa katastrofa, nie żaden głupi sen”. Bo jak inaczej można wytłumaczyć zanik grawitacji, którą stacji K-1 zapewniały specjalne urządzenia zainstalowane w jej fundamentach?

Raptem zapłonęły lampy. W ich bladym świetle ukazał się Baś zawieszony w powietrzu i wykonujący przedziwne ewolucje, ale śmiesznie powoli, jak na zwolnionym filmie.

Równocześnie Radek odkrył, że on sam tkwi — głową na dół — przy suficie i tam właśnie zawzięcie poszukuje drzwi.

— Przytrzymaj się fotela i siedź spokojnie! — zawołał.

Odepchnął się lekko stopami od sufitu i wylądował obok umywalki. Nie darmo skończył z wyróżnieniem kurs pilotażu. Wiedział, jak powinien postępować człowiek w stanie nieważkości.

Basiowi poszło nieco gorzej. Ciągłe koziołkując minął fotel i wpadł na centralkę łączności. Ale objął jej pulpit kurczowym, a równocześnie czułym uściskiem, dzięki czemu po krótkiej szamotaninie odzyskał wreszcie upragnioną pozycję pionową. W tym momencie zabrzmiał donośny męski głos.

— Jeśli mnie słyszycie — mówił ktoś z ukrytego głośnika — to znaczy, że nastąpiła awaria. Na skutek nieznanych okoliczności stacja K-1 musiała opuścić powierzchnię komety. W przewidywaniu katastrofy sejsmicznej lub zderzenia z meteorytem została zbudowana tak, że jej wierzchnia część dzieli się na samodzielne, szczelnie zamknięte człony. Każde z pomieszczeń mieszkalnych tworzy teraz osobny pojazd kosmiczny. Tak, znajdujecie się w przestrzeni, ale nie ma powodu do niepokoju. Wszystkie kabiny mają własny napęd i dokładnie obliczony program lotu. Zmierzamy prosto do bazy Instytutu Galaktycznego na orbicie Neptuna. Baza została uprzedzona o awarii dzięki automatycznej sygnalizacji alarmowej. Niestety, z powodu przerwania kabli nie możecie się porozumieć z komputerem. Zachowajcie spokój. Włóżcie próżniowe skafandry i uruchomcie stacyjki. Kiedy sprawdzicie szczelność skafandrów, będziecie mogli otworzyć drzwi, przedtem jednak musicie się zabezpieczyć linami asekuracyjnymi. Skoro nawiążecie kontakt wzrokowy z innymi członami K-1, będzie to oznaczać, że cel jest już blisko. Wysłuchaliście instrukcji — nagranej bezpośrednio po zakończeniu budowy stacji — na wypadek awarii. Ponieważ nie wiem, w którym momencie uruchomiliście magnetofon, powtórzę zapisany tekst. Jeśli mnie słyszycie, to znaczy, że nastąpiła awaria...

— Co się stało? Osobny pojazd? Kabina? Awaria? — wybełkotał Baś.

— Słyszałeś? Nic nam nie grozi — Radek zbliżał się ostrożnie do wnęki ze skafandrami. — Brawo! Uruchomiłeś centralkę łączności i dzięki temu wiemy już wszystko... No, prawie wszystko — dodał po namyśle.

— A tato?

Radek ha moment przymknął oczy. Czy na pewno cała stacja, podzielona na te jakieś samodzielne części, leci teraz w stronę Neptuna? W instrukcji alarmowej była mowa o pomieszczeniach mieszkalnych, a ojciec wraz z profesorem Yaicem znajdowali się w pracowni... Ale pracownia była przecież otoczona kabinami. Niemożliwe, żeby została.

— Nie bój się — powiedział usiłując przybrać pogodny wyraz twarzy. — Ojciec leci teraz w ten sam sposób, co my, i martwi się o nas. Musimy dowieść, że jesteśmy dobrymi

kandydatami na wyprawę do gwiazd. Po czymś takim, jak ta awaria, wszyscy będą patrzeć na nas z szacunkiem.

Baś uspokoił się od razu.

— Ale co ty przedtem powiedziałeś? Co ja uruchomiłem? — spytał z satysfakcją.

— Centralkę łączności — powtórzył Radek. — Trafiłeś we właściwy klawisz, podczas gdy ja szukałem drzwi na suficie — dodał z samozaparciem. — A teraz włóż skafander.

Po chwili obaj byli już ubrani jak do lądowania na obcym, pustym globie. Wokół pasów owinęli długą i cienką, choć niezwykle mocną linę asekuracyjną. Następnie Radek sprawdził, czy w butlach na plecach mają dosyć tlenu. Stwierdziwszy, że wystarczyłoby go na dwie doby spacerowania po parku Asteroidów, zajął się z kolei pistolecikami gazowymi, które zwisały im u pasów. Wszystkie były naładowane.

— ...próżniowe skafandry i uruchomcie stacyjki — mówił nieprzerwanie głos recytujący instrukcję. — Kiedy sprawdzicie szczelność skafandrów, będziecie mogli otworzyć drzwi, przedtem jednak musicie się zabezpieczyć linami asekuracyjnymi...

Radek podszedł do pulpitu łączności i po krótkim namyśle przycisnął jeden z klawiszy. Głos umilkł. Nastąpiła cisza.

— Uruchomcie stacyjki... — powtórzył bezwiednie. — Stacyjki... Potem możemy otworzyć drzwi...

— Co mówisz?

— Mówię... nic nie mówię. Myślę... — odpowiedział niezbyt przytomnie starszy kandydat na wyprawę do gwiazd. — Mam! — wykrzyknął nagle z triumfem. — Stacyjki! Oczywiście!

Podsunał sobie przed oczy płaskie pudełeczko wszyte w rękaw skafandra i nacisnął guziczek ozdobiony rysunkiem rozchodzących się kół. Natychmiast w jego słuchawkach rozległ się daleki, ale dość wyraźny głos profesora Yaica.

— Odezwijcie się! Patt Hardy i Anik, Radek i Bartosz, Oleg...

— W porządku, profesorze — przerwał mu, jakby nieco bliższy, baryton słynnego astrografa. — Już jesteśmy gotowi.

— Minutę po alarmie byliśmy gotowi — poprawił przesadnie niedbałym tonem Nik. — Tylko pierwszy skafander, który włożyłem, okazał się dla mnie za mały. Pewnie pomyliliście kabiny i daliście nam ubiory przeznaczone dla obecnych tutaj dzieci...

Radek wykonał ruch, jakby chciał poczęstować niewidzialnego przeciwnika soczystym sierpowym. Był jednak zbyt przejęty sytuacją, żeby wytrwać w niemym oburzeniu dłużej niż przez pięć sekund. Pokazał Basiowi, który guziczek ma nacisnąć, aby — za pośrednictwem stacyjki, czyli osobistej aparatury, łączności, w jaką wyposażone są wszystkie skafandry — nawiązać kontakt z innymi, po czym powiedział:

— Zgłasza się Radek Olcha z bratem. My także jesteśmy gotowi...

— Radek! Baś! — okrzyk doktora Olchy uniemożliwił chłopcu dokończenie zdania, w którym miała być mowa o tym, z jakim mistrzostwem „obecne tutaj dzieci” uporały się z tą błąhą i zabawną przygodą, czyli z kosmiczną katastrofą. — Co u was?

— Dobrze, tato! Wiesz, ja coś uruchomiłem! — pisnął Baś. — Gdzie jesteś?

— Strasznie mi przykro, że zostawiłem was samych — odpowiedział natychmiast ojciec. — Ale nie ma powodu do obaw. Lecimy prosto do bazy, wkrótce będziemy na miejscu.

— My się nie boimy — rzekł sucho Radek.

— Wyłączcie się — zażądał stanowczo profesor Yaic. — Nadal nie mamy kontaktu z Patt i Anik. Będziemy je wywoływać.

— Biednebiednekobiecniatka! — rozczuliły się słuchawki głosem profesora O,Clahy. — Ciemnozimmoda-lekotoniedladziewczą. Ohydne, kosmate robaczywe-purchawki!!! — zakończył z pasją.

— Patt Hardy! Anik Jardin! Odezwijcie się — wołał szef nie istniejącej już, a raczej istniejącej w drobnych kawałeczkach, stacji K-1. — Włóżcie skafandry i włączcie osobistą aparaturę łączności. Halo, Patt! Halo, Anik!

— No, pewno! — prychnął pogardliwie Baś, którego krótka rozmowa z ojcem wprowadziła w bohaterski nastrój. — Z babami to tak zawsze.

— Cicho! — Radek drgnął, jakby go coś ukąsiło. — Wstydz się! Sam nie wiesz, co mówisz... — wykrztusił ze ściśniętym gardłem.

Stała mu przed oczami smukła sylwetka Anik, jej delikatna twarzyczka z cieniami padającymi od długich rzęs, wspaniałe warkoczki.

Dlaczego się nie odzywają? Może... Tu szybko wyliczył w duchu wszystkie niebezpieczeństwa, które czyhają w kosmosie na piękne dziewczęta. Ale zaraz przypomniał sobie o czymś, co dotąd nie przyszło mu do głowy, i aż syknął z przejęcia. Stacja K-1 była zbudowana z bezpiecznych kawałeczków, które w razie . potrzeby zamieniały się w samodzielne statki kosmiczne, z pewnością jednak nie dotyczyło to maleńkiego posterunku obserwacyjnego koło purchasek. Katastrofa mogła wprawdzie objąć tylko rejon stacji, ale niewykluczone, że dotknęła całą kometę, gdyby ta na przykład zderzyła się z jakimś innym ciałem kosmicznym. Tak czy owak, nawet jeśli podstacja ocalała, pozostał w niej Piotr Jardin... Bez rakiety, którą mógł-by wrócić do ludzi. I Anik o tym wie.

Szybko przesunął dłońmi po zapięciach skafandra, jakby chciał się upewnić, czy przedtem dobrze sprawdził jego szczelność. Następnie skoczył ku drzwiom.

— Co robisz?! — zawołał ze strachem Baś. — Tam przecież nie ma nic!

— Tam jest przestrzeń — odpowiedział Radek, od-ryglowując zamek. — I Anik... — dodał szeptem do siebie.

Trwożny okrzyk Basia sprawił jednak, że jego starszy brat trochę ochłonął i zaczął myśleć spokojniej. Przywiązał końce lin asekuracyjnych — swojej i Basia — do uchwytów w ścianie i dopiero potem jednym zdecydowanym ruchem pociągnął za klamkę.

Drzwi ustąpiły gładko i bez oporu, zupełnie jakby wypuszczały kogoś, kto postanowił przejść się po korytarzu. Tylko gwałtowny skok czujników umieszczonych pod okapami kasków poświadczył, że chłopcy znaleźli się w próżni.

— Widzisz coś? — spytał po dłuższej chwili milczenia Baś.

— Nie... To znaczy: gwiazdy...

Gwiazd było jeszcze więcej niż na czarnogranato-wym niebie komety. Układały się w konstelacje znane już starożytnym Ziemianom, ale tworzyły także figury i grupy, których nie sposób dostrzec z ojczyściej planety ludzi.

Dopiero po chwili, z prawej strony, na tle gwiazdozbiorów nieba południowego, zobaczyli trzy lśniące punkciki. Były z każdą chwilą jaśniejsze. Tylko po tym można było poznać, że się zbliżają. Natomiast na lewo...

Jakby słońce, znużone własnym blaskiem, przymknęło swoje wielkie, gorejące oko. Ogromna tarcza, czterokrotnie większa od Ziemi oglądanej z niewysokiej orbity, była żółto-brązowa, w czerwonawe i brudnozłote pasy. Neptun. Jedna z największych planet.

Radek, a nawet Baś byli już dostatecznie obyci z kosmosem, żeby teraz jego surowe, piękno podziwiać bez uczucia grozy, jakie bezdenne otchłań wszechświata budziła u pierwszych kosmonautów. Urodzili się przecież w wielkim mieście na Ganimedzie, księżycu Jowisza, skąd latali na Ziemię i na Marsa, a także do innych planetarnych osiedli. Na Ganimedzie została mama, która nie mogła towarzyszyć chłopcom, bo w jej instytucie przeprowadzano właśnie jakieś niezwykle ważne doświadczenie. Mama. Kiedy wszystko dobrze się skończy, ojciec powie jej tylko z uśmiechem:

„Wiesz, mieliśmy małą przygodę, było trochę zabawy”. Tak właśnie oznajmił po powrocie z wyprawy poza orbitę Plutona, kiedy rakieta, którą leciał, uległa awarii i przez dwa tygodnie dryfowała bez napędu, oddalając się stale od zamieszkanego świata.

Z zapatrzenia wyrwał Radka gorączkowy okrzyk.

— Patrz! Tam! Tam! — Baś wychylił się za próg, pokazując coś wśród gwiazd.

Radek odruchowo przytrzymał brata za ramię, wdu-sił z powrotem guziczek łączności i, dopiero usłyszawszy głosy pasażerów innych kabin K-1, spojrział we wskazane miejsce.

— Co? Gdzie? Nic nie wi... O, widzę! Widzę! — zawołał.

Ale nie on jeden dostrzegł w tym właśnie momencie to, co zwróciło uwagę Basia.

— O, o, o! Oneoneone! — zameldował po swojemu Sean O,Claha.

— Patt, Anik! Skoro jesteście w skafandrach i wychodzicie na zewnątrz, dlaczego nie odpowiadacie?! — głos profesora Yaica stał się niemal piskliwy.

— Co one wyprawiają?! A nie mówiłem! — wykrzyknął Nik Zadra.
„A nie mówiłem” — było zdaniem, którego Radek bardzo nie lubił, bez względu na to, kto i kiedy je wypowiadał. Teraz zabrzmiało ono w jego uszach niczym najgorsza obelga. Jeżeli natychmiast nie poinformował bladego, co o nim myśli, to tylko dlatego, że widok, jaki ujrzał, gruntownie i beznadziejnie pozbawił go zdolności mowy.

Na tle Neptuna skrzył się w ponurym blasku planety jeden z tych punkcików, na które rozsypała się dawna stacja K-1. Chociaż w wypadku tej akurat usamodzielnionej kabinki, przemienionej w lilipuci statek kosmiczny, słowo „punkcik” było niezbyt na miejscu. Znajdowała się ona znacznie bliżej Radka i Basia niż inne kabinki lecące po przeciwnej stronie;
Wyraźnie było widać nie tylko otwarte drzwi, lecz nawet wybiegającą z nich naprężoną linię, na końcu której biała mikroskopijna postać w skafandrze. Ale nie to, że Patt czy też Anik wyszła na zewnątrz, przejęło Radka taką grozą i zaparło mu dech w piersiach. Naprawdę straszne było co innego. Otóż ta kabinka najwyraźniej w świetle zostawała w tyle, i to tak szybko, jakby leciała w przeciwnym kierunku.

— Zwariowały baby! — wykrzyknął Oleg Zadra, dając do zrozumienia, że w tym jednym jedynym wypadku podziela pogląd swojego „przewidującego” syna. — Zaraz znajdą się poza strefą wzajemnego przyciągania segmentów i licho wie, jak je potem ściągniemy do bazy!

— Patt, Patt, Patt, natychmiast z powrotem! Dziewczyny, opamiętajcie się! Proszę was! Patt! Anik! — wołał zupełnie nie po swoim, a nawet wręcz płaceliwie profesor O,Claha.

— Nik, pilnuj liny! — w głosie Olega Zadry pojawiła się nagle nowa, twarda nuta. — Kiedy szarpnę trzy razy, ściągnij mnie ostrożnie z powrotem.

— Tak, tato.

— Oleg, co chcesz zrobić? — zaniepokoił się Yaic.

— Nic takiego. Po prostu wyłączę napęd. W ten sposób przestanę lecieć w kierunku bazy i będę miał szansę ściągnięcia kabiny dziewcząt. Postaram się dolecieć do nich, manewrując pistolecikami.

— Oleg, nie mogę się zgodzić. To niebezpieczne...

— One także wyłączyły napęd. Inaczej nie zostawałyby z tyłu.

Słuchawki umilkły. Widać to, co chciał zrobić Zadra, było naprawdę jedyną szansą ocalenia Patt i Anik.

Postać w skafandrze, widoczna na tle Neptuna, w tym momencie strzeliła za siebie z pistolecika. W wyniku odrzutu ona sama, a także kabina, z którą była połączona liną, posunęły się, wprawdzie bardzo nieznacznie, ale nadal w kierunku odwrotnym do tego, w jakim leciały wszystkie inne ocalone fragmenty K-1. W drzwiach kabiny stała nieruchomo druga jej pasażerka, także w białym skafandrze. Anik? Patt? Jeśli jedna z nich zwariowała i — zamiast lecieć do bazy — steruje w otchłań wszechświata, dlaczego druga przygląda się temu tak spokojnie?

Po przeciwnej stronie coś błysnęło. Radek wyteżył wzrok i ujrzał sylwetkę człowieka unoszącego się tuż nad latającym segmentem. „Zadra” — domyślił się.

— Oleg, co u ciebie? — spytał w tej chwili profesor Yaic.

— Jestem przy dyszach. Szukam wyłącznika...

— Tam jest taka czarna rączka. Ale pamiętaj, że jeśli za nią pociągniesz, to nie zatrzymasz silnika, tylko odrzucisz go w przestrzeń. Nie wiadomo, czy w twoich pistolecikach jest dosyć energii, żebyś mógł dolecieć do Patt i Anik. A co będzie potem?

— Mamy cztery skafandry. Przy każdym są dwa pistoleciki — odpowiedział słynny podróżnik. — A po tem? Cóż, jakoś mnie znajdziecie. Zresztą nie ma o czym mówić. Trzeba je ratować. A ja jestem najbliżej.

— Najbliżej są Radek i Baś, ale...

— Właśnie! — uciął Oleg Zadra.

Od jego kabiny odprysnęła złota iskierka. Ojciec Nika znalazł wyłącznik i odrzucił silnik. Jeszcze jeden zaimprovizowany stateczek zaczął zostawać z tyłu.

— Baś! — szepnął nie swoim głosem Radek.

— Co?

— Poczekasz tutaj, przy drzwiach, i będziesz uważał. Kiedy szarpnę linę, ściągniesz mnie z powrotem.

— Coś ty? Co chcesz zrobić?

— Jesteśmy najbliżej — odpowiedział Radek, rozwijając linę. — Nie słyszałeś?

— Ale...

Ostrzegawcze: — Psst! — syk gazu uchodzącego z pistolecika i... Baś został sam.

— Halo! Radek, Baś! Który z was wyszedł -na zewnątrz? Co robicie? Odpowiadajcie!

— Za chwilę — wydyszał Radek, mocując się już z ową czarną rączką, o której mówił profesor Yaic. — Uff! — wyrwało mu się westchnienie ulgi, kiedy silnik spokojnie oddzielił się od kabiny i uciekł w przestrzeń.

Już nie lecieli do bazy, gdzie czekało ciepło, powietrze i ludzie...

— Radek! Baś! — nie przestawał wołać profesor;

— Odłączyłem silnik! — krzyknął chłopiec, pociągając za linę. — Za chwilę polecimy po Patt i...

Urwał nagle. Moment szarpnięcia liny wykorzystał bowiem jakiś kosmiczny olbrzym, aby go brutalnie porwać i z przeraźliwą szybkością pociągnąć do swojej kryjówki w najdalszej części wszechświata.

— Radek?! Co się stało?!

Nie było odpowiedzi. Co prawda nie było także olbrzyma. Tego ostatniego z powodzeniem zastąpił Baś. Radek poszybował w stronę drzwi z szybkością błyskawicy. Po drodze wyrznął łokciem o krawędź kabiny i wykonał całą serię obłąkańczych koziołków. Koniec końców wylądował u stóp Basta — bezgranicznie zachwyconego własną sprawnością:

— Radek! Baś!

— Wszystko w porządku — wybełkotała ofiara gwiazdnego olbrzyma.

— Co mówisz? — denerwował się uczony.

— Mówię, że wszystko w porządku — powtórzył powoli i z wysiłkiem Radek, usiłując równocześnie kopnąć Basia w kostkę. Ponieważ jednak w stanie nieważkości przedsięwzięcie takie było z góry skazane na niepowodzenie, łypnął tylko wściekle oczami i mówił dalej: — Zrobiłem to, co pan Zadra. Odłączyłem silnik. Teraz polecimy ratować Patt i Anik.

Nie czekając na odpowiedź, odepchnął Basia i wszedł do kabiny po rezerwowe pistoleciki. Jakiś czas w słuchawkach panowała głucha cisza.

— To ja powiedziałem, że chłopcy są najbliżej... — rzekł wreszcie profesor Yaic.

— Skąd mogłeś wiedzieć, co im strzeli do głowy — w głosie doktora Olchy obok niepokoju zabrzmiała ledwo uchwytna nutka dumy. Radek przestał słuchać. Przywiązał linę Basia do swojej, po czym — nie bez mściwej satysfakcji — unióś zgiętą w kolanie nogę, oparł stopę na wypukłości pod plecami braciszka i wyprężył się nagle jak uwolniona sprężyna. Kiedy Baś zniknął wśród gwiazd, skoczył za nim. Po paru sekundach poczuł, że zwalnia, więc skierował za siebie lufę pistolecika i pociągnął

za spust. Odczekał chwilę, po czym strzelił znowu. Jeszcze raz. I jeszcze.

Wkrótce musiał odrzucić pierwszy pistolecik, w którym wyczerpały się zapasy paliwa. Zostało siedem. Potem sześć. Pięć. A kabina Patt i Anik wciąż była jeszcze daleko.

Zacisnął zęby. Utkwił wzrok w tym maleńkim pudełeczku, które przestało już świecić, ciemniejąc teraz na tle planety, i powtarzał sobie, że doleci. Musi dolecieć. Przekona się, dlaczego Patt i Anik nie odpowiadają, pomoże im, uruchomi centralki łączności, sprawdzi, czy mają dosyć tlenu. A potem? Mniejsza o to, co będzie potem. Przecież Oleg Zadra powiedział: „Jakoś mnie znajdziecie”. Właśnie. Jakoś ich znajdą. A jeśli nie, to sami spróbują dotrzeć na orbitę Neptuna. Najważniejsze, że będą razem i...

W tym momencie kątem oka spostrzegł na lewo ód swojej głowy jakąś upiorną, białą rękę.

„Jestem zmęczony. Jestem zmęczony i zaczynam widzieć potwory, niczym w głupim śnie...”

O śnie nie było jednak mowy. W ślad za ręką wysunęła się najpierw głowa uzbrojona w próżniowy kask, a następnie wyciągnięta sylwetka mężczyzny w skafandrze. Mężczyzna ten ciągnął za sobą linę, dokładnie tak samo, jak Radek. Właśnie okręcił się powoli wokół własnej osi. Za przezroczystą osłoną hełmu ukazała się twarz Olega Zadry.

Cóż to znowu?! Przecież sławny podróżnik także holuje za sobą Nika, więc dlaczego leci szybciej niż oni?

Radek z pasją posłał za siebie długą serię. Pomogło, ale tylko na chwilę. Niebawem znów przed jego głową ukazała się najpierw biała ręka, potem...

Z wrażenia aż przestał strzelać. To nie był już Oleg Zadra, tylko Nik! Nik! A w dodatku dlatego wysuwa się do przodu, że on, Radek, zachował się jak baran! Leci, ciągnąc za sobą (bezwolnego Basia niby kotwicę, podczas gdy Zadrowie znaleźli znacznie lepszy sposób szybkiego dotarcia do Patt i Anik. Strzelali mianowicie obaj, i to na przemian. W momencie gdy ojciec wyprzedzał syna i ten odczuwał lekkie szarpnięcie liny, sam pociągał za spust. W ten sposób wykorzystywali także to szarpnięcie, a ściślej mówiąc, niewielkie, ale liczące się przyśpieszenie, które dzięki niemu uzyskiwali.

„Nie ma się już do czego śpieszyć” — pomyślał Radek ponuro. I co z tego, że był najbliżej? Wyglądał się tylko. Nie wystarczy mieć szansę, choćby największą. Trzeba ją jeszcze umieć mądrze wykorzystać. Kto inny uratuje Patt i... Anik.

Zatopiony w gorzkich refleksjach nie zauważył, kiedy od strony Neptuna przypląnęła wielka, zaćmiwiająca gwiazdy plama ani kiedy ta plama szerniała, zmaląła, a potem, zbliżając się, przybrała kształt najprawdziwszego statku kosmicznego. Nie widział, jak od statku oddzieliła się mała talerzowata sonda i po krótkim locie przywarła do kabiny stanowiącej wspólny cel Zadrów i jego.

Ocknął się dopiero na dźwięk obcego, męskiego głosu, który niezwykle silnie i wyraźnie zabrzmiał w słuchawkach.

— Zgłasza się pilot Alan Bysson za sterami rakiety średniego zasięgu, „Eta” — padła zwyczajowa formułka. — Przed chwilą przyjąłem na pokład dwie kobiety. Są bezpieczne i zdrowe. Teraz wzywam kosmonautów podróżujących w samych skafandrach. Wysyłam po was dwie sondy z automatami. Przygotujcie się. Radek otworzył szeroko oczy. „Pilot?... rakieta?...; kobiety?... sondy?...” — zakotłowało mu się w głowie. Aha, kobiety! Więc to koniec wyścigu i... strachu! Nie uratował wprawdzie Anik, ale nie uratował jej także Oleg Zadra razem ze swoim przemądrzałym sygnałem! Zresztą nieważne. Grunt, że wszyscy są już bezpieczni!

— Pro-szę-za-cho-wać-spo-kój — wydukał metaliczny głos. — Prze-cho-dzi-my-na-pok-lad-son-dy...

Chłopiec poczuł, że ogarnia go nieposkromiona wesołość. Uczucie było idiotyczne, ale nic nie mógł na to poradzić. Chciało mu się śmiać, śmiać i jeszcze raz śmiać.

— Czy nie skonstruował cię przypadkiem profesor O,Claha?! — zawołał pozwalając się unosić stalowym wysięgnikom, których uścisk był jednocześnie i mocny, i delikatny.

— Nie-ro-zu-miem-py-ta-nia.

— Nic, nic! Gadasz tak samo, jak on, więc myślałem...

— Jes-tem-ro-bo-tem-iks-ze-ro-ze-ro-sie-dem-dzie-siąt...

— Dobrze już, dobrze! A gdzie Baś?

— Tu! Tu! — wykrzyknął znajomy głosik. — Ale fajnie!

Podróż do statku w maleńkiej, lecz wygodnej sondzie trwała tak krótko, że chłopcy nawet nie zauważyli, kiedy zamknęły się za nimi pancerne płyty włazu towarowego. Gdy tylko wysiedli, Radek odruchowo rozejrzał się po wielkim, mrocznym pomieszczeniu i jego dobry humor stał się odrobinę mniej dobry. Ogarnęło go dziwne wrażenie, że coś tu jest nie w porządku. Po chwili zrozumiał. Jak na zwykłą raketę średniego zasięgu statek miał dziwnie dużo pomocniczego sprzętu latającego i nadzwyczaj silną budowę. Świadczyły o tym potężne wiązania dyszy napędowych biegnące grubymi stożkami wzdłuż zmatowiałych ścian. Obok najróżniejszych sond stały tutaj — zabezpieczone elektromagnesami — trzy zwiadowcze łaziki, z których jeden był pokryty warstwą białawego kurzu. Radek przyjrzał się jego szeroko rozstawionym reflektorom i, nie wiedząc czemu, pomyślał, że ich światło z pewnością musi być widoczne ze znacznej odległości.

W tym momencie doszli wraz z Basiem do śluzy łączącej ładownię z mieszkalną częścią statku. Tu czekali na nich Oleg Zadra i Nik.

— Brawo, Radek! — zawołał słynny astrograf. — Byłeś... Byliście — poprawił się — wspaniali!

Wewnętrzne drzwi śluzy stały otworem i Radek zobaczył w korytarzu chudego, średniego wzrostu mężczyznę, który mówił coś do Patt. Obok niej, odwrócona plecami do drzwi, stała Anik. W przygarbionej, jakby skurczonej z zimna sylwetce dziewczyny było coś takiego, że chłopcu serce skoczyło do gardła;

— Pierwszy raz zdarzyło mi się spotkać kobiety, które w ogóle nie mówią — powiedział Oleg Zadra. — Co wyście najlepszego wymyśliły? Czy zepsuła wam się łączność? Czy...

Wodził wzrokiem od jednej pobladłej twarzyczki do drugiej, po czym rozłożył bezradnie ramiona.

— Anik wyszła i wyłączyła napęd — wyszeptwała po dłuższej chwili milczenia Patt. — Chciała... chciała wrócić na K-1 po ojca...

Twarz słynnego podróżnika od razu zmieniła wyraz:

— Przecież to nie mogło się udać! — rzekł zdławionym głosem. — I ty powinnaś była wytłumaczyć jej, że to niemożliwe. Nawet milion pistolecików nie wystarczyłoby dla pokonania dystansu dzielącego nas od Piotra.

Patt nisko spuściła głowę.

— Powinam — wychrypiąta przymkując swoje śliczne zielonkawe oczy. — Powinam — powtórzyła jeszcze ciszej — ale Anik wyskoczyła z kabiny tak szybko, że nie zdążyłam jej zatrzymać. A potem...

nie wiem, co się ze mną działo. Stałam w drzwiach i nie mogłam ruszyć ręką ani nogą. Miałam zupełną pustkę w głowie...

Radek zdumiał się. Jak to? Patt Hardy — według słów ojca jedna z najzdolniejszych i najbardziej od-powiedzialnych pracownic Instytutu Galaktycznego—straciła głowę do tego stopnia, że pozwoliła Anik sterować w bezkresną próżnię, skazując ją i siebie na nieuchronną zagładę?! Niemożliwe!

Nagle przypomniał sobie wyraz jej oczu, kiedy patrzyła w ekran, na którym widniała uśmiechnięta twarz Piotra Jardin, i przestał się dziwić. Patt po prostu nie mogła powstrzymać Anik. To było silniejsze od niej.

Oleg Zadra także zrozumiał.

— No, a przede wszystkim — zawołał przesadnie wesołym głosem — co by było, gdyby Piotr wrócił, zanim komuś udałoby się ściągnąć was z jakiejś dalekiej gwiazdki?! Wszyscy mielibyśmy się z pyszna!

Anik drgnęła i odwróciła się w stronę mówiącego.

— Gdyby wrócił wcześniej? — jej szept był ledwie słyszalny. — Ale przecież tam...

— Co: tam?! Myślicie, że pozwolimy człowiekowi siedzieć beczynn timer na jakiejś zapurchawionej komet-ce, kiedy tutaj jest tyle roboty?! Też coś! Prawda? — zwrócił się do pilota „Ety”, który w odpowiedzi wymamrotał coś niezrozumiale. Nie zrażony tym Zadra zaśmiał się i ciągnął dalej: — To był piękny odruch z waszej strony, ale w kosmosie trzeba umieć zachować szczyptę rozsądku, nawet wtedy kiedy o rozsądek jest bardzo trudno. Zresztą to dotyczy nie tylko was — położył rękę na ramieniu Radka. — Ten młody człowiek ze swoim jeszcze młodszym bratem także nieźle nabroili. Skoczył w przestrzeń, żeby was ratować, tak jakby się wybierał do parku na spacer. Nawet nie uprzedził nas, co zamierza zrobić! Rozsądek rozsąd

kiem, ale Michał może być dumny ze swoich synów! — zakończył zupełnie niespodziewanie.

Anik uniosła powoli głowę i Radek ujrzał utkwione w siebie wielkie, niebieskie oczy. Ich spojrzenie było smutne, przygasłe, ale odbiło się w nim także coś, co sprawiło, że chłopcu zrobiło się nagle gorąco. Zdał sobie sprawę, że dla takiego spojrzenia gotów byłby nie raz, ale siedemdziesiąt siedem razy dać nura w gwiazdy, choćby nie wiem ilu znakomitych podróżników, uczonych i badaczy wykładało mu teorię „szczypty rozsądku”.

— No, pięknie! A co z innymi? — Oleg Zadra nie przestając nadrabiać miną znów zwrócił się do pilota.

— Wylądowali w bazie zgodnie z programem — rzekł beznamiętnym głosem Alan Bysson. — Wszyscy są już bezpieczni.

Radek z trudem oderwał wzrok od Anik i przyjrzał się pilotowi „Ety”. Jego twarz była blada, szczupła, pocięta głębokimi bruzdami i jakby martwa. Pomyślał, że nie będzie lubił tego człowieka, chociaż ich uratował. To jego mamrotanie, kiedy Zadra usiłował przekonać Anik, że

jej ojcu nie grozi żadne niebezpieczeństwo...

Pilot średniego zasięgu. Hm... Alan Bysson nie był już młody. Dziwne, że dotąd nie zdobył licencji pierwszego stopnia. A swoją drogą... Potężne dysze napędowe „Ety”, ogromna ładownia z łądowniskiem, wielka ilość sond, wreszcie ten zakurzony łązik, jakby zapomniany albo właśnie przeciwnie — używany tak niedawno, że roboty nie zdążyły go nawet oczyścić...

Chłopiec pomyślał nagle o tajemniczych światełkach, które pokazały się na horyzoncie K-1, kiedy Piotr Jardin obejmował swój posterunek obserwacyjny. Przypomniał sobie, że jak tylko je ujrzął, od razu przyszły mu na myśl reflektory łązika. Dziwne.

Śpiący królewicz

— W bazie znajdowały się tylko dwa duże statki i obydwa wystaliśmy na K-1. Miały wrócić z wami — powiedział profesor Olaf Kuningas, kierownik bazy Instytutu Galaktycznego na orbicie Neptuna.

Profesor Kuningas był znakomitym biochemikiem, jednym z najszynniejszych i najbardziej zasłużonych uczonych, jacy torowali ludziom drogę do gwiazd. Szczupły, drobny, miał pociągłą twarz, bujne, lekko szpakowate czarne włosy i duże, spokojne, piwne oczy, które teraz patrzyły z wyrazem głębokiego zatroskania. Zachowywał się bardzo powściągliwie, mówił mało i cicho, słowem — spodobał się Radkowi od pierwszego wejrzenia.

Rozbitkowie z K-1, doktor Olcha z Radkiem, obaj Zadrowie, a także profesor Yaic, siedzieli w obszernej pracowni na poziomie mieszkalnym i rozmawiali z gospodarzami bazy, wspomnianym już profesorem Ku-ningasem oraz młodym fotonikiem o wesolej, szerokiej twarzy, Witoldem Daubą. Sean O,Claha wraz z Patt i Anik poszli do dyspozytorni, gdzie próbowano nawiązać łączność z posterunkiem Piotra Jardin, a Baś w towarzystwie pewnego łysego i grubego chemika, który znał rodzinę Olchów jeszcze z Ganimeda, udał się na zwiedzanie bazy.

— Te dwa statki trzeba uznać za stracone — profesor Yaic pokiwał smutnie głową. — Skoro stacja została wystrzelona w kosmos, katastrofa musiała być poważna. A obie rakiety, o których wspominałeś — spojrzął na Kuningasa — znajdowały się tuż obok stacji. Niemożliwe, żeby ocalały.

Witold Dauba rozłożył bezradnie ręce.

— Ogłosiliśmy alarm dla całego sektora. Niestety, dwa pierwsze duże statki przylecą dopiero za dwa dni.

— Przepadła także moja rakietka — rzekł z zadumą Oleg Zadra. — No, a statek Byssona? — spytał.

— Obawiam się, że dawno już powinien pójść na złom — odpowiedział Kuningas. — Zresztą to rakietka średniego zasięgu. Bysson nam opowiadał, że lata na niej, od kiedy tylko zaczął pracować jako pilot, i że bardzo jest do niej przywiązany. Przybył do nas z Ośrodka Wielkich Szybkości wraz ze swoim starym statkiem. Nie ma mowy, żeby „Eta” dotarła na K-1.

— Boję się, że może być za późno — rzekł stłumionym głosem profesor Yaic. — Niedługo kometa zacznie się topić... najpierw lód metanowy, potem amoniakalny...

Nastąpiła cisza.

— Jaka jest szansa, że posterunek obserwacyjny ocalał? — zapytał wreszcie Oleg Zadra.

Radek czekał na to pytanie od początku rozmowy, z nadzieją, a jednocześnie lękiem.

— Inaczej mówiąc — ciągnął umyślnie szorstkim głosem podróżnik — czy istnieje prawdopodobieństwo, że Piotr w ogóle żyje?

— Uważasz, że gdyby ryzyko było zbyt wielkie?... — doktor Olcha zawiesił głos i spojrzął na niego niepewnie, jakby ze zdumieniem.

Zadra energicznie potrząsnął głową.

— Uważam, że próbować trzeba też względu na wszystko — odrzekł twardo. — Ale chciałbym wiedzieć.

— Awaria nastąpiła tak nagle, że komputer uległ zniszczeniu, zanim zdążył nam przekazać choćby strzęp informacji o jej przyczynach i rozmiarach — powiedział swoim cichym głosem profesor Kuningas. — Nie wiemy, jak teraz wygląda kometa. Ale jeśli katastrofa miała charakter lokalny, Piotrowi nic się nie stało, mógł nawet jej nie zauważyć, przynajmniej w pierwszej chwili. Jego posterunek jest przecież oddalony od stacji o dobre pięćdziesiąt

kilometrów.

— Żeby tak nawiązać łączność! — westchnął Yaic. — Ale kto mógł przypuszczać... Sądziłyśmy, że wystarczy, jeśli Jardin będzie mógł rozmawiać ze stacją. Wyposażyliśmy posterunek w najprostszy nadajnik bliskiego zasięgu.

Znowu zapadło milczenie. Skądś, z głębi wielkiego satelity, dobiegły przytłumione dźwięki muzyki.

— I jeszcze na dodatek — odezwał się wreszcie profesor Yaic — nie wiadomo, jak się zachowują te lodowe kamienie, które tak nagle ożyły pod wpływem ciepła. A temperatura powierzchni komety stale rośnie.

— Właśnie, ożyły! — podchwycił z raptownym błyskiem w oczach młody fotonik. — Wiecie, że to fantastyczne! Na podstawie danych, jakie otrzymaliśmy wczoraj od komputera stacji K-1, główny mózg instytutu orzekł, że one mogą być żywe...

— Co?!

— Jak to?!

Profesor Kuningas skinał niechętnie głową.

— Owszem — przyznał jakby z przymusem; — Chodzi o energię wiązań nie znaną dotąd naszej nauce. Główny komputer doszukał się w nich podobieństwa do podstawowych związków organicznych. Oczywiście, nie ma mowy o jakiegokolwiek wyższej formie życia, w każdym razie takiego, jakie znamy na Ziemi. Ale za mało jeszcze wiemy, żeby wysuwać hipotezy. Zresztą nie pora na to. Teraz trzeba zmobilizować wszystkie siły dla ratowania Piotra. No — wstał ciężko i ruszył w stronę wyjścia — pójdę do dyspozytorni i zobaczę, czy przypadkiem nie złapali jakichś sygnałów. Gdyby Piotr przebudował odbiornik...

Nie skończył. Nie zdołał także opuścić pracowni, jak to sobie zaplanował, bo drogę zagroziła mu przedziwna postać, która właśnie ukazała się w drzwiach. Był to mężczyzna odznaczający się niebywałym wzrostem, a przy tym tak chudy, że mógł sam sobie służyć jako wędka. Miał nieproporcjonalnie długie ręce oraz małą wąską głowę ozdobioną pióropuszem srebrzystobiałych włosów. Przypominał bardziej poruszającego się pionowo węża niż człowieka, jego ciało wyginało się we wszystkie strony, jakby bez chwili przerwy trenował pływanie.

— Skandal! Tak! Nie! — zaryczał.

Profesor Yaic wstał, usiadł, następnie znowu wstał i zrobił dwa kroczki do tyłu. Oleg Zadra odruchowo sięgnął po leżącą obok niego kamerę filmową.

— Co się stało, Mig? — spytał spokojnie Kuningas.

— Tłum! Bachory! Protestuję!

Witold Dauba uznał, że powinien podjąć próbę zażegnania wzbierającej burzy. Zerwał się, podszedł szybko do drzwi i z uprzejmym uśmiechem rozłożył ramiona, jakby chciał przedstawić sobie nawzajem najmielszych gości biorących udział w uroczystym przyjęciu.

— Proszę, proszę — wskazał rozwścieczonemu chudzielcowi obecnych w pracowni — to są rozbitkowie z K-1, a to jest — skłonił się wytwornie — profesor Mig Fufurya, znakomity grawitonik.

Pojednawcza akcja młodego naukowca spaliła jednak na panewce. Wielki grawitonik uciszył go bezlitosnym ruchem ręki i znów wrzasnął:

— Kosmos! Praca! Skupienie!

Radek, ochłoniwszy z pierwszego wrażenia, wbił pełen niekłamanego podziwu wzrok w sinusoidalną postać krzykacza. Profesor Fufurya wystrzeliwał z siebie pojedyncze słowa jak petardy pękające podczas świątecznego festynu w orbitalnym parku, wewnątrz pierścienia Saturna. Chłopcu mimo woli przyszedł na myśl mówiący z szybkością zepsutej katarynki O,Claha i postanowił, że bezwarunkowo musi być obecny przy pierwszym spotkaniu tych dwóch zasłużonych badaczy kosmosu.

— Mig, powiedz wreszcie, o co chodzi? — profesor Kuningas nerwowo potarł sobie dłonią czoło, ale jego głos brzmiał nadal spokojnie.

— Chodzi?! — łypnął okropnie oczami Fufurya. — Chodzi! Tak! Chodzi! Bajdurzy! Ja myślę! Ja pracuję! Ja: bunt robotów! On: Kopciuszek! Ja symuluję atak potworów! On: krasnoludki! Ja; ogień antymaterii! On: stoliczku, nakryj się!

- Kto!
- Dziecko!!! — zawył Fufurya.
- Tato — szepnął cichuteńko Radek — gdzie jest Baś?

W oczach doktora Olchy odbiła się panika. Zerwał się, wziął rozsierzzonego grawitonika pod ramię i zaczął go ciągnąć w stronę drzwi.

— Proszę pozwolić, profesorze — mówił jednym tchem, bez najmniejszej przerwy, żeby nie dać przeciwnikowi dojść do słowa — chciałbym zobaczyć to dziecko, chodźmy tam zaraz, postaram się, żeby nie przeszkadzało...

Ostatnia część rozciągniętego niczym guma zdania dobiegła już z korytarza. Zaskoczony człowiek-wąż pozwolił się wyprowadzić, jakby sam był dzieckiem, które bajdurzy o krasnoludkach w czasie obrad uczonych rozwiązujących najtajniejsze zagadki wszechświata.

— Uf — westchnął z ulgą Oleg Zadra, kiedy wszystko ucichło. — Co to właściwie było?

Radek nie czekając na odpowiedź, z którą zresztą nikt się nie kwapił, skoczył w ślad za ojcem. Już na progu zatrzymał go jednak głos Dauby.

— Poczekaj! — zawołał fotonik. — Jesteś u nas pierwszy raz, prawda?

Chłopiec odwrócił się niechętnie. Na twarzy młodego naukowca błąkał się jakiś nieokreślony uśmiezek;

— Owszem.

— To uważaj na potwory! Nie tylko te, które wyobraża sobie profesor Fufurya.: „Kpi ze mnie? — pomyślał Radek. — Potwory?” Na wszelki wypadek zrobił obrażoną minę i przybrał postawę człowieka, który nie chce się okazać niegrzeczny względem kogoś, kogo trzymają się głupie dowcipy.

— Potwory, istoty z innych światów, pająkowate gwiazdy, w ogóle wszystko, co tylko mogłoby komuś przyjść na myśl. Ale nie bój się. One nie są groźne.

Radek pochmurniał coraz bardziej. W dodatku, w miarę jak słuchał, umacniało się w nim przekonanie, że młody uczyony wcale nie żartuje. Wiedział, że fotonik, chociaż wygląda jak jego starszy kolega, ma już poważny dorobek naukowy. Pracuje w Ośrodku Wielkich Szybkości na jednym z księżyców Saturna, a do bazy Instytutu Galaktycznego przyjechał na staż, w związku z planowaną gwiazdną wyprawą... Więc co u licha?!

— Tak — melancholijne brzmienie głosu profesora Kuningasa musiało rozproszyć ostatnie wątpliwości chłopca. — Trzeba uważać na potwory. Słyszałeś coś o zielonej metodzie?

— Niektórzy nazywają ją także zwariowaną! — zaśmiał się na odmianę Oleg Zadra. — Ale dla kogoś obdarzonego fantazją to istny raj na Ziemi... a raczej w kosmosie.

— Więc pamiętaj — podjął znowu Dauba, ciągle patrząc na Radka z uśmiechem. — Cokolwiek zobaczysz, zachowaj spokój. Nic tutaj nikomu nie grozi: Poza widokami...

Jedyne, co Radkowi pozostało, to wycofać się z godnością, jakby żaden wielki uczyony nie wspomniał przed chwilą o potworach, zwariowanych metodach i widokach. Widokach? W satelitarnej bazie! Chrząknął znacząco, wyprostował się i wymaszerował z pracowni na korytarz.

Kiedy leciał na K-1, nie zwiedzał wnętrza bazy, przesiedlił się z Basiem od razu na transportowiec. Teraz, po wylądowaniu, zaprowadzono go tylko najpierw do salki medycznej, gdzie na wszelki wypadek rozbitków z K-1 poddano badaniom lekarskim, potem do łazienki i do jadalni, a wreszcie na spotkanie z profesorem Kuningasem i Witoldem Daubą. Ale był zbyt oszołomiony niedawnymi przejściami, żeby rozglądać się po otoczeniu.

Pracownia, którą właśnie opuścił, nie różniła się niczym od innych tego typu pomieszczeń i mogła równie dobrze służyć naukowcom zarówno na Ganimedzie, jak i na orbicie okołoziemskiej. Jednak korytarz był już inny. Po pierwsze, przestronniejszy niż tego wymagało jego przeznaczenie, a po drugie, cały wyłożony jakąś matową, szklistą masą. Takiego materiału Radek jeszcze nie widział.

Podszedł do ściany i musnął ją koniuszkami palców. Poczł delikatne, kłujące mrowienie i szybko cofnął

rękę. Czyżby cała baza była pod napięciem? A może na tym ma polegać ta zwariowana metoda. Przypomniał sobie nagle ni stąd, ni zowąd, że ponoć kiedyś, bardzo dawno temu, ludzi, którym zepsuło się coś pod czaszką, leczono prądem elektrycznym. Puszczona w ruch wyobraźnia podsunęła mu obraz poważnego profesora Kuningasa, Witolda Dauby i samego straszliwego grawitonika podczas takiej kuracji.

Nagle światło w korytarzu przygasło, jakby pod sufitem zawisła ciężka, posępna chmura. Z tej chmury strzeliły błyskawice. Chciał krzyknąć, ale słowa uwięzły mu w krtani. Rozpaczliwie skoczył przed siebie, żeby jak najprędzej przebyć to dziwne miejsce. Wtedy drogę zastąpiły mu trzy koszarne postacie. Na pierwszym planie wielka, chuda sylwetka wyginała się jak gąsienica, od czasu do czasu wściekle podskakując. Za nią drugi mężczyzna, z jasnymi włosami, bawił się niewidzialną skakanką. Trzeci, w którym przerażony Radek rozpoznał szacownego kierownika bazy Neptuna, stał na głowie i usiłował schwytać swoje tańczące w powietrzu nogi, aby zawiązać je sobie w kokardkę.

— Ueeee!!! — z piersi chłopca wydarł się mrozący krew w żyłach okrzyk, który powrócił z głębi korytarza jeszcze okropniejszym echem, jakby gdzieś wewnątrz satelity ktoś usiłował upiec żywcem dorodnego barana. Równocześnie sam sprawca alarmu, to znaczy Radek, a nie baran, dał szalonego susa do tyłu, zatoczył się, wyrznął łokciem w ścianę...

I wtedy, w ułamku sekundy, wszystko znikło. Przed nim był pusty, jasno oświetlony korytarz. Po chmurze, błyskawicach i upiornej trójce nie zostało ani śladu.

Upłynęło sporo czasu, zanim chłopiec, zaczerpnąwszy uprzednio kurczowo powietrza, zdolał wyszeptać: —

Fu-fu-fu... — Po czym musiało minąć jeszcze pół minuty, aby mógł otrzeć sobie pot z czoła i postanowić, że w ogóle niczego nie widział.

Powziąwszy takie postanowienie, na wszelki wypadek od razu ruszył dalej, w ślad za ojcem i profesorem Fufurya.

Wielki grawitonik mówił, jeśli wydawane przez niego odgłosy można nazwać mówieniem, o jakimś dziecku wygłaszającym baśniowe zaklęcie: „stoliczku, nakryj się!” Należało się więc spodziewać, że Baś przebywa teraz w jadalni. Radek pamiętał, którędy trzeba tam iść. Na pierwszym skrzyżowaniu musi skręcić w lewo, potem jeszcze raz w lewo...:

Wyobrażając sobie ucztującego Basia, dotarł do zakrętu i, kiedy go mijiał, przypadkiem dotknął rękawem ściany. W jednej chwili korytarz na powrót spowiła mroczna chmura. Pod nią ukazała się lśniąca ponurym światłem i powiększona do monstualnych rozmiarów twarz najmłodszego przedstawiciela rodziny Olchów. Baś, z wyrazem ohydneho upodobania, pochylał się nad ogromnym talerzem, na którym z powodzeniem mógłby się zmieścić pieczony hipopotam. Zaledwie Radkowi przyszedł na myśl hipopotam, na talerzu wyrosło wspomniane zwierzę w całej okazałości. Baś zrobił się jeszcze większy, błysnął łokciem oczami, zamachnął się widelcem...

— Przestań! — nie wytrzymał Radek. — Tato! Tato!!!

Nad Basiem wyjrzała z sufitu wykrzywiona w złowróżnym grymasie twarz doktora Olchy. Jego młodszy syn natychmiast zaczął się kurczyć... kurczyć...

Radek zamknął oczy i zwiesił bezradnie ramiona:

Baś po stokroć zasłużył na karę, ale żeby miał tak po prostu zniknąć...

I nagle spłynęło na niego olśnienie.

Przecież zanim zobaczył tamtą trójkę miotaną wściekłymi drgawkami, dotknął wykładziny korytarza, bo zaciekało go, z czego też może być zrobiona:

Potem pomyślał o wariatach i prądzie elektrycznym. A kiedy uderzył łokciem w ścianę, wszystko znikło. Teraz znowu otarł się przypadkiem o ową dziwną wykładzinę, myśląc przy tym o łakomstwie swojego brata...

Postanowił od razu sprawdzić to najnowsze odkrycie a, wyciągnąwszy ramię, po omacku poklepał dłonią ścianę. Dopiero potem otworzył szeroko oczy. Przed nim nie było nic. Prosty, czystutki korytarz zalany łagodnym światłem.

— Fu-fu-fu! Wu-wu-wu! — poprawił się zaraz.

Fantastyczne! Kiedy dotknie się tej niby szklanej ściany, człowiek natychmiast w i d z i to, o czym właśnie myślał, choć obrazy są zmienione i wykoślawione, jak bywa w dziwacznych snach. „Uważaj na potwory” — zabrzmiały chłopcu w uszach słowa Witolda Dauby. A więc

uczony naprawdę nie żartował. Tyle tylko, że potwory, przed którymi ostrzegał, miały się zrodzić jedynie we własnej wyobraźni młodego gościa bazy.

W tym momencie usłyszał głosy, z których jeden był piskliwy i najwyraźniej rozradowany, a drugi mógł należeć do mężczyzny poddanego wbrew swojej woli lodowatemu prysznicowi. Ruszył szybko naprzód i niebawem stanął w otwartych na oścież drzwiach jadalni. Zajrzał do środka i... W pierwszej chwili zaczął sobie gorączkowo przypominać, kiedy teraz dotknął znów tej dziwnej ściany i co sobie przy tym pomyślał. Ale nie. Postacie wewnątrz były najzupełniej realne.

Pośrodku dużej kabiny szalał profesor Mig Fufurya:

Płonące oczy grawitonika patrzyły wściekle spodszczołki nastroszonych włosów w stronę stojącego

obok Basia. Ten ostatni natomiast był w siódmym niebie. Nie zauważył nawet, że ojciec położył mu rękę na ramieniu i mówi coś błagalnym głosem. Patrzył tylko jak w tęczę na grubego łysego mężczyznę, który — ignorując doktora Olchę i szalejącego grawitonika — wesoło zachęcał chłopca do dalszej zabawy.

— Nic się nie bój! — wołał. — Tutaj każdy może sobie wyobrazać, co mu się podoba. Nie jesteś gorszy! Dalej!

— Stoliczku, nakryj się! — wykrzyknął rozanielony Baś.

W tej chwili na ścianie ukazał się obraz przepyszenie zastawionego stołu.

— Precz! Precz! Potwór!!! — wrzasnął Fufurya, rzucając się przed siebie, jakby chciał porwać nienawistny stolik i wyrzucić go przez okno.

Niestety! Nawet gdyby orbitalna baza mogła mieć okno, nie sposób wyrzucić czegoś, czego nie ma.

— Black, proszę cię — ojciec podniósł głos. — Dość już żartów. Nie przeszkadzajmy profesorowi. Proszę... — zakończył trochę bezradnie.

Ale grubas, nazwany Blackiem, okazał się nieubłagany.

— Człowiek, który zjadł dwa kotlety, cztery całe ananasy i trzy porcje lodów, podbił moje serce raz na zawsze — oświadczył z mocą. — Tam gdzie ja jestem, jemu wszystko wolno.

Pod sufitem zawisł straszliwy potwór, zrodzony, jak łatwo było zgadnąć, w wyobraźni łaknącego zemsty profesora Fufuryi. Przypominał monstrualnego pająka z mackami jak u ośmiornicy, miotaczami zamiast oczu i zębatymi kleszczami przy żuchwach.

— Weź trochę galaretki — poradził mu przytomnie Baś. Z bezgranicznym zachwytem obserwował, jak okropne ramię posłusznie sięga do salaterki i wraca oblepione apetyczną słodką substancją. Łysy chemik zachichotał.

— Wyobraźnia starego profesora nie wygra z fantazją dziecka! — triumfował. — A gdyby tak prawdziwy kosmiczny potwór przyszedł do nas na obiad? Co? Ha?

— Black, proszę cię — powtarzał bez przekonania doktor Olcha.

Profesor Fufurya wypowiedział kilka wyrazów, których próżno byłoby szukać w jakimkolwiek słowniku. W tej samej chwili Radek poczuł, że coś dotknęło jego pleców.

— Nie! — wydał cichy, ale przejmujący okrzyk.

— Precz!!! — grawitonik po chwilowej niedyspozycji odzyskał zdolność mowy.

— Baś, śmiało!

— Black, proszę cię.

— Nie — powtórzył szeptem Radek.

Upewniwszy się, że potwór nie zlaźł ze ściany, zerknął do tyłu. Ujrzał zdumione oblicze profesora O.Cla-hy, a za nim pobladałą twarzyczkę Anik. Musieli przyjść już-chwilę temu, ale nikt tego nie zauważył:

I nic dziwnego. Gdyby w jadalni pojawił się teraz żywy wieloryb, najprawdopodobniej nikt nie spojrzałby nawet w jego stronę.

— Co się tutaj dzieje? — zabrzmiał za plecami Radka cichy i drżący dziewczęcy głosik.

— Nicnicnic! — zapewnił po swojemu matematyk, po czym zawołał rozkazującym tonem: — Zabraćten-stó! Zabraćtozwierzę!

— Mój! Potwór! Precz! — odpowiedział z pasją Fufurya.

— Dobrze, że przyszedłeś, Sean—odetchnął z ulgą doktor Olcha. — Pomóż mi zrobić tutaj porządek.

— Precz!!! — zaryczał znów grawitonik.

— Takpreczpreczprecz! — zgodził się O,Claha. — PotwórizarcieiwTzeszczącychudzielec!
;lżebymibyło-cicho!!!

Po tym wyrecytowanym w szalonym tempie żądaniu zapadło głębokie milczenie.

Radek odwrócił się i spojrzął na Anik. Dziewczyna szeroko otwartymi, niebieskimi oczami wpatrywała się w ucztujące na ścianie monstrum, uniósłszy obie ręce w górę, jakby chciała się zasłonić przed niespodziewanym atakiem potwora. Jej warkocz przesunął się do przodu i lśnił jak najczystsze złoto. Wyglądała prześlicznie.

— Co?! Kto?! — wykrztusił wreszcie profesor Fufurya.

Był tak zdziwiony zuchwałą interwencją O,Clahy, że na chwilę zapomniał nawet o swoim gniewie.

— Terazlepiej — rzekł z zadowoleniem matematyk. — Tylkozabraćjeszczetoześciany.
Straszdyzieci!

— Sam! Straszysz! — zagrzmiął „chudzielec”, o-trząsnąwszy się z osłupienia. — Kto?!

— Profesor Sean O,Claha, profesor Mig Fufuyra — dokonał wzajemnej prezentacji doktor Olcha. Radkowi wydawało się, że mówiąc to ojciec mrugnął na' niego porozumiewawczo, i w tym momencie uprzytomnił sobie, że oto jest świadkiem oczekiwanej Wielkiej Chwili, czyli spotkania obu tak niecodziennie mówiących uczonych. Odruchowo wyprostował się i nadstawił uszu. Spotkało go jednak rozczarowanie.

— Ontakzawsze? — spytał z niekłamanym zaciekawieniem O,Claha, celując palcem w pierś wielkiego grawitonika. — Siwychudyjakczaplaadrzesiężekosmos-trzeszczy.
Inawetsięnieuczesze — dodał od niechcenia:

Człowiek-waż zadygotał z oburzenia, ale zanim zdołał wyrzucić z siebie choć jedno słowo, twarz jego nowego prześladowcy rozciągnęła się w pojednawczym' uśmiechu.

— Ja podobno mówię trochę za szybko, za dużo i za głośno — powiedział niespodziewanie wyraźnie O,Claha — a ty zwykłeś posługiwać się szczekaniem. Przyznasz sam, że na dłuższą metę byłoby to nie do wytrzymania. Proponuję więc układ. Ilekroć znajdziemy się razem, będziemy mówić cicho i spokojnie. O — tak — włoś — nie — zademonstrował.

Grawitonik chwilę jeszcze mierzył intruza morderczym wzrokiem, po czym nagle oklapł. Twarz mu złagodniała.

— Zgadzam się ze względu na dzieci — rzekł ponuro. — Ale tylko wtedy, kiedy będziemy obaj w tym samym miejscu — zastrzegł się przezornie.

— Proszę bardzo — przystał O,Claha. — A teraz usuńcie wreszcie te frykasy i potwory, bo zrobiło się późno. Nasi młodzi towarzysze powinni iść spać.

Profesor Fufurya wygiął się i bez trudu dosięgnął! palcami ściany. Jadalnia natychmiast zszarzała i jakby zmaląła.

— Popsuli nam zabawę — westchnął z żalem łysy grubas. — Nigdy bym nie uwierzył, że znajdzie się ktoś, kto tak łatwo poskromi naszego zacnego Miga.

„Zacny Mig”, usłyszawszy to, wyciągnął się pod sufit i już miał zamiar zaryczeć, kiedy przypomniał sobie o zawartym przed chwilą porozumieniu.

— Poczekaj, aż wyjdzie O,Claha — mruknął obiecująco.

— My się chyba nie znamy — poskromiciel profesora Fufuryi podszedł do nowego przyjaciela Basia. — Sean O,Claha. Dzień dobry.

— Nazywam się Black Rondell — grubas uścisnął dłoń rozbitka z K-1. — Jestem chemikiem, ale poza

tym lubię dobrze gotować i dobrze zjeść. Całe lata czekałem, żeby spotkać bratnią duszę wśród tego stada zasuszonych naukowców opętanych kosmosem.

— Sam jesteś opętany kosmosem — zaśmiał się doktor Olcha, który znał łysego chemika od wielu lat. — Inaczej nie siedziałbyś tutaj, tylko gospodarował w zacisznej restauracyjce gdzieś na wyspach Pacyfiku i przyjmował smakoszy z całego świata...

— Z twoim synem, z twoim synem — wtrącił pośpiesznie Rondell.

— Ja też bardzo pana lubię — wyznał z całą powagą Baś.

Gruby chemik pogładził go czule po głowie, po czym spojrzał ciekawie na Anik.

— A kim jest to bóstwo? — zagadnął z uśmiechem.

— To jest właśnie nasz miły gość — odpowiedział serdecznie Michał Olcha — przyjaciółka Patt i córka Piotra Jardin. Miała dzisiaj ciężki dzień. Powinna wreszcie odpocząć. Musimy o nią dbać, inaczej Piotr zmyje nam głowy, kiedy wróci.

Anik spuściła głowę.

— Tatuś... — szepnęła takim głosem, że Radek natychmiast zapomniał o cudownych ścianach, potworach, gadatliwych profesorach i o całym świecie.

Wyobraził sobie, co ona przeżywała przed chwilą, kiedy obsługa bazy próbowała nawiązać łączność z jej ojcem. Nie udało się, to było aż zbyt oczywiste. Nie mogło się udać.

Z najgłębszego przygnębienia wyrwał go głos ojca.

— Chodźcie, chłopcy — doktor Olcha skinął na synów. — Czas spać.

— Ja odprowadzę Anik — powiedział Black Rondell, zerkając z nie ukrywanym żalem za oddalającym się Basiem. — Patt pewnie już czeka...

— Pójdę z wami. Nie chcę zostać sam na sam z tym chudzielcem — O, Claha posłał wymowne spojrzenie grawitonikowi, który odpowiedział nieokreślonym pomrukiem. — Straciłbym apetyt.

— Nie! To byłoby straszne — rzekł z przejęciem gruby chemik.

— Tato, co to wszystko znaczy? — spytał Radek, kiedy stanęli przed przeznaczonym dla nich pokojem. — Jakim cudem te ściany wiedzą, co kto sobie wyobraża, i na dodatek pokazują to wszystko?

— Zapomniałem cię uprzedzić — ojciec otworzył drzwi i wprowadził ich do kabiny podobnej do tej, jaką zajmowali na K-1, tylko większej i ładniej urządzonej. — Przestraszyłeś się?

— Ja?

— Wcale się nie bałem! — zawołał Baś. — To świetna zabawa!

Doktor Olcha zaśmiał się cicho, ale zaraz spoważniał.

— Przepraszam. Tak sobie powiedziałem. Oczywiście, że nie baliście się... zwłaszcza Baś. A jeśli chodzi o te obrazy, to rzecz jest właściwie prosta, tylko trzeba znać się trochę na cybernetyce i nowoczesnej biochemii. Mózg człowieka wytwarza takie specjalne pole, a w bazie jest bardzo czułe urządzenie, które wychwytuje zmiany natężenia tego pola i tłumaczy je za pośrednictwem komputera na język obrazów odpowiadających przedmiotom czy zjawiskom, które ktoś sobie wyobraził. Następnie komputer przesyła te obrazy do systemu projektorów, a te z kolei rzucają je na ściany, jak na ekran. Tutaj — rozejrzał się po kabinie — niczego nie zobaczymy. Tylko korytarze i niektóre jeszcze pomieszczenia wyposażono w takie projektory.

Radek zlustrował nieufnie ściany pokoju, ale zaraz się uspokoił. Rzeczywiście, były pokryte kolorowymi płytkami zupełnie niepodobnymi do matowego szkła, jakim wyłożono jadalnię i korytarze.

— Mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju sprzężeniem zwrotnym — tłumaczył dalej ojciec. — Oczywiście, niecałkowitym. Zaangażowane są tylko ośrodki wzroku i słuchu w naszych mózgach. No, a reszta to gra wyobraźni. Rozumiesz?

Na czole Radka ukazała się głęboka bruzda.

— No, tak... — zamruczał. — Oczywiście. — Zastanowił się chwilę, po czym wyznał: — Nic nie rozumiem!

Doktor Olcha westchnął.

— Boję się, że nie potrafię ci tego wytłumaczyć inaczej — rozłożył bezradnie ręce. — Nie mam widać zdolności dydaktycznych.

— No, dobrze — Radek przyjął wspólniomyślnie tę kapitulację — w takim razie powiedz mi przynajmniej, po co to wszystko? Czy oni tutaj nie mają nic lepszego do roboty niż oglądać potwory, które sobie wyobrażają?

— Przecież to jest baza Instytutu Galaktycznego — odpowiedział ojciec takim tonem, jakby to wyjaśniało całą zagadkę — ludzie przygotowują tutaj pierwszą wyprawę do gwiazd. W

czasie takiej wyprawy może zdarzyć się wszystko. Słyszałeś coś o zielonej metodzie?

— Już mnie o to pytano — bąknął chłopiec. — Nie.. Wiem tylko, że nazywają ją także zwariowaną.

— Niektórzy sądzą, że wszystko, co tylko jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, może w dalekiej przestrzeni wszechświata istnieć naprawdę. „Ostatecznie fantazja człowieka — dowodzą — jest także częścią materii”. Ale nie filozofujmy — ojciec zrobił nieokreślony ruch głową. — Faktem jest, że wybierając się do gwiazd, musimy być przygotowani na najdziwniejsze niespodzianki. Dlatego członkowie przyszłej wyprawy uczą się nie tracić głowy w najbardziej niezwykłych okolicznościach. Na pomoc automatów, kiedy znajdziemy się już tam, trudno będzie liczyć. Żadna maszyna, nawet najwspanialszy komputer, nie potrafi rozwiązać problemu, z którym dotychczas nie miała do czynienia i który nie został zapisany w jej programie. To może zrobić tylko człowiek. Dlatego uczeni zachowują się tutaj trochę jak dzieci wymyślające nieprawdopodobne, cudowne lub przerażające bajki. Właśnie po to, żeby łatwiej sprawdzić własne reakcje i przemyśleć, jak powinni się zachować, kiedy w czasie wyprawy staną oko w oko z prawdziwą kosmiczną bajką, zainstalowano tutaj urządzenia, które pokazują wymyślone przez uczonych spotkania, katastrofy, potwory i tak dalej. Kiedy się coś widzi, wrażenie jest przecież większe niż wtedy, kiedy się o tym czymś tylko myśli. A ponieważ tam, wśród gwiazd, wszystko będzie zupełnie inne niż u nas, więc ludzie wyobrażają sobie istoty i sytuacje jak najcudaczniej-sze i — z punktu widzenia tradycyjnej ziemskiej nauki — może naiwne. Dlatego nazwano tę metodę zieloną lub, jak kto woli, zwariowaną. W tym wariactwie nie brak jednak głębszego sensu.

Chłopcu wydało się wprawdzie, że sens tej metody jest nawet cokolwiek zbyt głęboki, ale nic nie powiedział, tym bardziej że ojciec skończywszy wykład odetchnął z ulgą, poweselał i zawołał:

— A teraz, chłopcy, spać!

— Tak, spać... aaa... — rozdarł się z aprobatą Baś. Radek skrzywił się, zlustrował pobieżnie trzy wielkie, rozłożone fotele, po czym zmarszczył brwi i spojrzał z wyrzutem na ojca.

— Znowu dokądś idziesz?

— Muszę. Ale tutaj nic wam nie grozi. Tym pokoikiem — poklepał ścianę — nie polecicie w kosmos;

Baś zakończył symboliczne mycie zębów, ułożył się wygodnie, nastawił klimatyzator swojego fotela i zaniknął oczy.

— Tato — wyszeptał Radek. — Czy uratujecie ojca... to znaczy, pana Jardin?

Astrofizyk zatrzymał się z ręką na kłamce. Spojrzał poważnie na syna i powiedział:

— Nie należy stawiać takich pytań. Ani sobie, ani innym. Po prostu trzeba zrobić wszystko, żeby go uratować. Pytanie powinno brzmieć: co powinniśmy przedsięwziąć i jak. Zapamiętaj to sobie, bo przecież i ty wybierasz się do gwiazd.

Tak było naprawdę. Nawet biorąc pod uwagę ferie i spokój panujący na K-1 przed katastrofą, dzieciom nigdy by nie pozwolono na odwiedzinę dalekiej komety, gdyby te dzieci nie miały towarzyszyć swoim rodzicom w pierwszej galaktycznej wyprawie. Była ' ona przecież zaplanowana na wiele lat.

— No, tak — zgodził się bez przekonania Radek. — Ale przecież mógł zginąć podczas wypadku, który spowodował zniszczenie stacji. A jeśli skończy mu się zapas tlenu albo żywności, zanim ktoś przybędzie z pomocą? Jeśli wyczerpią mu się zasoby energii?

— O przyczynach i rozmiarach katastrofy nic dotąd nie wiemy — doktor Olcha ściszył głos, bo Baś poruszył się niespokojnie i zamamrotał coś przez sen. — Musimy wierzyć, że Piotr ocalał. Posterunek ma własny reaktor, więc energii wystarczy mu na sto lat. A co do żywności i tlenu... Tam jest automatyczny hibernator. Piotr zamknie się w nim i zaśnie. O to, żeby temperatura wewnątrz hibernatora była odpowiednio niska, tak jak i w ogóle o warunki, w których będzie Piotr przebywał, zatroszczą się automaty. One też, kiedy minie niebezpieczeństwo, dostarczą mu powietrza z domieszkami różnych gazów i zbudzą go; W stanie takiego uśpienia, jak wiesz, człowiek może przetrwać nie dni, lecz lata.

— Ale... — chłopiec zastanowił się przez chwilę — ale przecież kometa niedługo zacznie się topić.

— Toteż musimy się śpieszyć. I w tym właśnie cały kłopot, bo, jak słyszałeś, nie ma tutaj ani jednego statku dalekiego zasięgu.

Chwilę trwała cisza.

— No, dobrze — odezwał się wreszcie Radek — a co będzie, kiedy ktoś już tam przyleci?

Czy te automaty wpuszczą go do podstacji?

— Komputer otworzy włącz, gdy powie się ustalone hasło.

— Co to za hasło?

— Nie wiem — ojciec pokręcił głową. — Ale pewnie zna je profesor Yaic.

Radek przymknął oczy. Wyobraził sobie Piotra Jardin śpiącego w przeźroczystej skrzyni, pośród lodowej pustyni komety, pod czarnogranatowym niebem.

— Śpiący królewicz — wyszeptał bezwiednie. Ale doktor Olcha opacznie wytłumaczył sobie te słowa. Zerknął w stronę fotela, na którym uśmiechał się przez sen jego młodszy syn, i powiedział wesoło:

— Tak, Baś bardzo lubi bajki.

Potwór!!! Potwór!!!

Basiowi śnił się właśnie baśniowy siedmiogłowy smok. W każdym razie do takiego wniosku doszedł wyrwany ze snu Radek: Jego braciszek wydawał bowiem odgłosy, jakich nie powstydziliby się: a) król smoków we własnej osobie, b) starożytny rycerz, któremu potwór swoim ognistym oddechem rozpałił do czerwoności stalową zbroję.

Uciszył Basia celnie wymierzonym Jaśkiem, po czym odwrócił się na drugi bok i znów zamknął oczy. Jednak sen nie przychodził. Baza była pogrążona w zupełnej ciszy, ale ojciec nie wrócił jeszcze do kabiny. A więc w tej ciszy czuwali ludzie, przeprowadzali obliczenia, pracowali nad ocaleniem „śpiącego królewicza”, Piotra Jardin, ojca Anik.

Anik...

Radek usiadł, całkiem już przebudzony. Dotknął palcem tarczy zegarka, na której od razu ukazały się świetne cyferki. Pół do piątej. Oczywiście, umownego czasu bazy. Wcześniej.

W kabinie było ciemno; Tylko nad pulpitem centrali łączności paliła się mała brązowa lampka. Radek podszedł do radia, nałożył na głowę lekkie słuchawki i uruchomił odbiornik.

Niemal natychmiast usłyszał przytłumiony głos profesora Kuningasa.

— Piotrze, wzywam cię — mówił uczyony. — Nie odbieramy twoich sygnałów, ale mamy nadzieję, że ty nas słyszysz. Spróbuj przebudować swój nadajnik i zwiększyć jego moc. Potrzebne do tego materiały powinieneś mieć w magazynie. Uważaj. Nie znamy hasła, które otwiera włącz do posterunku. Powtarzam, nie znamy hasła, które otwiera włącz do posterunku!

„A więc i profesor Yaic nie wie, jakie to słowo” — pomyślał Radek.

— ...zanim zamkniesz się w hibernatorze, wyjdź na zewnątrz i napisz nam to hasło obok włączu. Inaczej, kiedy przylecimy, nie będziemy się mogli do ciebie dostać. Koniecznie spróbuj przerobić ten nadajnik. Cały czas prowadzimy nasłuch. Z bazy Instytutu Galaktycznego mówią Olaf Kuningas. Twoja córka jest z nami, zdrowa i bezpieczna. Cała załoga K-1 dotarła do bazy.

— Jeśli zaobserwowałeś jakieś zmiany w wyglądzie i zachowaniu lodowych kamieni, napisz o tym także obok hasła — wtrącił się głos profesora Yaica. — To może się przydać ekipie ratunkowej.

— A jeśli przypadkiem masz ze sobą kamerę filmową, błagam cię, zanim zaśnieś, zrób trochę zdjęć — dodał Oleg Zadra.

— Jeszczeczego! — obruszył się O,Claha. — Zaraz-każeciemuwsiaśćnamiotłęileciećdogwiazd!

— Miałeś! Mówić! — upomniał go profesor Fufurya.

— Przepraszam... — matematyk nagle spokorniał. — Głupieję już z tego wszystkiego.

— Nie powiem: „nie” — Skwitował uprzejmie człowiek-waż.

— Proszę o spokój! — uciszył ich profesor Yaic, po czym z kolei on zaczął przemawiać do ojca Anik.

— Piotrze! Jeśli jeszcze nie śpisz, koniecznie wyjdź na zewnątrz i napisz obok włączu hasło,

które zakodowałeś w pamięci swojego komputera. Palnęliśmy kolosalne głupstwo, że nie uzgodniliśmy tego słowa od razu. Ale łączność była tak dobra, wydawało się nam, że nie ma pośpiechu. Kto mógł przypuszczać! Piotrze, teraz przerywamy nadawanie. Pamiętaj o haśle! Dopiero potem, jeśli wystarczy ci jeszcze energii i tlenu, zajmij się nadajnikiem. Za dziesięć minut odezwiemy się znowu.

W słuchawkach coś delikatnie stuknęło i nastąpiła cisza.

„No, tak — pomyślał z melancholią Radek. — Przecież oni siedzą obok siebie w dyspozytorni i nie muszą posługiwać się radiem, kiedy chcą ze sobą rozmawiać”.

Już zamierzał zdjąć słuchawki i wyłączyć aparat, ale zanim to zrobił, zupełnie machinalnie pokręcił jeszcze gałką skali. Coś zgrzytnęło, a w następnej chwili odezwał się nowy głos. Brzmiał bardzo cicho, jakby mówiący bał się, że ktoś go usłyszy.

— Jeśli nie potrafisz określić przyczyn katastrofy, to może przynajmniej obliczysz prawdopodobieństwo wywołania jej przez... — głos zawahał się — ...człowieka? — dokończył jakby z przymusem.

Chwilę było cicho.

— Rozumiem, brak danych — rzekł nieznajomy, odebrawszy widać odpowiedź, która jednak nie dotarła do uszu Radka. — A słowa: "zarządzam start alarmowy"?

— To powtórz sobie cały zapis z lotu na K-1. Pamiętajsz? Zabrałem z powierzchni te przedmioty, wróciłem do rakiety i wtedy właśnie powiedziałem: „start alarmowy”. Wówczas stacja była jeszcze na miejscu. Czy ten rozkaz: „start alarmowy”, mógł zostać odebrany przez komputer stacji jako sygnał wysłania kabin do bazy? To znaczy, jakie jest prawdopodobieństwo, że tak właśnie było?

Radek poczuł, że pod opaską słuchawek włosy jeżą mu się na głowie. Kto to mówi?! Kto był na komicie oprócz załogi stacji i kto ją opuszczał w takim popłochu, że zarządził start alarmowy? A może to tylko któryś z mieszkańców bazy wykorzystuje noc, aby — stosując zieloną metodę — rozmawiać z własnymi wyobrażeniami ukazującymi się przed nim na ścianie? Nonsens — zaprzeczył sam sobie. Nikt przecież nie używałby do tego celu radia! A poza tym ten głos wcale nie brzmi tak, jakby mówiącemu chodziło o zwykłe eksperymenty...

— Brak danych. Brak danych — powtórzył z bolesną ironią nieznajomy. — Tylko to potrafisz?

— Alan? Co tutaj robisz? — odezwał się nagle inny mężczyzna. — Nie bój się. To ja.

Głos dzwijał w słuchawkach z każdym słowem wyraźniej, jakby nowo przybyły zbliżał się do mikrofonu ustawionego przed człowiekiem, który mówił dotychczas.

Radek zdał sobie sprawę, że wie, do kogo należy ten głos. Nie tak dawno ostrzegał go przed potworami, a chociaż brzmiał wtedy nieco inaczej, nie było cienia wątpliwości, że posługuje się nim ten sam mężczyzna. Witold Dauba. Z kolei Alan nie mógł być nikim innym, jak tylko pilotem „Ety”, Alanem Byssonem, który wczoraj zabrał do bazy rozproszonych w przestrzeni rozbitków.

— Czemu tu siedzisz o tej porze? Co robisz? — powtórzył pytanie Dauba.

— Rozmawiam z komputerem... Chodzi o ten start, wiesz? Powiedziałem: „start alarmowy”. Jeśli to dlatego?... Słuchaj, nie możemy tak dłużej...

A więc młody naukowiec wie, że Bysson był na K-1?! Co to wszystko znaczy?

— Zachowujesz się jak dziecko, Alan — przerwał Byssonowi fotonik. — Co z tego, że tak powiedziałeś? Przecież to tylko słowa... tylko słowa — powtórzył z naciskiem. — I czego właściwie chcesz od komputera? On nie ma żadnych danych. Jeśli już koniecznie musiałeś z kimś pogawędzić, mogłeś sobie wybrać kogoś innego. I lepsze miejsce niż kabina rakiety. Diabło tu nieprzytulnie.

— Jak możesz żartować. Sytuacja...

— Dobrze, dobrze — syknął Dauba. — Nie musisz mnie pouczać. Wprawdzie to ty poleciałeś po kryjomu na K-1, ale ja cię do tego namówiłem. Jedziemy na jednym wózku.

— Jeśli stracę licencję... Nawet tę, którą mam teraz...

— Jeśli ty stracisz licencję — ponownie przerwał mu młody fotonik — to ja będę musiał wrócić na Ziemię. Zegnajcie, pracownice i... gwiazdy. Do końca życia będę pielęgnował winnice w górach Antarktyki. Tam się urodziłem. Ale nie martw się na zapas. Nie dopuścimy do tego.

— Pozostaje kwestia ceny — wyszeptał pilot „Ety”. Przez chwilę w słuchawkach panowała idealna cisza. Wreszcie dało się słyszeć głębokie westchnienie.

— Tej, którą my zapłacimy? — spytał dziwnym tonem Dauba.

— Widzę, że rozumiesz. Tak. Ale przede wszystkim tej, którą za nas zapłaci ktoś inny. Jestem pilotem, mimo wszystko jestem pilotem — odparł ponuro Bysson. — Nie ma dla mnie ceny zbyt wysokiej... w pewnych sytuacjach.

— O sytuacjach, pilotach i ich bohaterstwie pomówimy później — warknął fotonik. — Wiesz, dlaczego tu przyszedłem? Usłyszałem...

— Mnie? — przestraszył się pilot. — Prawda, rozmawiam z komputerem! Wystarczy, żeby ktoś włączył radio.

— Owszem — rzucił sucho Dauba. — Ale ja usłyszałem coś innego. Włączyłem radio, tylko na innej częstotliwości. One nadają...

— Nadają? Tutaj?! W takim razie...

— W takim razie musisz je natychmiast stąd zabrać. Najlepiej teraz, od razu, odholuj tę kapsułę, powiedzmy, na orbitę Trytona. Jeśli dobrze obliczymy jej po-zycję, w każdej chwili będziemy mogli wszystko odzyskać! Musisz prosić o pozwolenie na start?

— Nie, i tak miałem wyruszyć w zwykły lot patrolowy po najbliższej okolicy. Ale...

— Nie ma żadnego „ale”. Oczywiście, jeśli chcesz nadal latać — zauważył niemiłym tonem Dauba. — Kiedy wrócisz, pomyślimy, co dalej. Sądzę, że... Co powiedziałeś?! — zreflektował się nagle. — Rozmawiasz z komputerem przez radio?!

— Tak.

— Czyli cały czas mówimy obaj do mikrofonów? I kto tylko przypadkiem włączy radio...

Słuchawki raptownie umilkły. Radek czekał dłuższą chwilę, wstrzymując oddech, ale ani fotonik, ani pilot „Ety” już się nie odezwali. Zresztą, jeśli Bysson postąpił tak, jak domagał się tego jego współnik, to rakieta lada moment opuści lądowisko bazy. Poleci odholować to coś, co nadaje.

„Nadaje... nadaje” — powtórzył sobie w duchu chłopiec. To słowo odbiło „się” w jego skołatanej głowie jakimś niejasnym, ale posępny, a nawet groźnym echem. Niedawno też coś nadawało... Zaraz... Ależ tak! Ślimaczek! Niepojęte obrazy i kosmiczna muzyka. Jak mógł zapomnieć!

W tym momencie stanęła mu przed oczami twarz Nika, kiedy ten pierwszy raz zobaczył placyk z lodowymi kamieniami. Patrzył na nie tak, jak konający z głodu tygrys mógłby patrzeć na porcję świeżutkiej polędwicy. A jeśli Dauba i Bysson także są fanatycznymi kolekcjonerami? Lub jeśli potrzebują purchawek do jakichś innych, znacznie gorszych celów?

„Nadaje... nadaje...” — powtórzył sobie jeszcze raz Radek. Ojciec mówił, że muzykę tych lodowych bryłek można odbierać tylko w jednym paśmie częstotliwości. Trzeba sprawdzić.

Gorączkowo pokręcił gałką skali.

Niesamowite dźwięki, te same, które słyszał w kabinie ślimaczka, zabrzmiały tak nagle i tak głośno, że odruchowo przykrył dłońmi słuchawki, rzucając przerażone spojrzenie w stronę Basia. Ale Basia już nie było. Tam gdzie przed sekundą stał jego fotel, tańczyły niezrozumiałe, pastelowe obrazy.

Wyłączył radio. Wiedział już na pewno, że tym czymś, co Bysson miał odholować na orbitę Trytona, księżycy Neptuna, są kosmiczne purchawki. Pilot „Ety” wybrał się w tajemnicy przed wszystkimi na K-1 i przywiózł stamtąd grające lodowe kamienie. Był tam tuż przed katastrofą, w wyniku której stacja została wystrzelona w stronę bazy na Neptunie, a ojciec Anik albo zginął, albo został sam. Mało tego. Bysson przypuszcza, że tę katastrofę spowodował pośpieszny start jego rakiety. Może to purchawki zareagowały tak gwałtownie, kiedy uderzył w nie ogień dyszy napędowych „Ety”, a może komputer stacji odebrał i źle sobie wytłumaczył rozkaz: „start alarmowy”? Przecież Bysson tak właśnie powiedział. Sam przed chwilą przyznał się do wszystkiego, nie podejrzewając, że w bazie czuwa ktoś jeszcze ze słuchawkami na uszach. Ale w takim razie... w takim razie Bysson i Dauba mogliby, gdyby chcieli, gdyby się nie bali, że ich matactwa wyjdą na jaw, udzielić Kuningasowi i Yaicowi bezcennych wyjaśnień! Kto wie, czy te wyjaśnienia nie pomogłyby uratować ojca Anik!

Chłopiec zacisnął pięści. „Muszę coś zrobić... muszę coś zrobić!” — kołatało mu w głowie. Cóż, kiedy, jak na złość, nic nie mógł wymyślić. A czas uciekał. Trudno. Trzeba działać.

Zerwał się i skoczył do drzwi. Zapomniał, że nie zdjął słuchawek, toteż kiedy te, brutalnie szarpnięte, wylądowały na podłodze, wydało mu się w pierwszej chwili, że to jego własne uszy opuściły swoje przyrodzone miejsce, na znak protestu przeciw wszystkiemu, czego musiały wysłuchać. Pogodził się jednak z domniemaną stratą dziwnie łatwo, ponieważ w jego głowie nadal panował nieopisany zamęt. Przelatywały przez nią w szalonym tempie strzępy myśli. Anik! Piotr! „Eta”! K-1! Bysson! Purchawki! Dauba! Zbrodniarze! Anik!...

Nagle skryształizowała się w nim jeszcze jedna myśl. Ojciec. Musi jak najszybciej odnaleźć ojca i o wszystkim mu opowiedzieć. On będzie wiedział, co zrobić.

Zamknął za sobą drzwi i szybkim krokiem ruszył w stronę dyspozytorni.

Jednak już za pierwszym zakrętem zatrzymała go niespodziewana przeszkoda. Na wprost niego — zamiast pustego korytarza — rozciągała się mroczna, pagórkowata pustynia K-1, z budynkiem posterunku obserwacyjnego na pierwszym planie. Obok małej budowli widniała przyzma lodowych kamieni.

Obraz był tak plastyczny i tak bardzo przypominał widok, który roztaczał się z kabiny ślimaczka, że Radek zatrzymał się jak wryty. Przez chwilę był pewny, że na ukoronowanie wszystkich nadzwyczajnych przygód, jakie ich ostatnio spotykały, został cudownym sposobem przeniesiony na K-1. Niebawem jednak na tle kosmicznego widowiska dostrzegł zarysy znajomej po stacji. Momentalnie oprzytomniał, wstrzymał oddech i ostrożnie wycofał się za narożnik korytarza.

To był Nik Zadra. Przyszedł tutaj, aby do własnych celów zastosować zieloną metodę.

„Licho go przyniosło!” — pomyślał ze złością Radek. Nie miał najmniejszej ochoty spotkać się teraz z nadętym synalkiem słynnego astrografa. A swoją drogą zdaje się, że oprócz Basta nikt dzisiaj nie śpi w tej zwariowanej bazie.

Po zastanowieniu wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Wiedział, że baza ma kształt ogromnego dysku podzielonego na poziome segmenty. Główne korytarze biegły po obrzeżu tego dysku. Tylko gdzieniegdzie odchodziły od nich węższe przecznice prowadzące do centrum satelity.

Postanowił wrócić głównym korytarzem, okrążyć całą część mieszkalną i dojść do dyspozytorni z przeciwnej strony. Nałożył drogi, ale przynajmniej ominie Nika.

Szedł szybko, niemal biegł, odbijając się palcami stóp od elastycznej podłogi. Nic więc dziwnego, że kiedy nagle ujrzał przed sobą nową postać, nie zdążył się za-trzymać i jego wyciągnięte odruchowo ręce spoczęły na czyichś ramionach.

Usłyszał stłumiony kobiecy okrzyk i zobaczył tuż przed sobą śliczne, rozszerzone z przestrachu oczy Patt Hardy.

— Och!

— Przepraszam — bąknął.

Cofnął się i miał zamiar od razu pobiec dalej, ale jego uwagę przykuł wielki obraz na ścianie. Patt, podobnie jak Nik, nie wyszła, ot, tak sobie, na zwykłą przechadzkę. I ona zrobiła użytek z zielonej metody. Tyle że jej wyobrażenia przekazała komputerowi, a za jego pośrednictwem tym specjalnym projektorom, nie krajobraz placyku z lodowymi kamieniami, lecz

wnętrze posterunku obserwacyjnego na K-1. W niewielkim pomieszczeniu zalanym przez łagodne, mleczne światło spoczywał pod przeźroczystą pokrywą Piotr Jardin. Uczony miał oczy zamknięte, jednak jego twarz była pogodna, a nawet uśmiechnięta. Pewnie Patt chciała, żeby ojcu Anik śniło się coś przyjemnego. Jeśli oczywiście człowiek zamrożony w hibernatorze w ogóle może mieć jakiegokolwiek sny. W Radku obudziła się ciekawość.

— Czy on rzeczywiście tak... To znaczy, chciałem powiedzieć, czy naprawdę tak wygląda to urządzenie, w którym zamknął się pan Jardin?

Minęło ładnych parę sekund, zanim Patt ochłonęła z wrażenia i mogła odpowiedzieć. Chociaż właściwie to, co udało jej się wyszeptać, trudno było uznać za odpowiedź.

— Czy tak wygląda?... Nie... Właściwie nie wiem... Chłopiec przyglądał się w milczeniu widocznej pod szklanym futerałem twarzy uczonego. Czarne włosy Piotra Jardin żywo

kontrastowały z białym kołnierzem skafandra i beżowym wezgłowiem wąskiego fotela. „Śpiący królewicz” — zabrzmiały Radkowi w uszach jego własne słowa.

— Śpiący królewicz... — powtórzył bezwiednie na głos.

Patt odetchnęła głęboko i poruszyła bezradnie głową.

— Widzisz, nie znam szczegółów konstrukcyjnych hibernatora w podstacji — powiedziała cicho. — Ale... — zająknęła się — ale myślę, że tak byłoby dobrze.

— Tak. Tak byłoby dobrze — zgodził się również cicho i poważnie chłopiec.

Dłuższą chwilę żadne z nich nic nie mówiło. Wreszcie Patt westchnęła ponownie i ociągając się dotknęła ściany. Piotr Jardin — królewicz śpiący w wyobraźni młodej uczzonej pięknym, spokojnym snem wśród gwiazd i mrozu wszechświata — zniknął.

— Muszę wracać do Anik — powiedziała Patt, po czym nagle spojrzała na Radka, jakby teraz dopiero zdała sobie sprawę z jego obecności. — A co ty właściwie tutaj robisz? Dlaczego nie śpisz?

— Idę do ojca. Muszę... To znaczy, chcę z nim porozmawiać. Potem zaraz wrócę — dodał na wszelki wypadek.

— Twój ojciec jest nadal w dyspozytorni. Oni tam próbują nawiązać kontakt z K-1. Wysłali sondę. To było coś nowego.

— Sondę? Jak to: sondę? Na kometę? Stąd?

— Tak. Mają nadzieję, że przekaże obraz K-1 do bazy, i będą się mogli przekonać, czy posterunek obserwacyjny jeszcze istnieje... czy Piotr... — głos uwiązł jej w krtani.

— Pójdę już! — rzucił chłopiec i z miejsca puścił się ostrym sprintem.

I teraz jednak nie dane mu było dotrzeć bez przeszkód do celu. Za ledwie przebiegł pięćdziesiąt metrów, niemal tuż przed nim ukazał się... Nik Zadra. Zupełnie, jakby mógł przebywać równocześnie w dwóch różnych miejscach. Tym razem wychynął bezszelestnie, niczym duch, z jakiejś niewidocznej niszy w ścianie i sunął kilkanaście kroków przed Radkiem, pokazując mu swoje lekko przygarbione plecy. W jego ruchach było coś dziwnego. Szedł na palcach, przyczajony, jakby się skradał.

Nagle stanął. Radek natychmiast zatrzymał się także. „Przeklęty pech!” — jęknął w duchu. Czy nigdy już nie dojdzie do tej dyspozytorni?! I czy zawsze, dokąd-kolwiek się skieruje, będzie mu zastępował drogę ten wszędobylski rudzielec?!

W tym momencie "wszędobylski rudzielec" zaczął iść dalej i niebawem zniknął za łukiem korytarza. Chcąc nie chcąc, Radek podążył za nim, z cichą nadzieją, że może jego prześladowca znowu znajdzie sobie jakąś dziurę w ścianie i zechce z niej skorzystać. Niestety, żadnej dziury nie było. Zamiast niej tuż za zakrętem ukazał się na ścianie nowy obraz.

Od sufitu do podłogi biegły białe świecące cyfry i litery, układając się w zawile wielopiętrowe matematyczne wzory. Co chwilę jakieś liczby i wykresy znikły, ustępując miejsca innym.

Przed Nikiem, odwrócony tyłem do obydwu chłopców, którzy zatrzymali się jak wryci, stał sprawca, a raczej należałoby powiedzieć: autor, tego tasiemcowego rachunku, profesor Mig Fufurya we własnej, wydłużo

nej i jak zwykle pływającej osobie. Wielki grawitonik zrezygnował tym razem z wyobrażania sobie potworów i użył „zielonej” ściany jako zwykłej szkolnej tablicy.

Radek śledził przez chwilę osłupiałym spojrzeniem grę cyfr i liter, ale doszedł do wniosku, że i tak nic a nic z tego nie zrozumie. Postanowił więc wrócić do miejsca, gdzie ostatnio natknął się na Nika, i odnaleźć wnękę, z której wychynął nagle rudzielec. Tutaj nie było na co czekać. Przecież za ledwie kilkanaście minut temu grawitonik przebywał w dyspozytorni, gdzie wraz z innymi obmyślał sposób uratowania Piotra Jardin, a przy okazji wymieniał uprzejmości z profesorem O,Clahą. To oznaczało, że uczonej dopiero przed chwilą rozpoczął wyświetlanie swoich matematycznych fantazji. A gdy ktoś taki, jak profesor Fufurya, odda się naukowym spekulacjom, z pewnością prędko ich nie skończy.

Ze wzrokiem utkwionym w plecach Nika Radek wycofywał się ostrożnie, żeby nie zwrócić

na siebie uwagi. To mu się udało. Udało mu się także odnaleźć wnękę, której szukał, a w niej zamaskowane wahadłowe drzwi.

Ponieważ jednak sunął rakiem, wodząc dłonią po ścianie, przekonał się o ich obecności, dopiero kiedy już był za nimi. Otoczyła go nagle ciemność, poczuł, że leci gdzieś w dół.

— No! — wykrzyknął ni to ze strachem, ni z urazą.

Na szczęście ten lot nie trwał długo. Chłopiec wylądował na podłodze, która wydała metaliczny dźwięk, i choć z pewnością nie było to miękkie lądowanie, zerwał się błyskawicznie, macając ciemność wokół siebie. Jego ręce natrafiały wszędzie na twarde ściany.

Jakaś studnia czy co?...

Na wszelki wypadek zawołał jeszcze raz. — No! — starając się nadać swojemu głosowi dostatecznie groź-

ne brzmienie. W tej chwili ujrzał przed sobą nagle światło. Posunął się ostrożnie w tamtą stronę. Znowu stanął przed drzwiami. Otworzył się usłużnie bez jego udziału. Zadowolony wybiegł na korytarz i... stanął oko

w oko z potworem.

— No i — zabrzmiało po raz trzeci, już znacznie ciszej i trochę piskliwie.

— Witam. Czym mogę służyć? — odezwał się gruby głos.

— Ja... ja...

Potwór powoli wynurzył się z cienia. W nikłym blasku niewidocznych lamp jego potężne kleszcze lśniły ponurym sinawym połyskiem. Nad jajowatym korpusem widniała wielka głowa ozdobiona rozgałęzionymi czułkami.

— Melduje się automat pomocniczy XX-27-L obsługujący wyjście awaryjne numer sześć — powiedział potwór. — Czy człowiek chce wyjść na zewnątrz?

Do świadomości chłopca dotarło wreszcie, z kim ma do czynienia. Odetchnął głęboko i wyprostował się dumnie.

— Człowiek nie chce — odpowiedział bez zastanowienia. - Dziękuję — dodał po chwili łagodniejszym tonem.

Wiedział, że z robotami trzeba postępować uprzejmie. Aby lepiej pełniły swoje odpowiedzialne funkcje, wbu-dowuje im się ostatnio poczucie własnej godności.

— Więc czym mogę służyć? — głos automatu także zabrzmiał bardziej miękkie.

Radek rozejrzał się bezradnie. Jeszcze przed sekundą gotów był przysiąc, że z czarnej studni wyszedł na korytarz, tymi samymi drzwiami, które tak zdradziecko ustąpiły przedtem pod jego ciężarem. Ale teraz dostrzegł, że znajduje się w zupełnie nieznanym pomieszczeniu. Nisko nad jego głową wisiała nie osłonięta żadną wykładziną pancerna płyta z okrągłym zamkniętym włazem, do którego prowadziła pionowa stalowa drabinka. Na lewo i na prawo majaczyły kształty jakichś potężnych przewodów, wielkie urządzenia, grube zwoje kolorowych kabli.

— Przepraszam... — wybąkał wreszcie — mógłbyś mi powiedzieć, gdzie jestem?

— Jeśli człowiek nie chce wyjść na zewnątrz, to nie powinien tu przebywać — pouczył go robot. — Człowiek przyjechał windą z poziomu mieszkalnego — ciągnął. — Nie należy korzystać z awaryjnej windy, jeśli nie zachodzi konieczność. W razie alarmu drogi muszą być wolne.

— Przepraszam — powtórzył pokornie chłopiec. — Jestem... jestem tu od niedawna — wybrnął dyploma-tycznie. — Którędy mam teraz pójść, żeby jak najszybciej dostać się do dyspozytorni?

— Pojechać windą. Kiedy człowiek wchodzi do win-dy, powinien podać numer poziomu, na którym pragnie wysiąść. Inaczej kabina zatrzyma się dopiero na końcu szybu. Proszę uprzejmie — jedno z zębatych ramion wskazało zamaskowane drzwi w ścianie.

— Dziękuję — rzekł Radek, wchodząc z powrotem do ciemnej komórki.

Wstydził się spytać, który numer ma poziom mieszkalny. Bał się, że usłyszy słowa wypowiedziane obojętnym, grubym głosem: „Człowiek nie wie?”

Obawa ta była niedorzeczna, ale stało się. Szybko usiłował zgadnąć, ile też poziomów

może mieć taka wielka baza orbitalna, i doszedł do wniosku, że nie mniej niż pięć. Część mieszkalna powinna być w środku. Powiedział więc: — Trzeci! — I kiedy drzwi otwarły się znowu, śmiało wyszedł na korytarz.

W pierwszej chwili odetchnął z ulgą. Było jasno i pusto, ściany wyłożone szklaną masą wydawały się znajome i swojskie. Na wszelki wypadek postanowił sprawdzić, czy przypadkiem Fufurya i Nik nie poszli już sobie, otwierając mu drogę do dyspozytorni. Na palcach doszedł do zakrętu i ostrożnie wyjrzał. Nie zgadł. Część mieszkalna mieściła się na innym poziomie.

Zobaczył obszerne trójkątne pomieszczenie z wielkimi pancernymi drzwiami, zaopatrzonymi w różne tabliczki i światła sygnalizacyjne. Te drzwi były szeroko otwarte. Za nimi panował mrok, natomiast przed nimi stał... Nik.

„Tego już za wiele!” — zbuntował się w duchu Radek. Nie dość, że błądzi jak pięcioletnie dziecko, zamiast czym prędzej donieść ojcu o knowaniach Byssona i Dauby, to jeszcze dokądkolwiek przyjdzie, zawsze zastaje tego nieznośnego rudzielca! „A swoją drogą, czego on może tutaj szukać?” — obudziło się w nim niechętnie zaciekawienie.

W tym momencie Nik, jakby zdopingowany życzliwymi myślami śledzącego go z ukrycia detektywa, ruszył do przodu i natychmiast zniknął w ciemności panującej za pancernymi drzwiami. Pod wpływem nagłego impulsu Radek poszedł za nim. Zawahał się przestępując wysoki stalowy próg, lecz dodało mu odwagi łagodne zielone światło jednego z sygnalizatorów. Tak jakby mówiło: „ależ proszę, proszę”.

Tuż za progiem przygarbił się i oddalił nieco od drzwi, sunąc palcami po ścianie. Przed sobą nie widział nic poza jedną jasną plamą w głębi. Kiedy jego oczy oswoiły się trochę z ciemnością, niewyraźna plama przemieniła się w świetlisty napis: *Koniec lądowania*. Na tle tego napisu dostrzegł nieruchomą sylwetkę Nika.

Radek zdał sobie sprawę, że mroczne pomieszczenie, do którego trafił, stanowi przedsionek głównego lądowiska bazy, a napis: koniec lądowania — widniejący nad rozsuniętą teraz stalową osłoną właściwego pola startowego — oznacza, że akurat przybył jakiś statek.

Przesunął się jeszcze trochę w bok. Jego plecy straciły nagle oparcie i poleciał do tyłu. Trafił na coś miękkiego, z obu stron objęły go wstrętne, bezwolne ramiona jakby źle wypchanej kukły. Z pewnością nie omieszkałby powiadomić świata, co myśli o takich czułościach, ale jego struny głosowe zostały chwilowo zastąpione grubymi, drewnianymi klockami. Na szczęście mignął mu przed oczami skrawek białego rękawa z srebrną klamerką i zrozumiał, że wpadł do niszy, w której wisiały kosmiczne skafandry.

W tym momencie usłyszał wypowiedziane nieco drżącym głosem słowa:

— Jesteście?! Czekałem na was... Ten głos był niewątpliwie głosem Nika. Radek wstrzymał oddech, oczekując z bijącym sercem odpowiedzi. Wiedział przecież, kto urzęduje na lądowisku. Czyżby rudy był także w znowiu? Wyrzął ostrożnie z niszy.

W oświetlonym teraz przejściu z platformy startowej ukazały się dwie męskie postacie. Dalej majaczyły

kontury wielkiej rakiety.

— Dlaczego nic nie mówicie? — głos Nika brzmiał już odrobinę pewniej. — Wiem, kim jesteście i skąd wracacie. Wiem wszystko.

Powiedział to z naciskiem, tonem człowieka, który nie tylko wie wszystko, ale umie także użyć swojej niezwykłej wiedzy, aby poradzić sobie z każdym przeciwnikiem.

Jeden z dwóch mężczyzn zdjął próżniowy kask i zrobił kilka kroków w stronę intruza. Radek poznał Witolda Daubę.

— Co tutaj robisz? — rzucił ostro fotonik. — Lądowisko jest terenem zamkniętym.

— Nie dla wszystkich — odpowiedział zuchwale Nik i ciągnął oskarżycielskim tonem: — „Eta” poleciała na K-1 bez wiedzy dyspozytorów bazy. Wtedy, kiedy Bysson zabrał nas na pokład, wcale nie wracał z lotu patrolowego, tylko z komety. Przywiózł stamtąd lodowe kamienie. A teraz zorientowaliście się, że one nadają i tutaj, więc zabraliście je na orbitę najbliższego księżyca. Powtarzam, że wiem wszystko. Słuchałem radia. Rozmawialiście dość

głośno — zakończył szyderczo.

Nastała cisza. Radek odruchowo napiął mięśnie i skulił się jak do skoku. Przyszło mu na myśl, że może nie

całkiem sprawiedliwie oceniał syna słynnego podróżnika. Rudy jest sztywny, nadęty i nieznośnie pewny siebie, ale nie sposób odmówić mu odwagi. Widać, tak samo jak on, nie mógł zasnąć, puścił radio i podsłuchiwał, co mówili Dauba i Bysson. Domyślił się, że są tutaj, i postanowił złożyć im wizytę. Po drodze umiłał sobie czas widoczkami purchawek z K-1. On, Radek, chciał tylko zaalarmować ojca, a Nik przyszedł na lądowisko i wygarnął im całą prawdę prosto w oczy. Chociaż był, jak przecież musiał sądzić, sam, nie obawiał się stanąć oko w oko z dwoma niebezpiecznymi przeciwnikami.

Radek powiedział sobie, że jeśli dojdzie teraz do walki, pośpieszy Nikowi z pomocą. Pewnie i tak nie dadzą rady, ale przynajmniej narobią hałasu, przybiegną inni i...

— Co teraz będzie? — przerwał bieg jego myśli przytłumiony głos Alana Byssona.

Dauba podszedł jeszcze dwa kroki bliżej Nika.

— Widzisz, my... — zaczął, ale rudy nie pozwolił mu skończyć.

— Ja chcę mieć purchawki! — zawołał. — Musicie mi je dać... Przynajmniej dwie! Dwa lodowe kamienie! Inaczej wszystko powiem!

— Pssst! — syknął fotonik.

— Boicie się! — triumfował Nik. — Będę cicho, ale pod warunkiem, że dostanę od was eksponaty do moich zbiorów!

Radek słuchał, nie wierząc własnym uszom. „I pomyśleć, że o mały włos byłbym skoczył, aby rzucić się do walki u boku tego zdrajcy!” — zjeżył się w duchu.

Odruchowo wtulił się głębiej w elastyczną tkaninę skafandrów.

— Tych lodowych kamieni i tak nie zawieziesz na Ziemię — odezwał się po krótkiej pauzie fotonik. — Mogą być niebezpieczne dla wszystkich. Nawet my, tutaj, nie chcieliśmy ich trzymać blisko ludzi. Nik, zastanów

się...

Nik jednak nie myślał się zastanawiać.

— To po co zabraliście je z K-1?! Skoro tak się troszczycie o bezpieczeństwo Ziemi i przepisy, nie trzeba ich było ruszać! Teraz już za późno! Muszę je mieć! Bo będę krzyczał! — podniósł niebezpiecznie głos.

Dauba wydał jakiś zduszony jęk, po czym szybko wykrztusił:

— Dostaniesz je. Dostaniesz. Tylko uspokój się.

— Kiedy?! — poszedł za ciosem Nik.

— Jak tylko to będzie możliwe — odpowiedział ponuro fotonik.

Znowu zapanowało milczenie. Ukryty we wnęce świadek nikczemnej zмовы czynił rozpaczliwe wysiłki, by wykorzystać tę chwilę na uciszenie burzy, która rozszalała się pod jego czaszką. Ciągle jeszcze nie mógł się pogodzić z tym, co usłyszał. Z tym, że ktoś, kto poznał groźny sekret, od którego może zależeć los człowieka zagubionego w kosmosie, chce wykorzystać ten sekret jedynie dla powiększenia swoich zbiorów. Nie, to czyste szaleństwo! „Wariat! — przemknęło mu przez głowę. — Po prostu wariat!” Chociaż... przecież Dauba właściwie już się zgodził! I kto tu oszalał?! Wszyscy zawsze mówią, że kolekcjonerstwo to taka szlachetna pasja! Pomaga poznawać ludzi, których łączą te same zainteresowania, uczy przeszłości Ziemi i planet, kształci wytrwałość, charakter... Charakter! Pewno! Pod warunkiem, że nie idzie w parze z prawie zapomnianą w dobie kosmicznej żądzą posiadania za wszelką cenę! A w tym wypadku ceną jest najpierw życie ojca Anik, a potem...

Radek poczuł, że na czoło występują mu kropelki zimnego potu. Najwyższym wysiłkiem woli wzięął się w garść.

Nagle przyszło mu do głowy coś, o czym nie pomyślał, kiedy usłyszał przez radio rozmowę Byssona z Daubą. Nie chodzi tylko o informacje dotyczące przyczyn katastrofy na K-1, jakich mógłby udzielić pilot „Ety”, gdyby profesor Kuningas i inni dowiedzieli się o jego potajemnej wyprawie po purchawki. Stawka jest bez porównania wyższa! Nik, szantażując przed chwilą obu współników, powiedział, że kiedy Bysson zabierał na pokład rozbitków, wcale nie wracał ze zwykłego lotu patrolowego, tylko właśnie z komety! Powiedział

to, a ani Dauba, ani pilot nawet nie próbowali zaprzeczać! Czy rudzielec nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia tego odkrycia, jak jeszcze przed chwilą nie zdawał sobie z niego sprawy Radek, czy też owładnięty dzikim pragnieniem zdobycia lodowych kamieni zdecydował się z zimną krwią poświęcić Piotra Jardin?! Tak, poświęcić! Bo przecież skoro „Eta” mogła wtedy w rekordowym tempie wrócić z K-1, a teraz potrzebowała zaledwie kilku minut, by odbyć lot do Trytona i z powrotem, to znaczy, że nie jest rakieta średniego, tylko dalekiego zasięgu! To znaczy, że może teraz, od razu polecieć na K-1 po ojca Anik! Wcale nie trzeba czekać na te wielkie statki, które wezwała załoga bazy.

Musi... musi natychmiast odnaleźć ojca! Trzeba ująć przestępców i odebrać im raketę! A swoją drogą, czy przebywający tutaj uczeni są ślepi?! Przecież jemu od pierwszej chwili wydawało się, że „Eta” jest zbyt silnie zbudowana jak na statek średniego zasięgu!

Milczenie, które nastąpiło po ostatnich słowach Dauby, przeciągało się. Słuchać było tylko przyśpieszone oddechy trzech współników, ich sylwetki ledwie majaczyły w ciemności. W pewnym momencie ta cisza oraz własna beczyność stały się dla Radka nie do zniesienia. Poczuł, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej...

I akurat wtedy padły słowa, które podziały na niego tak, jakby mu ktoś wylał na głowę wiadro zimnej wody.

— Alan, zapal światło — odezwał się przyciszonym głosem fotonik. — Nic nie widać. A już najwyższy czas, żebyśmy wrócili do dyspozytorni.

Chłopiec zmartwił. Co robić? Wrzasnąc, jak przedtem Nik: „Wiem wszystko!” — i rzucić się do ataku? Nie, to na nic. We dwójkę z rudym mieliby może jeszcze jakieś szanse, ale on teraz stanąłby sam wobec trzech gotowych na wszystko przeciwników. Wypaść z niszy, podbiec do drzwi i uciec? To mogłoby się udać. Ale wtedy Dauba i Bysson zorientują się, że ktoś poznał ich tajemnicę, zostawią Nika, wsiądą do rakiety i, zanim Radek dobiegnie do dyspozytorni, będą już w przestrzeni. Ukryją się na Ziemi albo w jakimś rezerwacie i szukaj wiatru w polu! Baza straci „Etę”, a wraz z nią szansę szybszego przyścia z pomocą ojcu Anik. Zostać na miejscu? Świetnie, tylko że za chwilę pilot zapali światło i oczom złoczyńców ukaże się dodatkowy skafander, z gołymi i — co tu ukrywać — lekko drżącymi nogami. Zaraz... skafander?... Skafander! Oczywiście!

Błyskawicznie sprawdził, czy ubiór, który służył mu dotąd za oparcie, dostatecznie mocno tkwi na wieszaku, po czym podciągnął się na rękach i wsunął do środka, razem z głową, w pośpiechu pakując obie stopy do jednej nogawki. Jakimś cudem, w ostatniej chwili, udało mu się zaciągnąć zamek. Zaledwie zastygł w bezruchu, przez otwartą kryzę skafandra wpadła jasna smuga światła. Skulił się, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej i zerknął w górę, gdzie lśnił jak reflektor okrągły otwór, do którego brzegów przytwierdzało się zazwyczaj próżniowy kask. Na szczęście nikt nie zwrócił uwagi na niecodzienne kształty jednego z wiszących w niszy kosmicznych strojów.

Sekundę później usłyszał zduszony szept Dauby:

— Csss... Ktoś idzie!

Reflektor zgasł. Znowu zapadła ciemność.

„Zapal światło... Pstryk! Zgasł światło... Pstryk! — zachnął się w duchu Radek. — Chyba tylko po to, żebym się gimnastykował w tym worku jak ryba połknięta przez pelikana!”

Z korytarza dobiegł odgłos kroków. Fotonik miał rację. Ktoś nadchodził...

Kroki zbliżyły się, na moment umilkły, po czym zastukały znowu, już znacznie głośniej.

— Ummm... ummm... — zaburczało coś gniewnie. Tajemniczy przybysz był już całkiem blisko. Nagłe stało się coś okropnego. Radek, ciągle zadzierając głowę do góry, ujrzał w mroku, że do wnętrza jego kryjówki wślizguje się długi, biały wąż uzbrojony w ruchliwe macki. Przez chwilę zatęsknił obłądnie, żeby Basiowe bajki choć raz okazały się prawdą i żeby go ktoś teraz szybko przemienił w krasnoludka..

Niestety, na jakiegokolwiek przemiany — nawet zupełnie czarnoksiężskie — było za późno. Poczuł na swoim czole zimne dotknięcie kościstych macek, które najpierw znieruchomiały na moment, a potem gorączkowo zaczęły badać jego nos, policzki, oczy...

Każdy przyzna, że było to już naprawdę więcej, niż może wytrzymać niespełna piętnastoletni mężczyzna, nawet taki, który wybiera się do gwiazd. Chłopiec zamknął oczy i, w ostatecznej desperacji, z całej siły wbił zęby w coś, co tak bezceremonialnie poczynało sobie z jego

twarzą.

Macki zniknęły, a mroczne pomieszczenie przeszył rozpaczliwy i równocześnie triumfalny okrzyk:

— Potwór!!! Potwór!!! Potwór!!!

— Nie! Nie! Nie! — na wszelki wypadek wrzasnął ukryty w skafandrze krasnoludek. W odpowiedzi rozległ się ogłuszający łoskot, jakby wychudzony słoń runął na drewnianą podłogę.

— Potwór... Potwór... Potwór... — w głosie wołającego nie pozostało śladu triumfalnej nuty. Brzmiała w nim raczej bolesciwa skarga zmieszana z najwyższym oburzeniem.

Radek wyskoczył ze swojego schronienia jak wystrzelony. W mroku dalej coś się kotłowało, rozbrzmiewały niezrozumiałe wykrzykniki i odgłosy szamotaniny. Wykorzystując to zamieszanie, dopadł drzwi i, zapewniwszy sobie w ten sposób drogę odwrotu, nacisnął kontakt.

Przestronne pomieszczenie przed lądowiskiem załało jasne światło. W jego blasku chłopiec ujrzał Byssona i Daubę zastygłych z wyrazem całkowitego osłupienia na pobladych twarzach. Obaj wpatrywali się w coś, co kłębiło się przed nimi na podłodze.

Trzeba przyznać, że ich zdumienie było w pełni uzasadnione. Na jasnobrązowej wykładzinie tarzał się stwór posiadający cztery długie, cienkie ręce, którymi wywijał jak skrzydłami wiatraka, dwie głowy — rudą i srebrzystobiałą — oraz jedną nogę przypominającą nedorzecznie gruby korkociąg.

— Mam! Mam! Potwór!

— Aj! Moja noga! Aj!

— Ugryź! Ugryź!

— Nie! Ojoj!

W ten frapujący dialog wmieszał się początkowo cichy, a stopniowo coraz głośniejszy śmiech. Radek rozejrzał się z niedowierzaniem. Wydawało mu się niepojęte, aby po tym, co tutaj zaszło, ktoś mógł ulec napadowi niepohamowanej wesołości. A jednak. W dodatku tym, który aż krztusił się ze śmiechu, był nie kto inny, jak przychwycony na gorącym uczynku zbrodniarz, Witold Dauba.

Stwór na podłodze znieruchomiał i zapytał ustami swojej srebrzystej głowy:

— Rechocze?! Kto?!

Młody fotonik zdobył się na rozpaczliwy wysiłek, aby przyoblec twarz w wyraz powagi i współczucia.

— Co się stało, panie profesorze? — zagadnął wreszcie przerywanym głosem.

— Proszę mnie puścić! — załkała ruda głowa.

— Nie gryź! Nie gryź! Nie gryź! — ofuknęła ją natychmiast srebrzysta.

— Wcale nie gryzłem! Noga! Oj...

Dauba opanował się w końcu, przyklęknął i — przy akompaniamencie jęków oraz porykiwań dwugłowego — szarpał przez chwilę jego wielką, świdrowatą nogę. Niebawem rozdzieliła się ona i w ten sposób okazało się, że stwór jest istotą czworonożną, która wkrótce zresztą uległa rozdwojeniu na Nika Zadrę oraz... profesora Miga Fufuryę we własnej, nieco sponiewieranej osobie.

Wielki grawitonik milczał teraz jakiś czas, oddając się zapamiętane pływaniu w wymagowanym oceanie, w samym oku szalejącego cyklonu. Nik także nic nie mówił, tylko dyszał ciężko, pocierając sobie nogi, a zwłaszcza najwyższą ich część, przy czym na jego twarzy pojawiał się grymas bólu.

Wreszcie cyklon ucichł na tyle, że Fufurya mógł przejść od dzikiego stylu motylkowego do szybkiego delfina. Kiedy ten z kolei zmienił się w łagodną żabkę, uczone odetchnął z ulgą, a następnie zmierzył rudzielca morderczym wzrokiem.

— Ugryź?! Tu?! — ryknął demonstrując zebrany aż nazbyt dobrze widoczne ślady zębów na swojej dłoni.

Radek przyjrzał się im uważnie i trochę się zawstydził. Ale dlaczego wybitny naukowiec, wszedłszy na teren lądowiska, nie zapalił od razu światła, tylko po omacku sięgnął do skafandra? I to akurat tego, który był już zajęty...

— Ja? — tchnął świętym oburzeniem Nik. — Panie profesorze! Ja miałbym gryźć?!

— A kto?! — zagrzmiał Fufurya. — Sam się pokąsałem?!

— Nic nie rozumiem — wmieszał się Witold Dauba. — Kto kogo ugryzł? To chyba jakieś nieporozumienie.

— Owszem, nieporozumienie — potwierdził żałośnie Nik. — Stałem spokojnie, kiedy pan profesor wpadł na mnie nagle w ciemności. Wywróciłem się, a potem pan profesor zaczął mnie dusić.

Zasłużony grawitonik nie mógł przez moment wydobyć głosu. Kiedy go wreszcie odzyskał, huknął tak, że potężna stalowa przegroda przed polem startowym odpowiedziała wysokim, metalicznym echem.

— Dusić?! Dusić?! Dusić?! Ja? — zmeł w ustach jakieś niezrozumiałe słowa. — Szedłem! Głosy! Tu! Ciem

no! Skafander? W skafandrze on! — wycelował wskazującym palcem w pierś Nika. — Ugryzł! — jeszcze raz pokazał sine ślady zębów na swojej ręce. — Ugryzł! Potwór! — zakończył autorytatywnie.

— Przepraszam, a po co pan chciał wziąć skafander? — Dauba nagle spowaźniał.

— Głosy! — powtórzył grawitonik. — Tam! — wskazał otwarte drzwi pola startowego. — Myślałem, że tam! — poprawił się. — Pójdź! Sprawdź!

— To my wróciliśmy właśnie z lotu patrolowego... prawda, Nik? — powiedział z naciskiem Dauba patrząc znacząco na rudego. — Zastaliśmy tutaj naszego młodego gościa i właśnie mieliśmy wszyscy pójść do dyspozytorni, kiedy pan się zjawił.

— Tak! — Fufurya przyjął za dobrą monetę wykrętne wyjaśnienie fotonika. Zastanowił się przez chwilę, po czym ruszył roztańczonym krokiem w stronę wnęki ze skafandrami. Ostrożnie wsadził rękę do stroju, stanowiącego jeszcze dwie minuty temu kryjówkę Radka, i wykonał nią ruch, jakby ucierał ko-gel-mogel. Przekonawszy się, że skafander jest pusty, dla wszelkiej pewności wetknął jeszcze do środka głowę, a następnie oświadczył:

— Skafander?! Zębaty?! Bzdura! Teraz Dauba zwrócił wreszcie uwagę na stojącego u wejścia jeszcze jednego niespodziewanego gościa.

— A co ty tutaj robisz? — spytał mierząc Radka badawczym wzrokiem.

Chłopiec drgnął. Spodziewał się, że ktoś w końcu zechce go obdarzyć swoim zainteresowaniem, ale kiedy do tego doszło, nie potrafił opanować odruchu zaskoczenia. Miał już jaki taki pogląd na przebieg wypadków, które się tu rozegrały. Ugryziony przez niego profesor Fu-furya odskoczył do tyłu i wpadł na Nika. Pomyślał oczywiście, że to rudy tak niegodnie wypróbował na

nim siłę swoich zębów, więc chciał go obezwładnić, przekonany, że ma do czynienia z jakimś szaleńcem, który przybył z kosmosu, aby siać spustoszenie wśród załogi bazy. Teraz grawitonik przeszedłby może do porządku nad całym pożałowania godnym incydentem, ale z Daubą i Byssonem nie pójdzie tak łatwo. Zaczną się zastanawiać, od jak dawna Radek jest tutaj i czy nie słyszał ich rozmowy. Ostatecznie ktoś jednak ugryzł Fufuryę, a oni doskonale wiedzą, że nie zrobił tego ani Nik, ani żaden z nich. Nie mogli nawet dojść do wniosku, że wielkiemu uczonemu coś się przywidziało, bo ślady zębów na jego dłoni stanowiły namacalny dowód. Może by teraz, od razu, opowiedzieć Fufuryi o Byssonie, „Ecie” i knowaniach całej trójki?

Tylko... skąd grawitonik wziął się tutaj? Przecież jeszcze tak niedawno stał przed ścianą i wyświetlał na niej swoje obliczenia. Zaraz... Bysson i Dauba zdobyli nielegalnie purchawki, zgoda. Czy jednak przywieźli je wyłącznie dla siebie? A może namówił ich właśnie Fufurya? I teraz, wiedząc, z jakim ładunkiem powróciła „Eta”, wykorzystał noc, aby przyjść i zobaczyć swój łup? Mógł się nie orientować, że te lodowe kamienie nadają także tutaj i że to zmusi współników do odholowania ich na orbitę Trytona. Zresztą gdyby nawet Fufurya był niewinny, to kto wie, co robią pozostali. Nie, tak czy owak trzeba milczeć.

Wszystko to przebiegło chłopcu przez myśl w ułamkach sekund. Nie mógł dłużej zwlekać z odpowiedzią. Musiał koniecznie od razu rozwiać ewentualne podejrzenia Dauby i Byssona. Inaczej może być źle.

— Przechodziłem korytarzem i usłyszałem głosy. Zorientowałem się, że tutaj ktoś jest, więc wszedłem i zapaliłem światło — powiedział siłąc się na obojętny ton.

Dauba zmrużył oczy.

— Głosy? Jakie głosy? Co usłyszałeś?

Radek wzruszył ramionami.

— No, ktoś krzyczał. Pewnie Nik... — dodał pogardliwie. — Widać przestraszył się czegoś.

Rudy prychnął z gniewem, ale fotonik nie pozwolił mu dojść do słowa.

— Przyszedłeś dopiero wtedy, kiedy Nik krzyknął? — upewnił się nieufnie. — A... czy podchodziłeś do skafandrów?

— Ja? — zdziwił się Radek tak szczerze, że w duchu musiał sobie natychmiast złożyć gratulacje. — Do skafandrów? — powtórzył naiwnie. — A po co?

— Nic, nic — mruknął Dauba zerkając na pilota, który przez cały ten czas nie odezwał się ani jednym słowem. — Chyba już pójdziemy, panie profesorze? — zwrócił się z kolei do Fufuryi.

Ten kiwnął energicznie głową. Przed wyjściem postanowił jednak raz jeszcze zaatakować Nika.

— Skąd ty tu?! — łypnął złowrogo oczami. Rudy natychmiast zrobił chytrą minę.

— Usłyszałem przez radio, jak pan Bysson... — Urwał i przez chwilę chrząkał, jakby właśnie utkwilo mu coś w gardle, obserwując równocześnie pobladałą nagle twarz Dauby. — ...Jak pan Bysson rozmawia z komputerem swojej rakiety — zakończył wreszcie niewinnym tonem. — Nie mogłem spać, więc przyszedłem.

Taką przewrotność Radek mógł skwitować tylko szczególnie soczystym „fu-fu-fu”, co też zrobił. Zafu-czał bardzo cicho, ale wielki grawitonik dowiedział niezwłocznie, że cieszy się znakomitym słuchem.

— Co?! — zakipiał. — Jak?! Fu-co?! Fu-co?! Kto tu?!

— To Radek powiedział: fu-fu-fu — wyjaśnił ochoczo Nik.

— Nazwisko?! Moje?! Podłość! Smarkacz! — profesor najwyraźniej przeniósł całą swoją wściekłość na Radka.

Ten jednak — choć w najwyższym stopniu oburzony nowym występem Nika — zdołał jakimś cudem pojąć, że jego słynne zawołanie zostało uznane za swawolną przeróbkę nazwiska grawitonika.

— Panie profesorze! — jęknął. — Zawsze tak syczę, kiedy coś się stanie. Fu-fu-fu! — zademonstrował z samozaparciem. — Proszę zapytać mego ojca!

Nie wiadomo, czy grawitonik nie zażądałby, aby odtąd Radek był łaskaw w inny sposób obwieszczać światu o stanie swoich uczuć, gdyby w tej właśnie chwili nie zabrzmiał od progu głos profesora Seana O,Clahy.

— Cosiętudzicie? — spytał po swojemu. Jego wzrok padł na węzową postać Fufuryi. Wtedy mrugnął porozumiewawczo i powtórzył bardzo powoli:

— Co się tu dzieje?

— Właśnie wracamy z lotu patrolowego — pośpieszył ze swoją bajeczką Dauba. — Spotkał się tutaj profesora, Nika i Radka, a teraz idziemy do dyspozytorni...

— Pogryziono mnie — poskarżył się Fufurya. Profesor O,Claha powitał tę wypowiedź przychylnym skinieniem głowy.

— Tak. Słyszałem, jak ryczałeś. Sam powinieneś się ugryźć. W język. Ale nie teraz — powiedział prędko, widząc, że grawitonik otwiera usta. — Teraz naprawdę chodźcie do dyspozytorni. Za kilka minut sonda, którą wystaliśmy w stronę K-1, powinna przekazać pierwsze zdjęcia komety. Szukam was po całej bazie.

Wzmianka o sondzie, która za kilka minut udzieli być może odpowiedzi na pytanie, czy Piotr Jardin jeszcze żyje, zelektryzowała wszystkich.

— Chodźmy! — Witold Dauba pierwszy skoczył do drzwi.

— Chodźmy — zgodził się Nik.

— Szybko — przynaglał Fufurya, przepływając nad progiem.

Ostatni opuścił przedsiónek lądowiska Alan Bysson. Włókł się noga za nogą, przygarbiony i jakby postarzały.

— Poziom siódmy — polecił automatycznej windzie profesor O,Claha.

„A więc nie trzeci, tylko siódmy” — odnotował w myśli Radek.

Kiedy wysiedli w części mieszkalnej, jeszcze raz tej nocy — z „zielonej” ściany spojrzęła na nich uśmiechnięta twarz Piotr Jardin.

Zatrzymali się. O,Claha, który wysforował się do przodu, położył palec na ustach. Ale i tak nie padło ani jedno słowo.

Dziesięć kroków przed nimi stała Anik. Była odwrócona tyłem do przybyłych i pochłonięta bez reszty obrazem, który wyczarowała z własnej wyobraźni.

Twarz Piotra Jardin wypełniała przestrzeń od sufitu do podłogi. Tym razem uczony nie spał. Właśnie przyglądał sobie dłonią swoje czarne, rozwichrzone włosy i spojrzał gdzieś w bok. Na ścianie ukazało się wielkie okno, a za nim widok, który nie miał nic wspólnego z mroźną pustynią K-1. W perspektywie biegły jasne, kolorowe domki i śmigłe wieżowce pięknie wkomponowane w zielone wzgórza. Pomiedzy kwitnącymi drzewami srebrzyła się rzeka. Widać było ażurowe pawilony i fontanny, na dachach lśniły lustra baterii słonecznych oraz lekkie spirale anten. Błękit sztucznego nieba wyglądał jak najprawdziwszy, ziemski.

Dłuższą chwilę w korytarzu panowało milczenie. Nawet Fufurya przestał pływać i zamarł bez ruchu — wpatrzony w obraz, z którego tchnęła pogoda i cudowny spokój. Wreszcie profesor O,Claha westchnął, podszedł do Anik i delikatnie położył jej rękę na ramieniu. Dziewczyna drgnęła, odwróciła się szybko. W jej wzroku odmalował się przestach, potem — kiedy zobaczyła, kto za nią stoi — głęboki żal zmieszany z wyrzutem.

O,Claha uśmiechnął się do niej serdecznie.

— To Gagarin, prawda? — spytał cicho, wskazując widok na ścianie. Anik spuściła głowę.

— Tak — wyszeptała. — Chciałam... — zająknęła się — chciałam, żeby tatuś był w domu i żeby mógł popatrzeć przez okno. On bardzo lubi nasze miasto...

Radek poczuł, że jakaś lodowata dłoń zaciska mu się na gardle. Z żalu zapomniał o wszystkich możliwych i niemożliwych przestępcach, purchawkach, pokąsanym grawitoniku i o „Ecie”. Gagarin... Jedno z największych i najpiękniejszych kosmicznych osiedli na skraju parku Asteroidów. Biedna Anik, przynajmniej w myślach zapragnęła pokazać ojcu jego miasto, drzewa, niebo i słońce. Biedna Anik...

Bardzo chciał powiedzieć coś, co podtrzymałoby ją na duchu. Przez głowę przelatywały mu wciąż nowe słowa, ale wszystkie wydawały się naiwne albo fałszywe.

W tej chwili w głębi korytarza zadudniły czyjeś szybkie kroki. Zza zakrętu wyskoczył Oleg Zadra. Zatrzymał się, zdziwiony, na widok tak licznej grupy osób zebranych tutaj, ale był zbyt przejęty nowiną, którą miał obwieścić, aby dociekać, co ich tu zgromadziło.

— Jesteście! — zawołał. — Właśnie was szukam! Anik — spojrzał na dziewczynę i uśmiechnął się do niej szeroko — biegnij do dyspozytorni! Chodźcie wszyscy, szybko! Sonda przekazuje właśnie pierwsze obrazy komety! K-1 istnieje nadal! Posterunek obserwacyjny przy lodowych kamieniach jest cały! Piotr Jardin żyje!

Spisek

Obraz na wielkim panoramicznym ekranie był przyciemniony i niezbyt ostry. Mimo to wszyscy obecni bez trudu rozpoznali posępny lodowy pejzaż. Wydało im się tylko, że czarnogranatowe niebo nad kometa pobladało, że nad zaokrąglonym horyzontem jaśnieje luna, jakby zwiastun dalekiego pożaru.

— Jest! Jest! — krzyknął Nik.

Automatyczne kamery przeczesywały właśnie pamiętny placyk, który z wysokości, na jakiej leciała sonda, przypominał przybrudzony biały talerzyk. Purchawki pozostały niewidoczne, można się było jedynie domyślać, że to one właśnie tworzą mikroskopijną wypukłość pośrodku talerzyka. Za to kopała posterunku obserwacyjnego rysowała się zupełnie wyraźnie. Nie ulegało wątpliwości, że katastrofa, która spowodowała wystrzelenie stacji K-1 w kierunku bazy, nie objęła swoim zasięgiem okolicy lodowych kamieni. Piotr Jardin ocalał. Przynajmniej wtedy...

— Aniemówiłem?! — zawołał wesoło O,Claha. — Wyśpi się za wszystkie czasy! — zaczął dzielić słowa, pochwycawszy spojrzenie profesora Fufuryi. — Przylecimy, powiemy „dzień dobry”...

— Czy macie pewność, że posterunek jest nie uszkodzony? — spytał nagle nowy głos.

Radek obejrzał się mimo woli. Światła w wielkiej kabinie były przygaszone, dlatego w pierwszej chwili nie zauważył, że w bazie pojawił się jeszcze jeden przybysz. Teraz

nieznajomy wyszedł z cienia i stanął obok profesora Kuningasa siedzącego przed pulpitem komputera.

Radek przyjrzał mu się uważnie. Obcy był stosunkowo młodym mężczyzną, ale poruszał się dziwnie powoli, jakby go męczył ciężar własnego ciała. Miał szeroką twarz, niemal kwadratowy podbródek i włosy tak jasne, że na tle ekranu wydawały się zupełnie białe.

— W każdym razie wszystko wygląda tak jak wtedy, kiedy ukończyliśmy budowę — odpowiedział siedzący obok Kuningasa profesor Stanko Yaic. — Nie wiemy, rzecz jasna, co dzieje się wewnątrz posterunku, ale nic nie wskazuje na to, by nastąpiła tam jakakolwiek awaria.

Radek przytknął wargi do ucha ojca i wyszeptał:

— Kto to jest?

— Nazywa się Buddy Cox — odpowiedział równie cicho doktor Olcha. — Późnym wieczorem przyleciał z Ziemi. — I od razu uzupełnił, widząc rozjaśnione nadzieją oczy syna: — Niestety, jak pech, to pech. Jego, jednoosobowa zresztą, rakieta uległa bardzo poważnemu uszkodzeniu.

Chłopiec spojrzał na białowłosego z zaciekawieniem. Przybysze wprost z Ziemi byli dość rzadkimi gośćmi w rejonie wielkich planet. A ten białowłosy przyleciał sobie tutaj, jakby nigdy nic. Dziwne.

— Co mówi komputer? — spytał dziwny przybysz.

— Na podstawie zdjęć otrzymanych z sondy uważa, że ani komety, ani samej stacji K-1 w ogóle nie dotknęła żadna katastrofa — odpowiedział z kolei Black Rondell. — O nic więcej w tej sytuacji nie ma sensu pytać — stwierdził.

— Nie ma — zgodził się Buddy Cox. — Czego jeszcze spodziewacie się po tej sondzie?

Profesor Kuningas wykonał nieokreślony ruch głową.

— Właściwie spełniła już ona swoje zadanie. Patrzcie, obraz staje się coraz bledszy — wskazał ekran, na którym istotnie majaczyły już tylko mgliste zarysy lądu. — Jej rezerwy energetyczne zaraz się wyczerpią.

— Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko szybko zorganizować ekspedycję ratowniczą — skwitował białowłosy. — Wszystko musi być przygotowane, zanim pierwszy z wezwanych statków przybędzie tutaj.

— Tak — westchnął Kuningas.

Radek zmarszczył brwi. Z Ziemi nie z Ziemi, ale co to właściwie znaczy, że ten nieznajomy rządzi się w bazie Instytutu Galaktycznego jak szara gęś? I dlaczego wszyscy znoszą to tak cierpliwie?

— Chodź, Anik — Patt przytuliła serdecznie dziewczynę i pociągnęła ją w stronę drzwi. — Widzisz, najgorsze już za nami. Polecimy po Piotra, a potem będziemy się śmiać z własnego strachu.

Mówiła to odrobinę zbyt wesołym tonem, jakby chciała zagłuszyć własne myśli.

— Teraz pójdziemy na chwilę do kabiny i zrobimy się na bóstwa. Wkrótce podadzą śniadanie, a zdaje się, że obie nie zmrzyłyśmy oka tej nocy. Oni tu — potoczyła wzrokiem po obecnych mężczyznach — i tak zbyt często zapominają, że bądź co bądź jesteśmy kobietami. Przynajmniej od czasu do czasu trzeba im o tym przypomnieć.

Kiedy Anik, nie do końca może przekonana, że powinna się zrobić na bóstwo, ale wyraźnie pocieszona wiadomościami przekazanymi przez sondę, pozwoliła bez protestu wyprowadzić się z dyspozytorni, Black Rondell powiedział:

— Patt to mądra dziewczyna. Oleg Zadra pokiwał głową.

— Owszem. Próbowaliście nawiązać z nim kontakt, prawda?

— Jesteś bardzo domyślny — zaśmiał się smętnie ojciec Radka. — Oczywiście!

— Przecież nic nie było słyhać? — zdziwił się Nik.

— Właśnie...

— Jego komputer powinien był odebrać sygnały emitowane z sondy, nawet gdyby sam Piotr spał już w hi-bernatorze — rzekł z troską w głosie Kuningas. — Posterunek jest wyposażony w bardzo słaby nadajnik, ale jego moc wystarczyłaby dla przesłania odpowiedzi sondzie, która z kolei przekazałaby ją nam. Tymczasem nasz odbiornik cały czas milczał.

— Czy... Co to może znaczyć? — spytał gorączkowo Radek.

— Nie wiadomo — odpowiedział cicho profesor Yaic. — Może ma zepsute radio? Albo anteny uległy uszkodzeniu podczas błyskawicznego startu stacji...

— W dodatku z K-1 już uciekają gazy — dodał O,Claha. — Niedługo grunt zacznie płynąć. Zapadła głucha cisza. Obraz komety ostatecznie zniknął z wielkiego ekranu, jego jasnoseledynowa tarcza tchnęła zimną pustką.

Wreszcie profesor Kuningas westchnął ciężko i odwrócił się od pulpitu.

— Jest jeszcze coś, o czym nie zdążyłem wam powiedzieć — przymknął powieki, na jego szczupłej, pociągłej twarzy odmalowało się zmęczenie. — Komputer zakończył pracę nad rozwiązaniem zagadki katastrofy, w wyniku której stacja K-1 przestała istnieć.

Otworzył oczy i odetchnął głęboko.

— No i co? — nie wytrzymał Nik.

— Nic... Na podstawie danych, jakie byliśmy mu w stanie dostarczyć, orzekł, że awaryjny start stacji mógł nastąpić tylko na rozkaz człowieka.

W głębi sali rozległ się czyjś zdławiony jęk, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

— Co takiego?! — zawołał z najwyższym zdumieniem profesor Fufurya. — Na rozkaz człowieka?! Jakiego człowieka? Czy ktoś z was wydał taki rozkaz?

— Z pewnością nikt — odpowiedział doktor Olcha. — Jednak tutejszy komputer miał bardzo skąpe wiadomości o tym, co działo się na komecie.

— Mogliśmy tylko stwierdzić — wtrącił profesor Yaic — że katastrofy nie poprzedził żaden alarm. Że nie odebraliśmy najmniejszego sygnału o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Wtedy...

— Cowtedy? — wydyszał O,Claha.

— Wtedy komputer zażądał planu urządzeń alarmowych zainstalowanych na komecie. Po zapoznaniu się z nim orzekł, że te urządzenia nie mogły zawieść. Inaczej mówiąc, że gdyby naprawdę stacji groziło jakiegokolwiek niebezpieczeństwo z zewnątrz, to musielibyśmy zostać ostrzeżeni. A potem powiedział, że wystrzelenie nas w kierunku bazy mogło nastąpić tylko na rozkaz człowieka.

Znów zapanowało milczenie. Tym razem trwało znacznie dłużej.

Upłynęła dobra minuta, zanim wreszcie Oleg Zadra pokręcił z niedowierzaniem głową i rzekł półgłosem, jakby do siebie;

— Nic nie rozumiem. Czyżby komputer aż tak się pomylił?

Profesor Kuningas wzruszył ramionami.

— Komputer zrobił, co mógł. Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że miał bardzo mało danych...

„Komputer ma rację!” — o mało nie krzyknął Radek, ale opanował się w ostatniej chwili. Bysson i Dau-

ba... Nik. Może Fufurya? Grawitonik zaledwie raz się odezwał, i to dopiero wtedy, kiedy padły te tajemnicze słowa: „na rozkaz człowieka!” Pewno, że na rozkaz człowieka! Bysson powiedział przecież na głos: start alarmowy! Ale przeciwników jest zbyt wielu. W ogóle wszyscy uczeni z bazy wydali mu się nagle podejrzani. Czyżby naprawdę dotychczas nie zauważyli, że „Eta” jest rakieta dalekiego zasięgu? Nie, trzeba poczekać, aż znajdzie się sam na sam z ojcem, i dopiero wtedy wyjawić całą, okropną prawdę.

— Krótco mówiąc, poza tym, że posterunek ocalał, dalej nie wiemy nic — podsunął profesor Yaic — i pozostaje nam już tylko jak najlepiej przygotować się do wyprawy ratunkowej, kiedy wreszcie przybędzie tu jakiś statek. Ale pamiętajcie! O tym milczącym nadajniku ani słowa Anik! — wznosił w ostrzegawczym geście dłoń.

— Tak, tak — podchwycił O,Claha. — Dziewczyna dość się już namartwiła...

— Co to jest? — przerwał mu nagle nie swoim głosem Dauba. — Jakież sygnały?

— Sygnały? Skądże...

Kuningas przez chwilę mierzył zdumionym wzrokiem tablicę sygnalizacyjną komputera, po czym nagle zerwał się z miejsca, podbiegł do wielkiego pulpitu stojącego pod boczną ścianą i gorączkowo zaczął przyciskać różnobarwne klawisze. Na pustym przed chwilą ekranie zapłonęły żółtym ogniem liczby i linie.

— Przejdź na fonię! — krzyknął doktor Olcha. Kuningas wdusił jeszcze jeden guzik. Z głośników pod ekranem popłynęły przerywane sygnały. Pi-pi. Pi-pip-pi-pi. Pi-pip.

— To nie Piotr — rzekł zawiedzionym głosem Rondell. — Z innego sektora.

— Jakiś statek? Niemożliwe — powiedział O,Claha. — Zaalarmowaliśmy przecież dyspozytorów wszystkich placówek.

— Chyba to meteor. Albo jakaś stara, zabłąkana sonda — głos profesora Kuningasa brzmiał już spokojnie. — W każdym razie nie wysłał żadnych sygnałów. Te „pi-pi-pi” to tylko nasze własne wezwanie, odbite od powierzchni wykrytego obiektu. Zaraz... — patrzył z uwagą na ekran. — Już! Mamy jego położenie. Orbita Trytona. Stacjonarna.

— Orbita Trytona? — powtórzył półgębkiem Nik. Zerknął na Daubę, potem na Byssona i wydał pogardliwie wargi, jakby chciał powiedzieć: „Ale wymyśliliście!” Trzeba przyznać, że miał trochę racji. W tak niewielkiej odległości potężne radary i szperacze laserowe bazy musiały od razu odkryć odholowany pojemnik z purchawkami.

— Obiekt, który wszedł na orbitę najbliższego księżyca, jest zbudowany z czystego metalu — Kuningas odczytał na głos rezultat analizy, jakiej na podstawie odbitych sygnałów dokonał komputer. — Trochę to dziwne — dodał. — W tym rejonie nie ma sztucznych satelitów.

— Mniejsza z tym — powiedział szybko Dauba. — Pewnie to naprawdę meteor. Nie zawracałbym sobie nim głowy. Mamy ważniejsze sprawy.

„Chciałbyś! — zawołał w duchu Radek. — Ale nic z tego! Teraz Kuningas wyśle jakiś aparat, żeby zbadał ten »meteor« i zaraz wyjdzie szydło z worka!”

Buddy Cox podszedł leniwym krokiem do pulpitu i stanął za plecami profesora Yaica.

— Czy jest możliwe, żeby część stacji K-1, jakaś antena, kawałek wspornika lub fragment komputera, przyleciała aż tutaj? — spytał z namysłem. — Gdyby na przykład coś oderwało się w czasie startu, a potem weszło w pole przyciągania któregoś z segmentów?

Uniósł wolno głowę i spojrzał nic nie mówiącym-wzrokiem na Daubę. Ten uciekł z oczyma, natomiast O,Claha podchwycił z zapalem:

— Część komputera?! Powiedzmy, bęben z zapisem wydarzeń, jakie zaszły na komecie, zanim ta nie pozbyła się nas tak uprzejmie? Co?!

— Nie cieszyłbym się na twoim miejscu — zauważył ponuro profesor Fufurya. — Okaże się na przykład, że to ty dałeś rozkaz startu alarmowego. Jeśli ktoś mówi bez przerwy, to w końcu wypowie wszystkie możliwe zdania, hasła i formułki, jakie tylko istnieją. Poza tym pewnie gadasz także przez sen...

— Czaplatakawisielec!!! — wyrecytował O,Claha.

— No, proszę! — ucieszył się grawitonik. Tym razem Radek już nie wytrzymał. Liczy się przecież każda sekunda, a ci tutaj..

— Trzeba to zbadać! — krzyknął tak głośno, że obecni aż podskoczyli. — Zaraz!

— To nie ma sensu, bo... — zaczął nerwowo Dauba. Białowłosa przybysz z Ziemi przerwał mu:

— Proponuję, żebyśmy zapomnieli na razie o kra-somówstwie — posłał wymowne spojrzenie Fufury — czaplach — zerknął z kolei na O,Clahę — i nie krzyczeli — utkwiał wzrok w nieco poczerwieniałej twarzy Radka. — Chłopiec ma zresztą rację — orzekł. — Tylko przedtem musimy porozumieć się z Centralą.

Pochylił się nad pulpitem, grzecznie, ale stanowczo przeprosiwszy przedtem kierownika bazy. Nałożył na głowę słuchawki i przebiegł palcami po klawiszach.

Przez chwilę w dyspozytorni, wciąż jeszcze pogrążonej w półmroku, panowała idealna cisza.

— Rozumiem — rzekł wreszcie do mikrofonu Cox. — Zmiana instrukcji. Przyjąłem.

.....

— Nie, jeszcze nie.

.....

— Dobrze.

— Pilot Alan Bysson.

Nie śpiesząc się, zdjął słuchawki, przygładził dłonią swoje zadziwiająco jasne włosy i odszukał spojrzeniem pilota „Ety”.

— Oni mówią, że odkryty przez nas obiekt nie jest pochodzenia naturalnego. Komputer Centrali też zbadał te odbite sygnały. Mamy teraz stałe połączenie, więc otrzymał je prawie równocześnie z nami. W tej sytuacji nie będziemy wysyłać automatycznej sondy, tylko polecimy sami. Alan, twoja rakieta jest sprawna, prawda?

Bysson odpowiedział ledwie dostrzegalnym ruchem głowy. Oleg Zadra skoczył jak oparzony.

— Znakomity pomysł! — zawołał. — Muszę to sfilmować! A nuż wreszcie odwiedziły nas istoty z obcych światów!

— Ja polecę z tobą! — poderwał się Nik.

— Czy mogę towarzyszyć Byssonowi? — Dauba spojrział prosząco na profesora Kuningasa.

— Weźcie mnie także! — dołączył do chóru Radek.

— Dosyć! — uciął Kuningas. — My z profesorem Yaicem i Seanem zostajemy tutaj i przygotowujemy wyprawę ratunkową. Bysson, weźmiesz Witolda, Olega i chłopców, jeśli się zgadzasz. Na pokładzie „Ety” ty jesteś gospodarzem.

Pilot nie odpowiedział.

— Milczenie jest oznaką zgody — zawyrokował przytomnie Nik. — Tato, pozwolisz mi zrobić trochę zdjęć?

— Skoro Bysson nie ma nic przeciwko temu, niech chłopcy lecą — rzekł Buddy Cox. — Wyprawa będzie krótka. Jeśli to coś nie odpowie na nasze wezwania, wezmę sondę i przyjrę się temu z bliska.

Białowłosey coraz mniej się Radkowi podobał. Co to za „oni”, z którymi rozmawiał? I ta jakaś „Centrala”?! Instytut Galaktyczny jest przecież samodzielną placówką. I dlaczego wymienił w rozmowie nazwisko Byssona? Czyżby wiedział, czym naprawdę jest ów rzekomy meteor? Ale w takim razie stanowczo zbyt łatwo zgodził się, aby Zadra i obaj chłopcy także polecili na rozpoznanie. Prawda, w razie czego on sam zbliżył się do milczącego obiektu. I co zrobi? Nic! Radek poweselał nagle. Przecież Oleg Zadra nie pozwolił się zbyć byle kłamstwem. A tu, przed ekranami, będą śledzić przebieg lotu Kuningasa, Yaic, ojciec... Tak czy owak, musi wyjść na jaw, że ten obiekt to pojemnik wypełniony purchasekami. Wtedy ograniczy się także krąg tych, którzy mogli go umieścić na orbicie Trytona. Przecież nie ma tu żadnego statku oprócz „Ety”...

Buddy Cox szedł pierwszy, za nim pilot, obok niego Dauba. Pochód zamykał Oleg Zadra, który zdążył już przynieść z kabiny swoją kamerę, a teraz popychał lekko to Nika, to Radka, zachęcając ich do pośpiechu.

Wysiedli z windy i skierowali się wprost ku drzwiom prowadzącym na pole startowe. Kiedy cała grupka — już w białych próżniowych ubiorach — przekraczała próg pancерnej przegrody, Cox cofnął się nagle.

— Zaczekajcie — mruknął. — Zapomnieliśmy o czymś.

Wrócił do przedsiönka i przyniósł liny asekuracyjne, dokładnie takie same, z jakich korzystali pasażerowie rozczłonkowanej stacji K-1. Rozdał je wszystkim, oprócz Byssona, który jako pilot i tak nie mógł opuścić rakiety, po czym ziewnął, przeciągnął się leniwie i burknął:

— Wsiadajmy.

Nie minęło dwadzieścia minut, kiedy na ekranie nad fotelem pilota ukazał się wyraźny obraz rzekomego meteora.

— Sonda! — zawołał ze zdumieniem Oleg Zadra. — Zwykła sonda! A mówiliście, że w tej okolicy nie ma żadnych aparatów satelitarnych? — zwrócił się do Dauby.

— Bo nie ma — odpowiedział zamiast fotonika Buddy Cox. — W każdym razie naszych.

— Stopuję — rzekł głucho Alan Bysson. „Eta” zatoczyła miękki łuk i zatrzymała się w pewnej odległości od zagadkowego obiektu.

— Naprawdę nie wiecie? — Oleg Zadra spoglądał to na pilota, to na Daubę. — Nie mieliście żadnego meldunku o zaginięciu zwiadowcy wystrzelonego z jakiejś stacji czy rakiety?

— Nie — rzekł krótko pilot.

„Pewnie, że nie! — triumfował w duchu Radek. — Meldunek dopiero będzie... Ale nie o

zaginięciu zwiadowcy!"

— Ciekawe — mruknął pod nosem Cox. — Sonda wygląda na nie uszkodzoną, a mimo to milczy. Baterie zasilające automatyczny nadajnik namiarowy mają zwykle zapas energii na dziesiątki lat. Czyżby to było takie stare? No, czas na mnie.

Włożył próżniowy kask i bez pośpiechu ruszył w stronę drzwi prowadzących do śluzu. Oleg Zadra natychmiast poszedł w jego ślady.

— A ja? — zawołał Nik. — Przecież obiecałeś? Miałem robić zdjęcia!

— To ty mówiłeś o zdjęciach. Ja niczego nie obiecywałem — odparował astrograf.

Spojrzał jednak pytająco na Daubę, a potem na Byssona. Żaden z nich nic nie powiedział. Ojciec Nika czekał chwilę cierpliwie, po czym z nagłym błyskiem w oczach wyprostował się.

— Dobrze — rzekł twardo. — Chodź z nami. A ty? — zwrócił się do Radka.

— Oczywiście... — wydukał chłopiec zaskoczony propozycją.

Wolałby co prawda nie zostawiać „Ety” na łasce Byssona i Dauby, ale perspektywa obejrzenia z bliska sondy z purchawkami była zbyt nęcąca. Poza tym zrozumiał, że Zadra chce dać nauczkę obu współnikom. Widać nie lubił, żeby mu nie odpowiadano. „Ma charakterek” — pomyślał z mimowolnym uznaniem Radek mocując się z opasłym hełmem.

Nad drzwiami śluzu zapaliło się zielone światło i cała czwórka weszła do komory ładunkowej. Zaraz potem szeroki właz rozchylił się, wpuszczając do wnętrza gwiazdy.

— Nie będziesz potrzebny — tłumaczył Cox automatowi, który chciał koniecznie usiąść obok niego w kabinie małej talerzowej sondy.

— Je-stem-auto-ma-tem-uni-wer-sal-nym-nu-mer...

— Wiem, wiem. Jesteś najbardziej uniwersalnym ze wszystkich automatów. Ale dzisiaj musisz zostać. Krępowałbyś mi swobodę ruchów.

— Lu-dzie-nie-la-ta-ja-w-kos-mos-bez-opie-ki-ro-bo--tów.

— Tym razem polecą — rzekł kategorycznie Buddy Cox.

— Pro-szę-u-przej-roie.

Radkowi wydało się, że w głosie automatu zabrzmiała uraza.

— Będziemy bardzo krótko poza statkiem — powiedział pojednawczym tonem. — Nie gniewaj się.

— Nie-mo-gę-się-gnie-wać — padło w odpowiedzi.

Obaj chłopcy ulokowali się w kabinie drugiej sondy.

— Może zamkniecie osłonę? — Oleg Zadra, stojąc już w trzecim aparacie, zawahał się. — Byłoby bezpieczniej.

— A ty? — spytał Nik.

— Ja muszę wszystko widzieć — odrzekł ojciec. — Będę filmował.

— To my także polecimy z odkrytą kabiną — poprosił Radek, opierając dłonie na krawędzi odchylonej przezroczystej kopułki, którą pasażerowie mogli odgradzić się od próżni. —

Będziemy cały czas blisko pana, tak żeby Nik mógł chociaż na chwilę wziąć kamerę i...

— Start! — przerwał mu te dyplomatyczne zabiegi białowłosa.

Jego sonda uniosła się lekko z podłogi, po czym nabierając prędkości, wypłynęła przez otwarty właz. Zaraz za nią podążyły maszyny Olega Zadry i chłopców. Opuszczając już statek, Radek ostatnim spojrzeniem omiół obszerną ładownię. Zauważył, że łaźnik, który był taki zakurzony, kiedy „Eta” przyjmowała rozbitków z K-1, lśni obecnie jak nowy. „Zatroszczyli się i o to” — pomyślał ze złością. Wszystko się zgadzało. Te światelka, które tak bardzo mu się nie spodobały, kiedy ujrzał je z kabiny ślimaczka, należały na pewno do pojazdu przestępcy.

Ale po chwili zapomniał o wszystkich łaźnikach, purchawkach oraz milczących sondach.

Znowu był oko w oko z przestrzenią wszechświata. Świetliste spirale dalekich Galaktyk, pojedyncze, obce słońca, bliskie i niegościnne planety o zimnych, przydymionych barwach — to był przecież świat, któremu chciał poświęcić życie. A raczej nie. On chciał w nim spędzić życie. Poświęcić życie można bowiem tylko komuś, nigdy czemuś, choćby to coś było wielkie jak kosmos.

Oczywiście, Radek nie snuł teraz takich górnolotnych myśli. Zawieszony wśród gwiazd czuł tylko całym sobą obecność niezmiernie przestrzeni, a równocześnie na swój sposób posyłał jej wyzwanie. Zresztą wyzwanie stanowił już sam fakt, że był tutaj. Ojciec mówił zwykle, że

skoro istnieje coś takiego jak wszechświat, człowiek musi to poznać i ujarzmić. No, może nie dosłownie: ujarzmić, ale sprawić, żeby ludziom było w nim bezpiecznie i dobrze.

Z zamyślenia wyrwał chłopca głos Byssona.

— Uwaga. Macie bezpośrednią łączność z bazą.

— Halo, Cox? — odezwał się natychmiast profesor Kuningas. — Co u ciebie?

— Wszystko w porządku — zabrzmiała w słuchawkach kasku odpowiedź przybysza z Ziemi. — Zbliżam się do obiektu.

— A ja nakręciłem już pół rolki filmu! — pochwalił się Oleg Zadra. — Miałem nosa, wybierając się akurat w te strony.

Nik pochylił się nad małym pulpitem sterowniczym i zmienił kierunek lotu. Po chwili tuż obok nich zarysował się kontur sondy jego ojca. Słynny podróżnik, chcąc mieć lepszą widoczność, wyszedł na talerzowaty pancierz i stał tam, wyprostowany, na tle gwiazd. Przy twarzy trzymał kamerę.

— Tato, teraz ja — upomniał się Nik.

— Jeszcze chwileczkę! — jęknął błagalnie ojciec.

— Teraz zostawię sondę i dalej polecę w samym skafandrze — mówił Buddy Cox. — Wychodzę z kabiny, rozwijam linę... — meldował.

— Buddy, czy ten obiekt na pewno nie ma wbudowanego jakiegoś automatu strażniczego? — zaniepokoił się O,Claha. — Nie chciałbym, żeby coś ci się przydarzyło...

— Ja też bym nie chciał — zapewnił profesora Cox, po czym dodał: — Dobrze. Zanim polecę, przeczeszę go jeszcze laserem...

— Poczekaj! — zawołał Oleg Zadra. — Wyceluję kamerę... Już!

Radek ujrzał cieńszą od struny nitkę światła biegnącą od sondy, w której był Cox, do milczącego obiektu.

Ułamek sekundy nic się nie działo, potem słuchawki nagle zazgrzytały, jakby je ktoś podłączył do piorunochronu w czasie najsroźszej burzy, i pół nieba stanęło w oślepiającym, białym ogniu. Równocześnie sonda wraz z chłopcami poleciała gwałtownie do tyłu uderzona jakąś niewidzialną siłą. Radek zamknął oczy. Pod powiekami zawirowały mu złote, kłujące iskry. Odruchowo nasunął na szybę kasku osłonę przeciwsłoneczną, nie używaną zazwyczaj w tych rejonach układu planetarnego. Wtem usłyszał krzyk Nika. Dopiero teraz zorientował się, że jest w sondzie sam. Chwilę później odzyskał zdolność widzenia. Na tle kurczącej się szybko płomienistej kuli ujrzał sylwetkę człowieka płynącego w samym skafandrze przez przestrzeń. Za nim wiła się luźna, poskręcana lina asekuracyjna. Zerwana! Jeszcze moment, a będzie za późno na ratunek.

Bez zastanowienia wyskoczył na pancierz sondy, przywiązał swoją linę do otwartej osłony kabiny, odbił się lekko i wyszarpnął zza pasa gazowy pistolecik. Nie musiał jednak strzelać. Człowiek w skafandrze — teraz dopiero pomyślał, że to pewnie Nik, który tak raptownie zniknął z sąsiedniego fotela — był niedaleko. Aby pochwycić koniec sunącej swobodnie liny, wystarczył rozpęd, jaki Radek uzyskał odpychając się od sondy.

— Cox?! Cox?! — krzyczały słuchawki głosem profesora Kuningasa.

— Nik, gdzie jesteś?! Nik!

— Komputer melduje, że wszystkie trzy sondy są nie uszkodzone — Alan Bysson mówił szybko suchym, oficjalnym tonem.

— Cox?! Cox?! Co się dzieje?!

Radek chciał właśnie oznajmić wszystkim, że znalazł zaginionego Nika, kiedy „Eta” zapaliła swoje potężne reflektory. W snopie jasnego światła ujrzał twarz człowieka, którego uratował. To wcale nie był Nik, tylko białowłosy przybysz z Ziemi. Chłopiec prędko pociągnął równocześnie obie liny, swoją i jego, by przyspieszyć powrót do zbawczej sondy. W momencie kiedy poczuł pod stopami twardy pancierz, nieruchomy dotąd Cox potrząsnął głową i zamruczał coś niewyraźnie.

— Halo? Nie zrozumiałem? — zareagował natychmiast Kuningas.

— Już jestem, tato. Wypuściłeś z rąk kamerę. Skoczyłem po nią — w głosie Nika dźwięczała duma.

— Kto strzelał?

— Co to było?

— To ty mnie ściągnąłeś? Dziękuję.

— Cicho!!! Cicho!!! Cicho!!! — ryknął wreszcie w odległej bazie profesor Mig Fufurya.

— Takcichocichocicho! — poparł go, O,Claha.

— Halo, Cox! Czy to ty odezwałeś się przed chwilą? — kierownik bazy zachował olimpijski spokój.

— Tak, to ja.

— Dobrze się czujesz?

— Uhm...

— W takim razie opowiedz wszystko po kolei. Co się właściwie stało?

— Nie widzieliście na ekranach?

— Owszem, ale tylko do momentu, kiedy stojąc na sondzie, strzeliłeś z lasera w ten obiekt. Potem ekran zamienił się w wielki reflektor świecący nam prosto W oczy. Czy nastąpiła eksplozja?

— Tak. Badany obiekt zawierał prawdopodobnie jakiś materiał wybuchowy, który eksplodował, gdy trafiła go wiązka promieni z lasera. Co do tego ostatniego, to pożegnaliśmy się z nim raz na zawsze. Kiedy błysnęło, wypuściłem go z ręki. Poleciał do gwiazd.

— To samo byłoby z twoją kamerą — zauważył scenicznym szeptem Nik. — Na szczęście miałeś kogoś, kto w porę skoczył na ratunek.

— Ba — rzucił bez namysłu Radek. — Ja także skoczyłem!

— To prawda.

— Przynajmniej teraz wiemy już na pewno — zaśmiał się w bazie Black Rondell — że wszyscy są cali i zdrowi. Zostawcie już te lasery, sondy czy co tam jeszcze macie i wracajcie szybko na śniadanie.

— Proszę nie przerywać — rzekł zimno profesor Kuningas. — Buddy, opowiadaj. Nastąpiła cisza.

— Hipotetyczną przyczynę wybuchu powinien dokładniej określić komputer — mówił Cox.

— Przekazę dane Centrali. Zdmuchnęło mnie z sondy, puściłem laser, a w dodatku urwała mi się lina asekuracyjna. Ani chybi powędrowałbym w ślad za laserem, gdyby nie Radek Olcha. Naprawdę skoczył w przestrzeń i uratował mnie.

— Brawo, Radek! — zawołał Oleg Zadra. — Widzisz, Nik? Nie ty jeden dałeś susa w gwiazdy...

— To już drugi raz — zauważył ojciec bohaterskiego ratownika. — Mam nadzieję, że nie wejdzie mu to w nałóg.

— Co było potem?

— Nic — rzekł krótko Cox. — Siedzimy teraz z Radkiem okrakiem na jednej sondzie i wracamy do „Ety”. Obiekt, który zamierzaliśmy zbadać, przestał istnieć. Halo, Bysson?! — zmienił nagle ton.

— Słucham?

Radek zauważył, że głos pilota brzmi o wiele raźniej. „Pewnie — pomyślał ponuro. — Dowód rzeczowy przestępstwa przestał istnieć”. Tym razem jeszcze im się upiekło, tyle że przy okazji o mało nie upiekli Coxa i innych. Chociaż... czy białowłosy naprawdę musiał sprawdzać ogniem lasera tę niby starą, zabłąkaną sondę? A jeśli wiedział, że wewnątrz są purchawki? Jeśli zniszczył ją specjalnie?

— Czy zostały jakieś szczątki po eksplozji? — spytał nowy podejrzany.

— Radar pokazuje czyste pole — odpowiedział Bysson. — Ani śladu jakiegokolwiek metalowego okrucha.

— No, właśnie — westchnął białowłosy. — Black ma rację. Możemy spokojnie wracać.

— Jestem tego samego zdania — przytaknął Oleg Zadra. — Co do mnie, to niewiele mam do opowiadania — ciągnął nie czekając na zaproszenie. — Filmowałem, stojąc na pancerzu sondy, i zdmuchnęło mnie, tak samo jak Coxa. Film mam pewnie prześwietlony z kretesem. Szkoda!

— Lina wytrzymała, ale tato wypuścił kamerę — zaczął swoją chlubną historię Nik. — Wtedy skoczyłem po nią...

— Postąpiłeś dzielnie, lecz nierozsądnie — przerwał chłopcu profesor Kuningas. — Kiedy znajdują się w niebezpieczeństwie ludzie, nie wolno najpierw ratować przedmiotów, chyba że od

nich zależy ocalenie załogi. Bez kamery można się obejść. Radek narażał się także, ale on ratował człowieka.

— Ba! — zrewanżował się Nik bohaterowi, powtarzając jego niedawny okrzyk. — Radek! Ba!

Nie udało mu się jednak pognębić rywala ironicznym podziwem, bo w tonie jego głosu zabrzmiała tak głęboka uraza, że „Radek-Ba!” mimo woli się uśmiechnął. Po raz pierwszy poczuł coś na kształt sympatii do tego dumnego jak paw rudzielca. Zaraz jednak przypomniał sobie jego umowę z ludźmi, którzy zamiast ratować ojca Anik myśleli tylko o przemyśle purchasek, i ta sympatia ulotniła się bez śladu.

Trzy zwiadowcze aparaty — w tym jeden pusty, bo Oleg Zadra wracał z synem — zajęły na powrót swoje miejsca w ładowni statku. Ekipa, po której Radek spodziewał się zdekonspirowania Dauby i Byssona, wróciła -z niczym.

Baza była oświetlona, jakby jej mieszkańcy przypomnieli sobie o Świącie Starej Ziemi. Szeroko otwarta kopuła ładowiska zapraszała dziesiątkami mrugających wesoło lampek. Przy tych kolorowych ognikach niebo stawało się jeszcze czarniejsze, a gwiazdy jakby przygasły. Ale to nie świętu mieli do zawdzięczenia pasażerowie „Ety” tę powitalną iluminację. Po prostu baza zawsze w ten sposób przyjmowała przybyszów z prze-strzeni.

W służbie panowało milczenie. Oleg Zadra z zatroskaną miną oglądał swoją kamerę, Nik był sztywny i tylko ukradkiem zezował z niechęcią na Radka, Bysson i Dauba najwyraźniej unikali nawzajem swojego wzroku, Buddy Cox poruszał się jak na zwolnionym filmie i sprawiał wrażenie człowieka, który właśnie przegrywa walkę z ogarniającą go sennością.

Radek cały czas intensywnie pracował głową. Ale im dłużej myślał, tym głębszy ogarniał go niepokój. Teraz w bazie wszyscy będą długo i mądrze dociekać, co takiego mogło być w tej zabłąkanej sondzie, że pękła niczym kosmiczna petarda. Ojciec zasiądzie wraz z innymi przed komputerem i nie pozwoli się od niego oderwać. Rozmowa z nim znowu się odwlecze, nie wiadomo, na jak długo. W dodatku grono przeciwników ciągle się powiększa. Dauba, Bysson, może Fufurya, może Cox... Czy w dniu wypełnionym gorączkową pracą uda mu się choć na chwilę zbliżyć do ojca, tak aby nie było przy tym nikogo z tej czwórki? Bardzo wątpliwe. A jeśli tylko spróbuje zdekonspirować współników w ich obecności, to zanim ktokolwiek mu uwierzy i zareaguje na jego rewelacje, uciekną, zabierając „Ete”. Nie należy też zapominać o Niku...

W tym momencie pochwycił jedno z kosych spojrzeń rudego i nagle zaświtał mu pomysł, który w pierwszej chwili skwitował wzruszeniem ramion i odrzucił jako zupełnie niedorzeczny. Cóż za idiotyzm — myśleć o zjednaniu sobie tego opętanego kolekcjonera, który tak łatwo wszedł w spółkę z przestępcami!

Prychnął, wyprostował się i odwrócił plecami do Nika, jakby to on był winien, że ludziom, znajdującym się blisko niego, przychodzą do głowy głupie pomysły. Jednak chwilę później złapał się na tym, że znowu zezuje w stronę sztywnej, szczupłej sylwetki syna słynnego podróżnika. Mimo wszystko byłoby dobrze mieć bodaj jednego, jeśli już nie sprzymierzeńca, to przynajmniej świadka, który mógłby potwierdzić zarzuty przeciw Daubie i Byssonowi. Ostatecznie rudy nie był z nimi w zмовie, zanim ich nie podsłuchał i nie zorientował się, że może dostać purchasek. Ma hysia na punkcie swojej kolekcji, ale... Kto wie, co robi, kiedy zrozumie, że chodzi o dokonanie wyboru między eksponatami a życiem Piotra Jardin; Gdyby jednak spróbować przemówić mu do rozsądku?

Drzwi służby od dobrej chwili były otwarte i wszyscy oprócz Nika zdążyli już wyjść na korytarz.

Radek zdecydował się. Dogonił rudego i przytrzymał go za ramię.

— Poczekaj!

Nik obejrzał się, zmarszczył wyniośle brwi.

— Czy byłbyś uprzejmy zabrać tę rękę —wycedził przez zęby.

— Poczekaj — powtórzył Radek, uwalniając ramię rudego. — Chcę ci coś powiedzieć. Ale niech tamci wyjdą.

Nik spojrział ku drzwiom, po czym zauważył nie bez racji:

— Już wyszli.

Radek zaczerpnął tchu.

— No i co? Nie ma purchawek — zaczął niezbyt może dyplomatycznie, ale za to od razu przechodząc do sedna sprawy. — Miałeś dostać dwie z tych, które były w sondzie, na orbicie Trytona. Co teraz zrobisz?

Rudy zrobił się jeszcze sztywniejszy, odstał o krok i wysyczał:

— Skąd wiesz?... Cóż to za bzdury?! — zreflektował się.

— Słyszałem, jak rozmawialiście w nocy. Schowałem się w niszy ze skafandrami. Miałem przy sobie magnetofon — skłamał chytrze Radek.

Nik chwilę milczał, a potem mruknął:

— Domyślałem się tego. To ty ugryzłeś profesora Fufuryę? — w jego głosie pojawiło się zainteresowanie.

Radek poczuł, że przewaga — uzyskana podstępą wzmianką o magnetofonie — zaczyna topnieć. Wolałby jednak, żeby człowiek-wąż nadal gubił się w domysłach, kto zostawił na jego dłoni ślady swoich zębów.

— Mniejsza z tym — powiedział prędko. — Ja chciałbym tylko o coś cię poprosić. — Poprosić? — głos rudego trochę złagodniał.

— Tak. Ty chciałeś mieć purchawki i dlatego obiecałeś Daubie i Byssonowi, że ich nie zdradzisz. Ale teraz oni nie mogą już spełnić swojego przyrzeczenia. Więc nie masz żadnego powodu, żeby dalej z nimi trzymać. Prawda?

Nik zastanowił się. Po chwili potrząsnął jednak przecząco głową.

— Ja się z nimi umówiłem — powiedział chrypiącym głosem. — Oni wiedzą, że ja wiem, co zrobili — ciągnął niezbyt kwiecistym stylem, ale logicznie. — W razie czego powiedzą o tym ojcu i wszystkim. Ja... nie chcę. Ja... muszę iść.

Zrobił krok w stronę drzwi, ale zawahał się i stanął.

— Przecież ty nic złego nie zrobisz! — rzucił z rozpaczą Radek. — A oni...

— Oni mi nie dadzą lodowych kamieni, bo nie mogą. To nie ich wina, że nie dotrzymają umowy. Gdybym ich zdradził...

Radek poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

— A pomyślałeś o Anik? To znaczy, chciałem powiedzieć: o Piotrze Jardin?!

Nik cofnął się o krok i zmierzył go zdumionym wzrokiem.

— A cóż oni mają wspólnego z...

— Przecież tam byli! Nie rozumiesz?! Byli tam, kiedy stacja rozleciała się na kawałki, a ojciec Anik został sam! Bysson tak się śpieszył z powrotem, że powiedział komputerowi swojego statku: "start alarmowy". Te słowa prawdopodobnie odebrał komputer stacji i zrozumiał jako hasło do wyrzucenia całej budowli w przestrzeń! Ale teraz nie chodzi już o przyczyny katastrofy! — Zaczerpnął tchu i mówił pospiesznie dalej: — Pomyśl, jak szybko wtedy Bysson wrócił do bazy! A lot na orbitę Trytona i z powrotem zajął mu zaledwie kilka minut! „Eta” wcale nie jest rakieta średniego, tylko dalekiego zasięgu! A to znaczy, że mogłaby i teraz polecieć na kometę, żeby uratować pana Jardin. Naprawdę nie przyszło ci to do głowy?!

Nik zrobił jeszcze jeden krok do tyłu. Jego oczy zwęziły się w szparki, a następnie nagle rozszerzyły.

— Mogłaby polecieć... Poczekaj... — wykrztusił. Radek postanowił kuć żelazo, póki gorące.

— Gdyby Kuningas i Yaic teraz, od razu, wyprawili statek na K-1, z pewnością kazaliby przywieźć także purchawki — kuśił.

Ale rudy nie słuchał. Stał bez ruchu, z zaciśniętymi powiekami i rękami uniesionymi nad głową. Widać w takiej pozycji myślało mu się lepiej. A wszystko wskazywało na to, że pod jego czaszką dzieją się wielkie rzeczy.

— Wiesz, to dziwne — powiedział wreszcie nie swoim głosem, otwierając oczy. — Rzeczywiście, nie przyszło mi na myśl, że „Eta”... Ale w takim razie dlaczego oni tam nie lecą?!

— Bysson nie może przecież zdradzić, że ma statek dalekiego zasięgu. No, to co? — nalegał. Rudy był chwilowo bez reszty zajęty własną osobą.

— Poczekaj — zamruczał niezbyt przytomnie. — Chciałbym wiedzieć, jak to się mogło stać,

że nie skojarzyłem sobie przywiezionych stamtąd lodowych kamieni z rakieta Byssona. Człowiek musi zrozumieć, dlaczego popełnił błąd.

— Tak, tak — przerwał mu nieco zniecierpliwiony Radek. — Więc co? Pomożesz mi... to znaczy, czy zajmiemy się tą sprawą?

Nik pokręcił głową.

— Ciągłe nie pojmuję, dlaczego zapomniałem o panu Jardin — bąknął.

— Bo myślałeś tylko o purchawkach! Miałeś hysia na ich punkcie! — wykrzyknął Radek ucieszony, że jego niedorzeczny na pozór pomysł pozyskania sobie sojusznika w niedawnym wrogu zaczyna się tak pięknie urzeczywistniać. — Przepraszam! — dodał natychmiast w obawie, żeby rudzielec nie poczuł się urażony w swojej dumie.

Ale obawa okazała się przedwczesna.

— Nie przepraszaj — powiedział poważnie Nik. — Chyba masz rację. To dlatego, że ja tak bardzo lubię moją kolekcję. Lubię zbierać i... — zająknął się.

Chwilę poruszał bezgłośnie wargami, po czym — potrząsnąwszy głową, jakby odpędzał jakąś szczególnie natrętną muchę — spytał rzeczowym tonem:

— Jak uważasz, co powinniśmy teraz zrobić?

— Co zrobić? Ależ to proste! Trzeba tylko... To znaczy...

Nowy sprzymierzeniec czekał kilka sekund, a następnie sam udzielił odpowiedzi:

— Na razie zobaczymy, co będzie, kiedy komputer zakończy badanie zapisu przebiegu ostatniej wyprawy „Ety” i tego wybuchu. Może od razu wyjdzie na jaw, że tam były lodowe kamienie. Potem musimy działać w zależności od sytuacji. Musimy też zachowywać zdwojoną ostrożność. Oni mnie na pewno będą teraz bardzo pilnowali.

Radek skwapliwie skinął głową.

— Dobrze — rzekł. — No, to chodźmy. Nie powinni wiedzieć, że my... że...

— Spiskujemy — podpowiedział bez uśmiechu Nik. — Nasze porozumienie to jest spisek. Uknuliśmy go — dodał dla pewności.

Radek przekroczył próg, ale zaraz w korytarzu ponownie przystanął.

— Nie my — rzekł z namysłem. — Nie my. To oni knują. My tylko odpowiadamy spiskiem na spisek.

Bajki

Twarz rycerza tchnęła odwagą i szlachetnym uporem. Jej piękne i uwzniośnione rysy nie tylko Radkowi, lecz także wszystkim zgromadzonym w jadalni wydały się dziwnie znajome. I rzeczywiście. Rycerz, który pięł się właśnie bohatercko na zaczarowaną szklaną górę, miał twarz... Basia.

— No! No! — pokrzykiwał z emocji Black Rondell, sekundując swojemu ulubieńcowi.

Baś, to znaczy rycerz, osiągnął wierzchołek niebotycznej wieży o lśniących w słońcu, kryształowych ścianach i szedł teraz, dzwoniąc złotymi ostrogami w stronę najeżonego strzelistymi basztami zamku, w którym spała królowna. Potężna brama przysła pod ciosem jego miecza, jeden po drugim waliły się z nóg siedmiogłowe, ziejące ogniem smoki, które strzegły wejścia do pałacu,

— Tego nie było w bajce — zaprotestował profesor Fufurya. — Wszystko mu się pomyliło.

— Nie przeszkadzaj! — uciszył go przeraźliwym szeptem O,Claha.

Nik ostentacyjnie odwrócił się plecami do ściany, na której wyobraźnia Basia malowała bajkowe obrazy. Nie pozostał jednak długo w tej pozycji. Rozejrzał się ukradkiem dookoła i — stwierdziwszy, że nikt na niego nie patrzy — na wszelki wypadek wykrzywił twarz w ironicznym grymasie, po czym najspokojniej zaczął na nowo kontemplować niezwykle widowisko.

Rycerz biegł po szerokich schodach. Drzwi otwierały się przed nim same, a za nim powiewały poły jego przepysznego płaszcza okrywającego lśniącą zbroję. Wreszcie dotarł do ostatnich drzwi, ściałoby jeszcze jedno-

mu smokowi i znalazł się w ogromnej, marmurowej sali. Tutaj, na kryształowym łożu, spoczywała królowna uśpiona przez złego czarnoksiężnika. Baś rzucił na posadzkę miecz, zdjął płaszcz, następnie podbiegł lekko do śpiącej i...

— Dlaczego?! — zadźwięczał cienki, oburzony głosik. — Ja nie chcę!

Rycerz zamarł w bezruchu, natomiast Radek poczuł, że jego twarz robi się na przemian zimna i gorąca. Śpiąca królowna miała smagłą cerę, niebywale długie rzęsy i... dwa wspaniałe kasztanowe warkocze. Co tu dużo mówić, po prostu była podobna do Anik, jak tylko człowiek może być podobny do samego siebie.

— Ooo! Ooo! — zaintonował z zachwytem O,Claha. — Rzeczywiście, królowna jest bajecznie piękna! Brawo, Baś!

— Nie chcę! Nie chcę! — powtarzała zarumieniona z gniewu dziewczyna.

— To nie ja! — wrzasnął rycerz. — Ja... ja w ogóle nie wiedziałem, jak ta królowna wygląda!

Doktor Olcha przyjrzał się z wymownym uśmieszkiem Radkowi i chłopiec zrozumiał, że ojciec rozszyfrował zagadkę osobliwej przemiany z czarowanej królowny w Anik. "Jeśli tata powie..." Radek poczuł, że jego policzki nabierają barwy, przy której rumieniec Anik jest jak kwiatek jabłoni przy tarczy zachodzącego słońca.

Z rozpaczą spojrzął w stronę drzwi. Ale ucieczka stanowiłaby już ostateczną kompromitację...

Na szczęście doktor Olcha stanął na wysokości zadania.

Nie przestając się uśmiechać, puknął palcem w ścianę. Pałac, rycerz i królowna-Anik ulotnili się w mgnieniu oka.

— Trochę nie w porę ta bajka — odezwała się cicho Patt. — Akurat o śpiącej królownie...

— To w ogóle idiotyczny pomysł, żeby wykorzystywać aparaturę zielonej metody do wyświetlania bajek! — zaburczał Mig Fufurya.

— A niby dlaczego?! — obruszył się O,Claha. — Kiedy wyruszymy do gwiazd, mogą nam się przydarzyć wszystkie bajki, jakie ktokolwiek kiedykolwiek wymyślił. Każdy, najbardziej nieprawdopodobny, bajkowy fakt może nam się kiedyś przydać, z czymś skojarzyć, podsunąć niespodziewanie jakiś wniosek. Więc co tu robimy? Pracujemy! Właśnie, pracujemy! — przytaknął sam sobie. — Zaprogramowaliśmy automaty, które teraz przygotowują sprzęt dla ekipy ratowniczej, zjedliśmy śniadanie, więc nie traćmy czasu. Nareszcie mamy coś innego, nie same potwory, promieniowania, wybuchy gwiazd i katastrofy Galaktyk, które z takim upodobaniem wyobraża sobie pewien stary profesor! Pracujemy — powtórzył jeszcze raz z głębokim przekonaniem.

— Zwłaszcza Baś! — zawołał z uznaniem Black Rondell.

— Zwłaszcza Radek... — szepnął doktor Olcha, jednak tak cicho, że nikt poza Radkiem tego nie usłyszał.

— No, Baś, do dzieła! — wykrzyknął O,Claha.

— Tak, tak! — podchwycił z uciechą gruby chemik. — Dalej, chłopcze!

— Tylko proszę, żeby już nikt nie używał mojej twarzy — zaznaczyła Anik.

Oblicze Radka na nowo przybrało piękną, buraczaną barwę, ale i tym razem nikt tego nie zauważył.

Baś z powrotem przystąpił do „pracy”.

Oczom zebranych ukazał się Czerwony Kapturek na mrocznej ścieżce wiodącej przez straszliwą puszcę. Wprawdzie wilk nikogo nie połknął, tylko od razu padł plackiem przed bardzo młodym leśniczym o dziwnie okrągłej twarzy, ale bajka i tak wszystkim się podobała. Następnie Baś-rybak wypowiedział swoje życzenie, o co poprosiła go złota rybka zdumiewająco podobna do doktora Olchy. Życzenie zostało natychmiast spełnione. Rybakowi wyrosła na głowie olbrzymia korona, a on sam znalazł się nagle we wspaniałej komnacie, w otoczeniu rycerzy, giermków, paziów i kuchcików. Wkrótce jednak sala tronowa roztopiła się w czystym błękitnie ziemskiego nieba, po którym Baś, w olśniewającym stroju starożytnego wschodniego księcia, zeglował na latającym dywanie. W dole lśniły białe i złote kopuły, a przed czarodziejskim dywanem — w małej szarej chmurce uciekał przerażający dżin haniennie przepędzony przez bohaterskiego księcia. Chwilę później dywan osiadł miękką na pustyni, w groźnym i ponurym miejscu. Był to głęboki wąwóz, zamknięty wysokimi, pionowymi skałami o poszarpanych szczytach. Na wprost księcia, w kamiennej płycie, widniał zarys bramy zawałonej potężnymi głazami.

W tym momencie Radek poczuł, że ma zdecydowanie dość popisów swojego braciszka.

Ogarnęła go nagła gorączka czynu. To prawda, że chwilowo uczeni nie mają nic do roboty, bo odpowiednio zaprogramowane auto-maty przygotowują sprzęt, który będzie potrzebny ekipie ratunkowej, a komputer wciąż jeszcze rozwiązuje zagadkę eksplozji tajemniczej sondy. Zgodnie z tym, co postanowili wspólnie z Nikiem, powinien poczekać na wyniki tych badań. Ale... Gdyby wreszcie ktoś przerwał te idiotyczne bajki, może udałoby mu się choć na chwilę odwołać ojca i opowiedzieć mu o ponurej grze, która toczy się w tej zwariowanej bazie.

Tymcza

sem wszyscy są tak pochłonięci obrazami stworzonymi przez fantazję Basia, O,Claha nazwał to nawet pracą! Na pewno żartował, ale podobnie jak łysy chemik wpatruje się w tę ścianę tak, że mało oczy nie wyleżą mu z głowy. Na domiar złego, on sam wygłupił się przed chwilą, bezwiednie przeobrażając śpiącą królową w Anik. Spochmurniał i skrzywił się odruchowo. Ale zaraz... chwileczkę... Przecież „wtrącanie się” w obrazy, powstające w cudzych myślach, można świetnie wykorzystać!...

Wspaniały księżę zstąpił z latającego dywanu i stanął przed skalną ścianą. Wyprostował się, ujął pod boki, po czym zawołał:

— Sezamie, otwórz się!

Ogromne głązy umknęły, odsłaniając czarny otwór jaskini. Zaledwie jednak śmiałek przekroczył jej skalne progi, wewnątrz groty zajaśniało, jakby ktoś zapalił w nim najzwyklejsze lampy. Zamiast zbójcekich skarbów ukazała się mała śmieszna postać w spiczastej czapeczce; podskakując i tańcząc — gestami zapraszała przybysza, aby szedł dalej. Zaprowadziła go do małej salki, gdzie na podwyższeniu znajdowała się scena zasłonięta na razie wzorzystą kotarą. Nagle na tej kotarze ukazał się świetlny napis: *Fenomen kosmosu*, a równocześnie mały gospodarz jaskini zawołał:

— Zapraszamy na otwarcie wystawy „Fenomen kosmosu”. Jednorazowe widowisko!

Niezwykła atrakcja!

— Nie! Nie! Nie! — rozległ się w odpowiedzi dziki wrzask dzielnego księcia.

Baś — tym razem już we własnej, zdradzającej niezwykle wzburzenie osobie — podbiegł do ściany i usunął z niej „jednorazowe widowisko”, zanim zdążyło się ono rozpocząć.

— Co to było? — spytał zdumiony profesor Kuningas.

— Znowu ci ktoś przeszkadza! — lamentował Rondell.

— On! On! — wydyszał Baś, wskazując oskarżycielskim gestem Radka. — To świństwo!

Doktor Olcha zaśmiał się cicho, ale i on pogroził palcem starszemu synowi.

— Nieładnie — rzekł z wyrzutem. — Miałem nadzieję, że obaj zapomnieliście już o tym żalnym incydencie.

— O co właściwie chodzi? — spytał poważnie Stanko Yaic. — Nic nie rozumiem.

— Ani ja! Ani ja! — zgodził się profesor Fufurya. Astrofizyk musnął przelotnym spojrzeniem obu swoich synów, po czym westchnął i zastanowił się przez chwilę.

— Darujemy sobie szczegóły — zaczął wreszcie — tym bardziej, że rzecz wydarzyła się w zamierzonych czasach, bo aż cztery lata temu. Krótko mówiąc, pewnego dnia Radek zaprosił nas na uroczyste otwarcie przygotowanej przez siebie wystawy pod tytułem „Fenomen kosmosu”. Urządził ją w ogrodzie, obok naszego domu na Ganimedzie. Oślonił ze wszystkich stron małą altankę, a w niej umieścił trójwymiarową fotografię pewnego bardzo małego człowieka. Ekspонат składał się niemal wyłącznie z brzucha i ogromnej paszczy, siedział na... — przypominam, że to było bardzo dawno — siedział na nocniczku w kształcie rakiety, a w rączkach trzymał ogromny kawał arbuza podobny do księżycy na nowiu. Księżyc był już do połowy zjedzony i wtedy...

— Nie mów! Nie mów! — zaprotestował piskliwie Baś.

O,Claha i Fufurya zgodnie wybuchnęli gromkim, śmiechem, natomiast Black Rondell zawołał:

— Nieładnie! Nieładnie!

Do Radka nie dotarł jednak ani ten śmiech, ani pełen współczucia okrzyk pocziwego chemika. Ni stąd, ni zowąd ośladnęły nim wspomnienia. Stanęły mu przed oczyma drzewa i kwiaty w ogródku przy domu, altan-ka, uśmiechnięta twarz mamy, tato, który pocieszał wtedy

ryczącego Basia... Pograżony w myślach zrobił bezwiednie kilka kroków i zatrzymał się tuż za jednym z foteli. Czysty przypadek — bo cóż by innego? — sprawił, że był to fotel zajęty przez Anik. Kasztanowe warkocze poleciały nagle w bok i chłopiec ujrzał wpatrzone w siebie śliczne, uśmiechnięte teraz, niebieskie oczy.

Od momentu gdy sonda przekazała do bazy zdjęcia z K-1, na których widać było nie uszkodzony posterunek obserwacyjny, córka Piotra Jardin otrząsnęła się z przygnębienia, a nawet odzyskała apetyt, czego dowody złożyła w czasie śniadania. A odkąd zobaczyła siebie w roli królowy z bajki, jej wzrok, kiedy spoglądała na Radka, nabierał nowego, wielce interesującego wyrazu.

Chłopiec, nie wiadomo dlaczego, zakrztusił się, zachwiał, zamachał rękami, jakby pozazdrościł profesorowi Fufuryi jego pływackich rekordów, po czym drobnymi kroczkami zatoczył małe kółeczko i z namaszczeniem utkwiał wzrok w ścianie.

O,Claha najwidoczniej uradowany faktem, że Anik choć trochę zapomniała o swoim zmartwieniu, zatarł dłonie i zwrócił się do niej.

— A może ty pokazałybyś nam teraz jakieś swoje. bajki? — zaproponował.

Odpowiedziało mu milczenie. Córka Piotra Jardin. zapomniała widać nie tylko o swoim zmartwieniu. Przyglądała się jak urzeczona tajemniczym manewrom Radka. Ta czynność pochłonęła ją do tego stopnia, że nie zwróciła uwagi na przyjacielską ofertę O,Clahy. Dopiero kiedy matematyk zdziwiony i nieco zniecierpliwiony powtórzył swoją propozycję głosem, od którego zadrżały zielone ściany, rozejrzała się szybko i krzyknęła cicho: — Och!

— Tak... byhm, byhm, byhm — rozkaszał się raptem Black Rondell.

— No, no — zamruczał z mimowolnym uznaniem doktor Olcha, po czym szybko zasłonił sobie usta dłonią. Nie przestał jednak zerkać wesoło na Radka.

— Nic nie rozumiem — wyznał ponownie profesor Yaic.

Olaf Kuningas przytaknął poważnym skinieniem głowy, a człowiek-wąż postawił kropkę nad „i” swoim:

— Ani ja! Ani ja!

Chwilę trwało milczenie. Pierwszy ocknął się profesor O,Claha i pośpieszył rozproszyć atmosferę zakłopotania, którego sam był mimowolnym sprawcą.

— Nic nie rozumiecie, bo jesteście starzy i potraficie marzyć tylko o gwiazdach — wystąpił z oskarżeniem pod adresem swoich uczonych kolegów. — A tymczasem ważniejsze jest to, co dzieje się pod gwiazdami. Czemu nic nie mówisz?! — natarł niespodziewanie na milczącego przez cały czas Daubę.

Fotonik wzdrygnął się i wymamrotał:

— Nie, dziękuję. Nie jestem głodny. O,Claha załamał rękę.

— Ten także buja myślami w najdalszych ostępach Galaktyki! Niby taki młody — skrzywił się z niesmakiem. — Może ty coś sobie teraz wyobrazisz? — zaatakował z kolei Coxa. — Czy nikogo, oprócz jednego dziecka, nie stać tutaj na porządną bajkę?

Białowłosa uśmiechnął się przelotnie, wstał, westchnął, podszedł rozkołysanym krokiem do ściany i od niechcienia stuknął w nią wierzchem dłoni.

Oczom widzów ukazała się Ziemia. Była noc. Domy i drzewa rysowały się czarno-srebrnymi konturami na tle granatowego, gwiazdzistego nieba.

— Tak pięknie pachną azalie — powiedziała młoda kobieta w lekkiej białej sukience.

— Ja właściwie nie lubię azalii — odrzekł głosem Coxa towarzyszący kobiecie mężczyzna. — Mają taki ciężki, słodki zapach.

Siedzieli oboje na ławeczce pod drzewem.

— Nie znasz się na tym... O, popatrz, spadła gwiazda — kobieta uniosła głowę.

— To meteoryt — poprawił mężczyzna.

— Jesteś nudny! — zaśmiała się cicho jego towarzyska. — Właśnie, że gwiazda... Co to takiego? — zmieniła nagle ton.

Nad horyzontem rozgorzała łuna. Jej blask rósł z sekundy na sekundę. Słychać było huk pożaru.. Na głowy siedzących zaczęły spadać płonące iskry. Kobieta krzyknęła. Mężczyzna zerwał się, zdarł z siebie koszulę i pobiegł z nią do pobliskiej sadzawki. Wtedy z nieba spłynął inny mężczyzna, w dziwnym srebrzystym ubraniu.

— Nie bójcie się — powiedział. — To tylko pewna ekspedycja przywiozła z kosmosu jakieś nie zbadane przedmioty, a one w naszej atmosferze zaczęły pękać i płonąć. Sytuacja jest już opanowana.

Człowiek, który przyleciał jak ptak, zbliżył się do ła-weczki i wtedy wszyscy odkryli, że jest bardzo podobny do Basia. Może nie aż tak, jak rycerz na szklanej górze, rybak w koronie czy księżę przed zaklętą grota, ale pomyłka była wykluczona.

— To ja! — Baś natychmiast zapomniał o nieszczęsnej wystawie. — Widzicie?! Ale... co tam robię? — spojrzał z zaciekawieniem na Coxa. — Nie znam tej bajki.

Białowłosy wrócił do ściany, zmaszał z niej ruchome malowidło, po czym powiedział:

— Występowałeś we wszystkich poprzednich opowieściach, więc dlaczego miałoby cię zabraknąć w mojej? A ten człowiek był także rycerzem, choć nie nosił zbroi ani miecza. Chronił Ziemię przed groźnymi smokami. Choćby te smoki były mniejsze od znanych nam mikrobów. Rozumiesz?

— Tak... Nie — zdecydował się Baś.

Radek mimo woli zerknął na Coxa. Te słowa o ekspedycji, która przywiozła jakieś pękające świnstwo, dziwnie zgadzały się z historią purchawek. Więc jednak wiedział?

— Równie dobrze — odezwał się Oleg Zadra — mógłby mieć twarz któregoś z nas. Myślę o tym rycerzu — wyjaśnił. — Na przykład twoją — uśmiechnął się znacząco do białowłosego.

Ten uniósł brwi i wzruszył ramionami.

— Dlaczego właśnie moją? Wszyscy troszczymy się o Ziemię. O to, żeby jedynym kłopotem zakochanych była na przykład różnica poglądów co do zapachu azalii.

— Wszyscy! — podchwycił Fufurya. — Ale niektórzy troszczą się o nią tak bardzo, że kiedy sędziwi uczeni chcą wypróbować zieloną metodę, to tamci każą im się z nią wynosić na koniec świata! A potem przylatują jakby nigdy nic i sami zaczynają się bawić. Ha! — zakończył mocnym akcentem.

W tym momencie Radek poczuł się nieco zbity z tropu. To niby ten Cox aż tak bardzo troszczy się o bezpieczeństwo Ziemi? Hm... Ale dlaczego akurat Fufurya musiał zwrócić na to uwagę innych? Hm...

— Buddy, nie przejmuj się tym, co mówi Mig -profesor Kuningas obdarzył obu łagodnym spojrzeniem swoich piwnych oczu. — To tylko słowa...

Chłopiec wzdrygnął się odruchowo. Znowu ktoś kogoś stara się uspokoić tym: „tylko słowa”.

Białowłosy zaśmiał się wesoło.

— Nigdy nie można być dość ostrożnym, jeśli chodzi o coś takiego, jak zielona metoda oddana do dyspozycji uczonym, którzy postanawiają zapomnieć o prawach logiki! Niby to tylko obrazki i słowa, ale przecież wiemy z historii, ile zamieszania potrafią narobić słowa wypowiedziane bez zastanowienia, nie w porę lub po to, żeby komuś zrobić przykrość. Słowami porozumiewamy się ze sobą i słowami wydajemy rozkazy automatom. A te, dzięki rozwojowi informatyki i techniki, potrafią już zbyt wiele, żebyśmy mogli pleść w ich obecności, co nam ślina na język przyniesie. Zbudowaliście tutaj maszynę — spojrzał przekornie na Kuningasa — która reaguje na myśli w ten sposób, że pokazuje je na specjalnie skonstruowanych ścianach. A kto zaręczy, że czegoś podobnego w jakimś zakątku wszechświata nie zbudował także ktoś inny? Albo czy na myśli i słowa nie reaguje w jakiś nie znany nam jeszcze sposób sama natura, która jest przecież pod wieloma względami doskonalsza od wszelkich maszyn. Ale dajmy spokój naturze, zostanmy przy obcych cywilizacjach, których istnienie jest w końcu wysoce prawdopodobne. Profesor Fufurya wyobraża sobie na przykład potwora albo wojnę różnych gwiazdnych istot, a ktoś z sześćset czterdziestej drugiej Galaktyki wyświetla jego wizje na własnej „zielonej” ścianie udoskonalonej w taki sposób, że odbiera sygnały płynące z bardzo daleka. Co pomyśli ten ktoś o autorze tych wyobrażeń? O nas wszystkich? A jeśli dojdzie do wniosku, że z taką krwiożerczą rasą należałoby właściwie zrobić porządek? Wtedy ponure bajczyska naszego uczonego grawitonika staną się nagle rzeczywistością. Więc już lepiej, żeby takie myśli i obrazki biegły w wszech-

świat przynajmniej z bazy na granicach Układu Słonecznego, a nie bezpośrednio z Ziemi czy z innych zamieszkałych miejsc. Przecież i nasze myśli, i nasze słowa trwają, wędrują przez

przeestrzeń i czas. My sami potrafimy przechwytywać „mowę” najdalszych ciał niebieskich. Co o tym myślicie?

— Ja myślę, że jeśli nawet ktoś na tej sześćset ileś tam Galaktyce zaczął słuchać twojego wykładu, to już w połowie zatkał sobie uszy — odpowiedział grobowym głosem Fufurya.

A O,Claha przewrócił ze zgrozą oczami i zawołał:

— Racja! Racja! I to o mnie mają czelność mówić, że jestem gadułą! Tymczasem nieprawda! Lubię i kwiaty, i światło księżyca — westchnął komicznie, przyciskając dłoń do serca. — Mnie na przykład najbardziej trafiła do przekonania ta scena w parku, na ławeczce. Prawda, Radek?

— Co? — zareagował niezbyt przytomnie zagadnięty. — W parku? Ja? Nie wiem! Dlaczego ja?!

— Dlaczego ty? — zdziwił się niewinnie uczony. — A co, nie chciałbyś? Myślałem, że... Zresztą nic, nic. Tak sobie tylko powiedziałem.

— O, właśnie — podchwycił Cox. — Znowu tylko zwykłe słowa, a ile w nich głębokiej i skomplikowanej treści. Co, Anik?

Śpiąca królewna, vel córka Piotra Jardin, zrobiła ruch, jakby chciał się przed czymś zasłonić. W przeciwieństwie do Radka nie straciła jednak przytomności umysłu.

— A dajcie nam wreszcie święty spokój! — fuknęła gniewnie. — Opowiadajcie lepiej o rycerzach albo niech Baś otworzy nową wystawę...

— Nie! — zabrzmiał stanowczy protest, który nie znalazł jednak zrozumienia.

— ...nową wystawę lub oddajcie głos Nikowi. Niech pokaże nam tę kolekcję, z której jest taki dumny. Potrafisz chyba przypomnieć sobie swoje zbiory i przedstawić je tutaj — zwróciła się do rudego. — Zresztą, róbcie, co chcecie — potrząsnęła rezolutnie główką — ale mnie zostawcie rolę widza. Bardzo proszę!

— Świetnie, świetnie! — O,Claha aż zaklaskał w dłonie. — Niech sobie nikt nie myśli, że w gwiazdy polecą potulne, ciche kobieciątka, które nie potrafią się odgryźć, kiedy ktoś im dokuczy.

— Tylko nie gryźć! Tylko nie gryźć! — zaznaczył posępnie Fufurya.

— A wiecie, że to dobry projekt — rzekł z zastanowieniem białowłosy. — Nik, pokaż nam swoją kolekcję. Tyle o niej słyszałem.

Słynny zbieracz zrobił skromną minę.

— Wątpię, czy to kogoś zainteresuje — rzekł tonem poety, który ma wielką ochotę przeczytać komuś swój nowy wiersz, ale chce, żeby go o to długo i usilnie proszono.

Kiedy jednak jego ojciec uniósł znacząco brwi, a Black Rondell mruknął uprzejmie: — Zainteresuje, zainteresuje... — przestał się zgrywać i uderzył palcem w ścianę. Jak tylko ukazały się na niej pierwsze obrazy, zaczął objaśniać:

— To jest fragment lusterka z baterii słonecznej drugiego sztucznego satelity Merkurego... Moje zbiory są ułożone systematycznie, poczynając od Słońca aż do planet granicznych i sond pozaukładowych — wtrącił. — Mam także kilka kawałków skały z pasma Tomasza Manna na Merkurym — pokazał zebrany kolorowe kamyki spoczywające na wysmukłych podstawkach podobnych do wysokich kieliszków.

Otoczenie eksponatów pozostawało na ogół niewidoczne, chwilami tylko ukazywał się rąbek okna, kawałek jakiegoś mebla, fragment obrazu wiszącego na ścianie. Był to z pewnością pokój Nika, jasny i przestronny, w którym jednak wszystko podporządkowano głównemu przeznaczeniu, to znaczy: pieczołowitemu przechowywaniu drogocennych pamiątek.

— Gdzie wy właściwie mieszkacie? — spytał nagle półgłosem doktor Olcha, zwracając się do Olega Zadry. Ten zaśmiał się i rozłożył bezradnie ręce.

— Mówią, że na Ziemi — odpowiedział. — Tam w każdym razie stoi dom, który teraz widzicie. Ale bywam tam dwa, trzy razy do roku. Przedtem, kiedy Nik był mały, wracałem częściej. Ale teraz bujamy sobie po całym Układzie. Mój syn chodzi do zdalnej szkoły... To znaczy, że nie chodzi do żadnej, tylko uczestniczy w lekcjach przed ekranem. Dotąd wszystkie egzaminy zdaje jakimś cudem na piątki.

— Nie przeszkadzajcie — upomniał ich łagodnie Kuningas.

Podróżnik natychmiast umilkł, pozwalając mówić Nikowi, który tymczasem zdążył już

zademonstrować swoje łupy pochodzące z Wenus, okolic Marsa i rejonu a steroidów, a teraz zatrzymał się przy jakimś kólecisku, które wisiało w szklanej gablotce na ścianie.

— Oto fragment układu sterowniczego łazika, w którym zginęła ekspedycja Sordiego podczas patrolu na powierzchni 10, pierwszego księżycy Jowisza...

W jądami zrobiło się bardzo cicho. Wszyscy znali historię tego tragicznego wypadku, mimo że wydarzył on się przeszło sto lat temu. Wyprawa ratunkowa znalazła nie uszkodzony, pozbawiony energii łazik, a w nim martwych kosmonautów. Długo trwały badania, zanim poznano przyczynę katastrofy. Tragedię spowodował nagły wzrost promieniowania samego Jowisza, globu będącego ni to planetą, ni to osobliwą gwiazdą. Nie umiano jeszcze wtedy skutecznie chronić ludzi przed skutkami okrutnych kaprysów Jowiszowej aury. Dziś grób Sordiego i jego towarzyszy jest celem wielu wycieczek, w tym także szkolnych. Ale na 10 nadal nikt nie mieszka. Bliskie sąsiedztwo Jowisza w dalszym ciągu nie budzi zaufania.

— Jakim cudem to wszystko zdobyłeś? — spytał przyciszonym głosem profesor Yaic. — Toż to prawdziwe muzeum!

Nik od razu urósł o kilka centymetrów. Przybrał dumną postawę i wyobraził sobie następną eksponat. Jego myśl została podchwycona przez aparaturę zwiariowanej bazy i przetworzona w obraz, który niezwłocznie wypłynął na ścianę. Niestety! Podniecony uznaniem wielkiego uczonego — młody kolekcjoner, zamiast przedstawić kolejny przedmiot zdobiący jego ziemski pokój, zademonstrował coś, co na razie stanowiło jedynie szczyt jego marzeń. Oczom obecnych ukazała się ułożona w ozdobnym pojemniku niezbyt regularna biała bryłka. Przypominała trochę ogromne kurze jajo, ale jeszcze bardziej — wielką, niedojrzałą purchawkę.

— A to co?! — zakrzyknął Fufurya.

— Lodowy kamień! — odgadł profesor Kuningas.

— Nik! — zawołał z mimowolnym wyrzutem Radek.

— To chyba jakieś nieporozumienie — rzekł nie swoim głosem Dauba.

Obraz zafalował gwałtownie, przeszyły go jakieś krzywe błyskawice i wszystko znikło. Dumny kolekcjoner — po prawym prostym, którym poczęstował niewinną ścianę — pocierał sobie obolały nadgarstek, obserwując przy tym z największą uwagą czubki własnych butów.

— Nieporozumienie — przyznał wreszcie, ciągle nie patrząc na nikogo z obecnych. — Tego jeszcze nie mam.

— Jeszcze? — podchwycił od niechcienia białowłosa.

— No, nie mam i już — zniecierpliwiał się Nik, odzyskując powoli pewność siebie. — To mi się tak samo pokazało... Pewnie dlatego, że chciałyby mieć lodowy kamień.

— Gdyby ludzie mogli osiągnąć wszystko, czego za-pragną, a pragnęli tylko tego, co dobre i słuszne, nasza historia wyglądałaby inaczej — rzekł jakby do siebie Cox.

— Już to gdzieś słyszałem — mruknął uprzejmie doktor Olcha.

Przybysz z Ziemi skinął głową.

— Pewno, że słyszałeś. Człowiek od bardzo dawna rozumiał, że wszelkie zło rodzi się w nim samym. Tak samo, jak wszystko, co mądre i dobre. Nik chciałby mieć purchawki, ale rozumie, że przewiezienie ich na Ziemię, w każdym razie teraz, mogłoby zmącić spokój całego naszego świata. Prawda? — uśmiechnął się przelotnie do rudego, który odpowiedział nieokreślonym pomrukiem. — Niemniej, jak powiedziałem, chciałby je mieć. Dawniej pragnienie zdobycia czegoś dla siebie, pragnienie posiadania, bywało u wielu ludzi tak silne, że realizowali je wbrew rozsądkowi i ze szkodą dla innych. Wiemy, jak wyglądało wtedy życie na Ziemi. Z jednej strony pałace, miliardowe fortuny, a z drugiej setki tysięcy konających z głodu. Wybuchaly krwawe wojny, bo ci, którzy już posiadali majątki i władzę, powiększali je kosztem ogółu. A gdy ogół upominał się o swoje prawa, bronili tego, co posiadali, nie przebie-rając w środkach. Dzisiaj to już tylko historia. Niemniej od czasu do czasu i obecnie w jakimś człowieku odzywają się echa odziedziczonych po przodkach nawyków. Wtedy dochodzi w nim do głosu potwór, gorszy od tych, które wyobraża sobie profesor Fufurya, bo chyba jednak niebezpieczniejszy. Dlatego wszyscy musimy być czujni... i dlatego ciągle jeszcze potrzebni są tacy rycerze, jak ten, który pojawił się koło parkowej ławeczki:

Oleg Zadra skinął głową i uśmiechnął się.

— Widzisz, Nik — rzucił z udaną powagą. — Zawczasu zajmij się swoim potworem... Zanim nie pożre Ziemi. Masz rację, Buddy — zwrócił się do białowłosego — ale...

— ...ale znowu gadasz i gadasz — wpadł mu w słowo Fufurya. — Z dwojga złego wolę już bajki!

— Tak, bajki, bajki! — podchwycił radośnie łysy chemik. — Baś, pokaż nam coś ładnego.

Ten z całą gotowością szedł już w stronę ściany, lecz niespodziewanie ubiegł go profesor O,Claha.

— Nie! — zawołał z figlarnym uśmiechem. — Teraz ja wam coś pokażę!

Ukazało się niebo. Ale nie pocziwe ziemskie niebo, pod którym tak przyjemnie usiąść na parkowej ławeczce. Ścianę wypełniły wirujące w czarnej głębi spirale, od których odrywały się poszarpane, świetliste nitki i roje iskier. Zakółowały złote dyski, pierścienie i obłoki. Bliżej pojedyncze gwiazdy tworzyły wymyślne zarysy znanych i nieznanymi konstelacji. W takiej scenarii ukazał się kosmiczny statek. Był dość niezwykły, przypominał bowiem wygodny hotel, wstawiony do szerokiej, staroświeckiej balii. Przed fotelem stał jednakże najprawdziwszy pulpit sterowniczy, po którym błędziły palce rezydującego w balii podróżnika. Był nim O,Claha we własnej osobie. Miał na sobie coś w rodzaju piżamy i nie nosił kasku, jakby dla pokazania całemu światu, że dopiero w próżni międzygalaktycznej czuje się naprawdę jak w domu.

— Poleciał! Może nie wróci?! — wyraził nadzieję Fufurya.

— Cicho! — osobliwy kosmonauta zmarszczył groźnie brwi.

— Tylko nie mów, skąd jesteś, bo ogrody zoologiczne z całego kosmosu wyślą tu nagonki, żeby nas łapać,

a potem pokazywać — upomniał go jeszcze grawito-nik, po czym posłusznie zamilkł.

O,Claha kontynuował podróż. Okrążył właśnie jakąś jasną gwiazdę i wylądował na jej drugiej czy trzeciej planecie. Balia osiadła w pięknej kwiecistej dolinie otoczonej zielonymi wzgórzami. Profesor wysiadł. Podbiegł do jakiegoś kwiatka, powąchał go i przez chwilę stał w niemym zachwycie. Następnie zainteresował się rosnącym opodal drzewem o szerokich gałęziach. Zwisły z nich wielkie i kolorowe liście, które okazały się mięciutkimi, puchowymi kolderkami. Matematyk wyszukał placyk porośnięty pomarańczowym mchem, po czym położył się na jednym liściu, a drugim się przykrył. Wtedy w kwiatach coś zaszeleściło i wybiegło z nich śliczne, puszyste zwierzątko o wielkich, pocziwych oczach. Szybko zwinęło się w kłębek na piersi profesora, polizało go po ręce różowym języczkiem i zasnęło. A chwilę później od wzgórz nadeszła para ludzi, dziewczyna i chłopiec. Oboje byli piękni, spokojni, poruszali się lekko i z niewymownym wdziękiem. Mieli błękitne włosy, jasnobezowe oczy i brzoskwiniovą cerę. O,Claha pogłaskał zwierzątko, ułożył je na mchu, następnie wstał, skłonił się nisko przybyłym i wskazał dłonią na niebo. Dziewczyna skinęła głową na znak, że rozumie. Potem podbiegła do jakiegoś drzewa, zerwała z niego owoc podobny do kryształowego wazonu i podała go gościowi. Ten ugryzł kawałek i zaraz zrobił się o głowę wyższy. Z kolei towarzysz dziewczyny zaoferował matematykowi puchar wypełniony rubinowym płynem. O,Claha upił łyk, co wystarczyło, aby w ułamku sekundy stał się o czterdzieści lat młodszy. Równocześnie niepomiarne wyprzystojniał.

— Ale fajnie! — wyrwało się Basiowi.

— Aha, fajnie! — zaśmiał się ironicznie Fufurya. — Mrzonki starego dziwaka mieszkającego na ogół na ko-

metach, aby dalej od ludzi! A tymczasem patrzcie, czego mu się zachciewa... Dobrze już, dobrze — wycofał się pod karcącym wzrokiem Rondella.

Dziewczyna pokazywała teraz przybyszowi coś, co znajdowało się za wzgórzami. Następnie lekko odbiła się od ziemi i uniosła w powietrze. Jej towarzysz zrobił to samo, a chwilę później podążył ich śladem O,Claha.

W dole ukazało się miasto. Było piękne, przestronne, zielone i składało się z niewielkich, kolorowych domków przypominających motyle. Wylądowali na ścieżce wytyczonej wśród drzew obsypanych białymi kwiatami. Dziewczyna i jej towarzysz, uśmiechając się do swojego gościa, puścili go przodem. Wtedy nagle z zarośli wyskoczył koszmarny potwór. Z jego głowy przypomina-

jącej tarczową piłę trysnęły iskry. Wstrętne macki sięgnęły po profesora...

— Mig! — ryknął O,Claha, nie ten ze ściany, lecz ten rzeczywisty. — Znowu?! Sam jesteś

potwór! Potwór! Całe życie przygotowuję wyprawę do gwiazd, a jak tylko chcę sobie o niej pomarzyć, zjawia się taka chuda czapla i wszystko psuje. Poszedł! Precz!

Pogroził potworowi, który na ścianie porwał go właśnie w swoje monstrualne łapy i unosił między drzewa.

— Poczekaj! — wykrzywił twarz w zjadliwym uśmiechu.

Obca czarowna planeta, jej miasto i kwiaty zniknęły. Oczom zebranych ukazała się niezwykle długa żyrafa unosząca na przeraźliwie cienkiej szyi nastroszoną głowę szanownego grawitonika.

— Cha! Cha! Cha!

Radek po raz pierwszy usłyszał śmiech Nika. Nie mniej od innych zafascynowany grą, która właśnie zaczęła się na ścianie, zdołał jednak stwierdzić z przyjemnym zdziwieniem, że zawsze sztywny i poważny rudzielec potrafi śmiać się głośno, szczerze i w ogóle zupełnie normalnie.

— Ha! — wrzasnęła żyrafa, to znaczy, profesor Fufurya.

Na jego twarzy odmalowało się skupienie i wysiłek, które po chwili przyniosły pożądany skutek. Żyrafa jakby zapadła się pod ziemię, a jej miejsce zajął najgrubszy z wszystkich możliwych grubasów, śpiący smacznie w kraterze księżycowego wulkanu wyścielonego piramidą mocno wypchanych pierzyn. Nie trzeba dodawać, że pulchne oblicze śpiącego miało rysy profesora O,Clahy.

— Mało oryginalne! — zawołał z pogardą matematyk, po czym wyobraził sobie Fufuryę jako stracha na potwory ustawionego przy Mlecznej Drodze.

Strach odwzajemnił mu się obrazem pokracznej papugi siedzącej na ogonie komety i wygłaszającej długą niezrozumiałą mowę do gwiazd, które ostentacyjnie ziewały z nudów. Papuga miała wprawdzie ostry, zakrzywiony dziób, ale jej oczy, a zwłaszcza ruda, roz-wichrzona czupryna nie pozwalały żywić wątpliwości, kogo przedstawia.

— Już trochę lepiej! — profesor O,Claha był coraz bardziej rozochocony. — Jak się postarasz, to może jeszcze dorównasz Basiowi! A co powiesz na to?

Twarz Miga Fufuryi ponownie spojrzała z „zielonej” ściany. Tym razem okalała ją wspaniała lwia grzywa. Cóż, kiedy cała postać niewiele miała wspólnego z królem zwierząt. Lwia głowa była bowiem osadzona na cielsku węża, które wykonywało nieustanne, falujące ruchy. Na samym dole znajdowała się karykatura ludzkiego brzuszka wsparta na dwóch nóżkach o ogromnych, płaskich stopach.

— Ty... ty... morsie! — wrzasnął grawitonik, pokazując zebranim O,Clahę z długimi, szczeciniastymi wąsami, potężnymi kłami i rybim ogonem. Cały ten stwór spoczywał na gigantycznej patelni, pod którą Robinson Cruzoe z obliczem profesora Fufuryi rozpałał właśnie ognisko.

Mors przeobraził się następnie w marabuta, marabut w puchacza, ten w wychudłego bazyliuszka, bazyliuszek w dwunożnego hipopotama, zmiany następowały coraz szybciej, aż wreszcie kres tej prawdziwej bitwie na wyobraźnię położył profesor Kuningas, wołając:

— Dosyć! Spokój! Komputer wzywa nas do dyspozytorni!

Hipopotam zdążył jeszcze wyciągnąć się w stary fabryczny komin z głową w srebrnym obłoku, ale to było już wszystko. Doktor Olcha dotknął ściany i nagle zrobiło się przeraźliwie cicho.

— Uff! — łysy chemik otarł pot z czoła. — Zupełnie jakbym się przejechał na karuzeli.

— To dopiero rozgrzewka — obiecał niedawnemu przeciwnikowi O,Claha. — Jeszcze zobaczysz!

— Rzeczywiście rozgrzewka — przyznał Oleg Zadra. — Mnie przynajmniej zrobiło się naprawdę gorąco... To co z tym komputerem? — ożywił się patrząc na Kuningasa.

— Są już wstępne wyniki — odrzekł uczonej, oderwawszy wzrok od pulpitu. — Koniec zabawy. Pośpieszcie się!

Ruszył w stronę drzwi.

„Nareszcie!” — o mały włos nie zawołał na głos Radek. Zerknął porozumiewawczo na Nika, który odpowiedział ledwie widocznym skinieniem głowy.

W drzwiach powstał mały zator, bo każdy chciał jak najprędzej zapoznać się z danymi dotyczącymi owego niezrozumiałego wybuchu. Głównym sprawcą zamieszania był jednak Black Rondell, który wołając: — Przepuścić dziecko! — roztrącał wszystkich na prawo i lewo,

aby Baś mógł spokojnie i z godnością opuścić jadalnię.

W końcu tak się jakoś złożyło, że w jadalni zostali tylko Anik i Radek. Chłopiec zapatrzył się w dwa śliczne, kasztanowe warkoczki i nagle przestało mu się śpieszyć. Przypomniał sobie pierwszą bajkę Basia i to, co sam do niej dodał.

— Wiesz, ta śpiąca królewna— powiedział niespodziewanie dla samego siebie — miała twoją twarz, bo ja... ja... ciągle myślę o twoim ojcu... ta śpiąca królewna...

Zamilkł bezradnie, czując, że myśli uciekają mu z głowy, jakby ktoś jej dotknął, a ona zareagowała niczym „zielona” ściana, kiedy usuwano z niej wszystkie obrazy. Dziewczyna stanęła i obejrzała się przez ramię.

— Królewna? Ach, ta na szklanej górze — przypomniała sobie z nieco zbyt widocznym wysiłkiem. — Nie ma o czym mówić — zaopiniowała łaskawie. — To-takie dziecinne bajeczki.

Radek pokręcił głową.

— Nie, to znaczy, bajeczki, ale widzisz... ta królewna bardzo mi się podobała i chciałem ci powiedzieć... chciałem... — znów urwał.

Anik czekała chwilę zajęta na pozór bez reszty tym, co działo się gdzieś w głębi korytarza, wreszcie jednak musiała zauważyć, że panuje tam idealna cisza, ponieważ wszyscy już dawno poszli. Wtedy westchnęła cichutko, mignęła warkoczami i... już jej nie było.

Pokonując idiotyczne drżenie w kolanach, Radek pobiegł za dziewczyną. Dopędził ją już za zakrętem korytarza i wydyszał:

— Przed tą królewną, w nocy, był śpiący królewicz.. To znaczy, przepraszam, twój ojciec. Więc chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś się nie martwiła, bo... — zabrakło mu tchu.

Ale dziewczyna i tak nie pozwoliłaby mu skończyć.. Zatrzymała się jak wryta, odwróciła i zmierzyła chłopca lodowatym spojrzeniem.

— Śpiący królewicz?! — powtórzyła z powagą. — Uważasz, że to dobry kawał?! Teraz kiedy mój ojciec—Odwróciła się błyskawicznie i uciekła. Minęło dobre pół minuty, zanim Radek oprzytomniał i, wpatrzony w pustą perspektywę korytarza, wychrypiął:

— Ale ze mnie idiota!

Śpiący królewicz! Rzeczywiście, popisał się, że lepiej nie można! Skąd ona mogła wiedzieć, że to porównanie przyszło mu na myśl, kiedy widział, jak Patt wyczarowuje na ścianie obraz uśpionego Piotra Jardin,

I że nie ma nic wspólnego z popisami Basia i w ogóle z zabawą!

— Idiota — powtórzył jeszcze raz, po czym ociągając się ruszył przed siebie.

Chociaż szedł bardzo powoli, zaraz za drugim zakrętem natknął się na kogoś, komu widać jeszcze mniej spieszyło się do dyspozytorni. Był to białowłosy przybysz z Ziemi, Buddy Cox. Kroczył na palcach, skulony, tuż przy ścianie, i tylko od czasu do czasu wyciągał głowę, jakby sprawdzając, czy nikt się na niego nie zaczął. Wsunął się właśnie w boczny korytarz, którego Radek jeszcze nie znał. Mniej więcej w połowie tego korytarza znajdował się miniaturowy okrągły placyk.

Chłopiec pobiegł wzrokiem przed siebie i ujrzał plecy dwóch następnych spóźnialskich. Przed Coxem posuwali się, także bez zbytniego pośpiechu, pilot „Ety”, Alan Bysson, i młody fotonik Dauba. Nie ulegało wątpliwości, że ich właśnie śledzi białowłosy, nieświadomy tego, że jemu z kolei depcze po piętach Radek.

Cała trójka minęła placyk i zniknęła w dalszej części korytarza. Chłopiec postanowił odczekać, aż oddalą się na bezpieczną odległość. Niemal bezwiednie zanotował w pamięci, że Cox, chociaż taki skory do wygłaszania budujących sentencji o bezpieczeństwie Ziemi, znowu zachowuje się co najmniej podejrzanie, ale był zbyt poruszony fatalnym zakończeniem rozmowy z Anik, aby próbować odgadnąć, co to może znaczyć:

Zasepiony wszedł na placyk i rozejrzał się. Z lewej strony ktoś, kto i tutaj bawił się zieloną metodą, pozostawił na ścianie widomy ślad swojej wyobraźni. Określenie „zielona” było tym razem szczególnie na miejscu, ponieważ obraz przedstawiał zalany słońcem ogród. Znajdowało się tam trochę kwiatów, ale najwięcej miejsca zajmowały grządki koperku, cebulki, ogórków i poziomek. Na pierwszym planie rosły krzaczki pomidorów obwieszane ciężkimi, czerwonymi owocami.

Chłopiec skrzywił się. Jak na razie przynajmniej, miał zdecydowanie dość wszelkich wymyślonych bajkowych obrazków. Podszedł do wyobrażenia ogródka i z rozpędu uderzył

weń pięścią. Ale pięść — zamiast natrafić na opór — gładko przeszła obraz i poleciała w głąb ogrodu, pociągając za sobą ramię, za którym z kolei podążyla cała reszta. Radek, wymachując rękami, przebył w szalonym tempie kilka metrów i wyładował na brzuchu, wpadłszy z poślizgu w dorodny krzak pomidorów.

Gramolił się z trudem, kiedy usłyszał za sobą przyciszony śmiech. Przybrawszy wreszcie pozycję pionową, odwrócił się z godnością. Ujrzał Coxa. Podejrzany nie miał najmniejszego zamiaru ukrywać, że wcale nieźle się bawi. Zły humor chłopca nie stał się dzięki temu ani odrobinę lepszy. Strzepnął z obrzydzeniem coś czerwonego i mokrego, co przylgnęło do jego bluzy, po czym powiedział kwaśno:

— Cóż w tym takiego zabawnego? Pomyliłem się.

— Pomyliłeś się? — podchwycił Cox przeciągając leniwie sylaby. — A ja myślałem, że miałeś ochotę na pomidory. Albo na poziomki. W takim razie jednak po śmietankę i cukier musiałbyś pofatygować się do kuchni.

— Jak mogę się stąd wydostać? — spytał lodowatym tonem Radek.

— Tak samo, jak wszedłeś — Wyjaśnił uprzejmie białowłosy.

Wyciągnął rękę, żeby pomóc niefortunnemu amatorowi poziomek wrócić na korytarz, ale jego przyjacielska oferta pozostała nie zauważona. Nie zrażony tym Cox spytał:

— Więc przypuszczałeś, że to tylko taki wymyślony obrazek? Wymyślony rzeczywiście, tylko już dawno, przez budowniczych bazy — ciągnął spokojnie. — Oczywiście, są tutaj na innych poziomach specjalne uprawy nadzorowane przez automaty. Ale to przecież przyjemnie przyjść do takiego ogródka i samemu zerwać prawdziwą, pachnącą pietruszkę! Ludzie urządzają kosmos po swojemu — dodał sentencjonalnie. — W pewnym sensie można by nawet powiedzieć, że się nie pomyliłeś. Ten ogród powstał przecież najpierw w czyjejs wyobraźni, zanim go urządzono. To jeszcze jeden dowód, że fantazję człowieka trzeba traktować bardzo poważnie. Szczególnie, kiedy myśli się o wyprawie do gwiazd. No, idziemy — zakończył niespodzianie swój wywód. — Trzeba się wreszcie dowiedzieć, co ma nam do powiedzenia komputer.

Maleńka sylwetka człowieka odcinała się na tle gwiazd. Mężczyzna stał na pancerzu okrągłej sondy, obok otwartego włazu, i celował z lasera. W następnym ułamku sekundy zebrani ujrzeli niteczkę światła mknącą przez czarnogranatowe niebo, po czym z ekranu buchnął oślepiający blask eksplozji. Kuningas wyłączył aparaturę.

— Tak to wyglądało — powiedział. — Komputer odtworzył przebieg wydarzeń na podstawie zapisu, jaki pozostał w jego zespołach pamięciowych. A teraz analiza.

Skinął na profesora Yaica zajętego przeglądaniem wąskich pasemek folii, które wypełzały z jakiegoś urządzenia pod ekranem. W odpowiedzi na wezwanie szefa bazy uczoney odłożył je, zmarszczył swoje krzaczaste brwi i rzekł:

— Niewiele udało nam się ustalić. Obiekt, który odkryliśmy na orbicie Trytona, był najprawdopodobniej zwykłą sondą. Jej nadajnik nie działał. Nie wiadomo, skąd się wzięła w tej okolicy. W dodatku wewnątrz niej znajdował się bliżej nieokreślony materiał wybuchowy, który eksplodował pod wpływem rozgrzania powłoki promieniami lasera. W płomieniu, jaki powstał podczas wybuchu, analizatory wykryły obecność węglowodorów, niektórych węglowodanów, aminokwasów, a także zasad purynowych i pirymidynowych stanowiących, o czym wiadomo, ważne składniki kwasów nukleinowych...

— Co?! — wykrzyknął Oleg Zadra. — Aminokwasy?!

— Widzicie?! Widzicie?! Goście z kosmosu! — entuzjasmował się pół żartem, pół serio O,Claha.

— Bardzo interesujące — przyznał spokojnie profesor Kuningas.

— Bzdury — orzekł Fufurya. — Żywy materiał wybuchowy?!

— Masz wreszcie swojego potwora! — wykrzyknął bez szczypty ironii Black Rondell. Radek skorzystał z sąsiedztwa ojca, by wyszeptać mu wprost do ucha, że to, co mówił profesor Yaic, jest z pewnością zupełnie jasne, szkoda tylko, że nie dla niego.

Ojciec spojrział na Radka i nie mniej podekscytowany od reszty zebranych odpowiedział:
— Wszystkie wymienione związki występują w organizmach żywych. Inaczej mówiąc, w tej sondzie było coś bardzo dziwnego.

W sondzie były purchawki. Ale o tym, rzecz jasna, uczeni nie mogli wiedzieć...

— Sean żartuje — Kuningas uśmiechnął się blado. — Wiadomo od dawna, że kosmiczna synteza tych substancji, które na Ziemi są wytwarzane przez organizmy żywe, ma charakter abiogeny. My także potrafimy dokonywać przeróżnych połączeń w laboratoriach. A kosmos to przecież pracownia, w której może się stać wszystko.

— Co on mówi? — spytał z kolei zachrypłym głosem Nik.

— On mówi, że tam nie było żadnego potwora... Ani nawet białej myszki — odpowiedział bardzo głośno O,Claha.

Nastała cisza. W pewnym momencie Radek zerknął ostrożnie w stronę Nika. Ten odpowiedział porozumiewawczym mrugnięciem.

Komputer ogłosił wyniki badań... i nic. Trudno. W każdym razie dla nich skończyło się bierne oczekiwanie. Tak jak się umówili, muszą teraz zacząć działać "zgodnie z sytuacją". A sytuacja wygląda coraz gorzej. Jeśli purchawki potrafią nie tylko grać i malować, lecz także wybuchać i rozwalać kosmiczne pojazdy, to znaczy, że trzeba się jeszcze bardziej śpieszyć. O rozmowie w cztery oczy z ojcem, przynajmniej w ciągu najbliższych minut, nie ma co marzyć. Pozostaje więc naradzić się z Nikiem.

Zrobił obojętną minę i, klucząc dla niepoznaki, zaczął powoli cofać się w stronę drzwi.

— Wątpię, czy dowiemy się czegoś więcej — przerwał milczenie profesor Yaic. — W czasie eksplozji wszystko się spaliło. Alan przeszukał przecież cały rejon radarem, prawda?

Czekał chwilę na odpowiedź, ale jej nie otrzymał. Wtedy rozejrzał się ze zdumieniem i spytał:

— Gdzie jest Bysson?

Radek drgnął. Dopiero teraz spostrzegł, że i pilot „Ety”, i Dauba ulotnili się z dyspozytorni. Nie ma sekundy do stracenia! Skinąwszy na Nika, pobiegł już prosto do wyjścia.

Tuż przed progiem zatrzymał go cichy głos:

— Przepraszam, nie powinnam była się złościć. Wiem, że nie chciałeś powiedzieć nic złego o moim ojcu.

Chłopiec pomyślał z rozpaczą, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Nawet ten cichy głos i te słowa, które kiedy indziej napełniłyby go nieopisaną błogością, spłynęły na niego akurat w chwili, gdy stanowią tylko dodatkową przeszkodę.

Wykonał krótki marsz w miejscu, szukając ratunku spojrział w lewo, potem w prawo, wreszcie jęknął:

— Muszę już iść!

I ku nieopisanemu zdumieniu Anik, która z takim samozaparciem zdobyła się na pojednawczy gest, wybiegł na korytarz.

Był pewny, że w zamieszaniu, jakie powstało w dyspozytorni, nikt nie zauważy jego ucieczki. Mylił się, co jednak wyszło na jaw dopiero później i w znacznie bardziej dramatycznych okolicznościach.

Dogonił Nika zmierzającego szybkim krokiem w stronę najbliższej windy.

— Myślisz, że będą właśnie tam? — spytał gorączkowym szeptem.

— A gdzie mają być? — rzucił ponuro rudy. — Jeśli w ogóle jeszcze są...

Po wyjściu z windy, wcale się już nie kryjąc, ruszyli pędem w stronę otwartego przedsiionka lądowiska. Bez słowa, jakby działali według precyzyjnie opracowanego planu, podeszli do niszy ze skafandrami i zaczęli się pośpiesznie ubierać. W pewnej chwili Radkowi wydało się, że w korytarzu zabrzmiał charakterystyczny świst otwierających się drzwi windy, ale nie zwrócił na to uwagi.

Nagle zgasło światło. Po omacku odnalazł automat sprawdzający szczelność skafandrów, który na moment objął go elastycznym ramieniem wyposażonym w dziesiątki czujników, a kiedy poczuł się znowu wolny, po-biegł w stronę przejścia na pole startowe. Przed nim majaczyła w mroku biała postać zmierzająca w tym samym kierunku, jednak wkrótce stracił ją z oczu. Przeskoczył wysoki próg pancерnej przegrody i zauważył, że ta już się zamyka. Równocześnie w głębi, na polu startowym, zapłonęły czerwone światelka. Ktoś zamierzał

opuścić bazę. A tym kimś nie mógł być nikt inny, jak tylko Bysson i Dauba. Reszta ewentualnych podejrzanych znajdowała się przecież w dyspozytorni.

Dokąd uciekają? Na Ziemię? Do jakiegoś rezerwatu planetarnego czy satelitarnego? Jeśli pozbędą się rakiety i zaczną prowadzić spokojne życie, najprawdopodobniej nikt ich nigdy nie znajdzie. Mieli rację, że się śpieszyli. Prędzej czy później ktoś zwróci uwagę na to, że skład materiału wybuchowego z sondy na orbicie Trytona był podobny do składu chemicznego grających purchawek. A wtedy uczeni zaczną sobie kojarzyć fakty i domyśla się całej prawdy. Złodzieje purchawek woleli zawczasu wziąć nogi za pas, zabierając jedyny statek, który mógł ocalić Piotra Jardin. Wprawdzie rakiety Instytutu przybędą niedługo, ale takie „niedługo” — w kosmosie może oznaczać wieczność. Nadajnik ojca Anik nie odpowiedział na wezwanie sondy, która dotarła w pobliże K-1, a sama kometa, jak powiedział profesor Yaic, zaczęła już świecić...

Radek zacisnął pięści, odpędzając od siebie ponure myśli.

Czerwone, ostrzegawcze światełka były coraz bliżej. W głębi rysował się już wyraźnie pomost prowadzący do otwartego jeszcze na szczęście wjazdu ładunkowego „Ety”. Nika nigdzie nie było widać, ale Radek czuł, że rudzielec jest w pobliżu. Gdyby nie to nieznośne zadzieranie nosa, ten kolekcjoner byłby całkiem do rzeczy...

Z tyłu coś zaszeleściło. Obejrzał się błyskawicznie, ale nie było nikogo. Wszystko trwało w pozornym bezruchu. Tylko lampki świeciły coraz jaskrawiej, a nad pancerną przegrodą pojawił się czerwony napis: *Start*.

Wbiegł szybko na pomost i wpadł do wnętrza rakiety. Wyminął łaziki i sondy, odprawił jednym mruknięciem automat pomocniczy, który wyszedł mu na spotkanie, zatrzymał się dopiero przed wejściem do śluzy. Otworzył je, poczekał, aż komórka wypełni się powietrzem, po czym zdjął kask. Na wszelki wypadek przytroczył go jednak do pasa. Nie wiadomo przecież, co może się jeszcze zdarzyć.

Wnętrze statku stanęło otworem. Wyprostował się, zaczerpnął głęboko powietrza i wyszedł na korytarz. W tym momencie poczuł leciutkie drganie podłogi.

„Eta” była w przestrzeni.

Złoty warkocz

— Gdzie właściwie podział się Alan? — ponowił pytanie profesor Kuningas.

Uczeni siedzieli nadal w dyspozytorni, ale nikt nie kwapił się już do dyskusji na temat tajemniczej zawartości sondy z orbity Trytona. Zbyt dopiekało im beczynne czekanie na statki, które będą mogły polecieć po Piotra Jardin.

— Alan? — Rondell rozejrzał się, po czym wzruszył ramionami. — Nie wiem. Może poszedł coś przekąsić.

— Nie ma także Witolda — zauważył O,Claha. — Co oni właściwie robią?

Buddy Cox, pogrążony w rozmowie z profesorem Yaicem, drgnął nagle i uniósł głowę.

— Czy ktoś widział, jak wychodzili? — spytał szybko.

— Ja widziałem! — Baś potoczył dokoła dumnym wzrokiem. — Najpierw wyszedł pan Dauba, a potem ten taki smutny...

— Bysson — odpowiedział Oleg Zadra.

— Właśnie.

— Kiedy wyszli? — Cox był coraz bardziej niespokojny.

— Wtedy kiedy ktoś mówił o tym, że coś żyje — padła dokładna odpowiedź. — Patrzyłem właśnie w stronę drzwi.

Szczegóły dotyczące analizy płomienia musiały wydać się Basiowi cokolwiek zawile. Zamiast słuchać, zerkał więc ku drzwiom, kombinując, jak by tu niespostrzeżenie opuścić uczone towarzystwo i zająć się czymś ciekawszym.

— Czyli wówczas, gdy okazało się, że zawartość sondy... — Coxowi zaświtała widać jakaś nowa myśl, bo przerwał sam sobie. — Słuchajcie! Czy pamiętacie, z czego są zbudowane te lodowe kamienie na K-1?

To, czego, zdaniem Radka, obawiali się Dauba i Bysson, zaszło więc nawet wcześniej, niż się chłopiec spodziewał. Ktoś skojarzył sobie ostatnie rewelacje komputera z kosmicznymi

purchawkami.

— A wiecie! — wykrzyknął O,Claha tonem odkrywcy. — To nie przyszło mi na myśl!
Rzeczywiście! Skład jest bardzo podobny.

— Trzeba natychmiast odnaleźć Byssona — rzekł z naciskiem Buddy Cox, patrząc dziwnym wzrokiem na profesora Kuningasa.

Ten natychmiast pochylił się nad pulpitem komputera.

Baś, niezadowolony, że nikt już nie zwraca na niego uwagi, chociaż to przecież tylko on widział wychodzących Byssona i Daubę, postanowił przypomnieć o swoim istnieniu.

— Za nimi poszedł Nik — powiedział nie proszony. — Potem także Radek i Anik, ale nie razem.

— Radek?!

— Nik?! — Anik?!

Trzy okrzyki zabrzmiały równocześnie. Doktor Olcha, Oleg Zadra i Patt zerwali się z .miejsc.

— Rzeczywiście, nie ma ich! — zawołał ze zdumieniem O,Claha. — Co oni znowu wymyślili?!

— Baś, ty w każdym razie zostań tutaj i trzymaj się mnie.

Gruby chemik tocząc wyzywającym wzrokiem po obecnych, jakby chciał powiedzieć: „spróbujcie tylko zaczepić tego młodzieńca, a będziecie mieć ze mną do czynienia”, podszedł szybko do swego ulubieńca i otoczył go ramieniem.

— Ha! — burknął profesor Fufurya. — A mówiłem... Zresztą mniejsza z tym, co mówiłem — machnął ze złością ręką. — Może poszli do swoich kabin?

Kuningas odwrócił się powoli do białowłosego i spojrzał mu prosto w oczy. Jego palce ześliznęły się z pulpitu sterowniczego.

— Buddy... ty porozumiewałeś się z Centralą w sprawie Byssona, prawda?

— Tak — odparł sucho Cox. — Połącz się z polem startowym. Zablokuj wszystkie przejścia, urządzenia i automaty. Oby tylko nie było za późno.

Główna kabina rakiety tonęła w zupełnym mroku. Radek, sunąc plecami po ścianie, przebył wreszcie całe pomieszczenie, które pełniło funkcję nawigatorni, jadalni, a także miejsca towarzyskich zebrań podczas długich podróży, i dotarł do otwartych drzwi kabiny pilotów. Wysunął ostrożnie głowę, akurat w momencie kiedy „Eta” wykonywała zwrot.

Na ekranie, nad głowami siedzących przy sterach mężczyzn, przeskoczyły w szalonym pędzie gwiazdy.

— Kurs trzy, zero, zero, osiem — powiedział Dauba. W sąsiednim fotelu Bysson poruszył nieznacznie głowę.

— W porządku. Uwaga, automaty! Przygotować stać do awaryjnego lądowania. Ostre pogotowie dla sekcji naprawczych i medycznych! Zespoły kontrolne, sprawdzić zapasy tlenu, wody i żywności. Zakończyć czynności za dwie godziny.

— Lot potrwa dwie i pół — zauważył Dauba.

— Rozwijamy pełną moc — odpowiedział głucho Bysson. — Gdybyśmy wystartowali wcześniej... — nie skończył.

Przez chwilę było zupełnie cicho. Tylko skądś, z głębi statku, dobiegał ledwie słyszalny szmer, jakby ktoś sypał na cienką blaszkę pojedyncze ziarenka piasku.

— Przepraszam cię, Alan — odezwał się wreszcie zdławionym głosem Dauba. — Obaj byliśmy głupi, a zwłaszcza ja. Ale teraz wszystko już będzie dobrze. Zobaczysz. Możesz na mnie liczyć. To tylko moja wina...

— To moja wina — powiedział z tłumioną wściekłością Buddy Cox, nie spuszczając wzroku z ekranu komputera. — Powinienem był przewidzieć. Nie dopuścić do tego, żeby wystartowali.

— Daj spokój — przerwał mu Oleg Zadra. — Ja powinienem uważać na Nika, Michał na Radka, a my wszyscy na Anik. Teraz nie ma sensu wypominać sobie, co zrobiliśmy, a czego nie. Jak z tą łącznością? — rzucił pod adresem Kuningasa, który w towarzystwie O,Clahy i doktora Olchy nadal ślęczał przy pulpicie.

— Nic. Nie odpowiadają.

— Nie mogą odpowiedzieć, bo komputer bazy nie obliczył jeszcze pozycji „Ety”. Na razie nie będziemy ich wzywać otwartym kodem. Zaalarmowalibyśmy cały Układ Słoneczny, a przecież i tak nikt nie może pomóc.

— Jeśli lecą na Ziemię, ktoś jednak będzie im musiał zagrozić drogę — mruknął Cox, po czym powtórzył z uporem: — To moja wina. Zagapiłem się jak nowicjusz.

— Tylko dzieci były czujne — odrzekł Rondell. — Musiały się domyślić, skoro poleciały razem z nimi.

— Radek by mi powiedział — szepnął doktor Olcha. Pokręcił głową i mruknął jeszcze raz, tylko znacznie ciszej: — Radek by mi powiedział...

„Że też nie zdążyłem pogadać z tatą — westchnął w duchu Radek ukryty za framugą drzwi prowadzących do kabiny pilotów. — Cóż, nie było okazji... Naprawdę nie było” — upewniał sam siebie, jakby mimo

wszystko nurtowały go jakieś wątpliwości. Teraz za późno na żale. Jest w przestrzeni. Dokąd leci „Eta”? Nieważne. I tak nie doleci. „Nie doleci” — przysiągł sobie, zaciskając pięści. Zawróci ją i skieruje na K-1.

Gdyby tak zdobyć jakąś broń... Mimo woli sięgnął do pasa swojego skafandra, w miejscu gdzie znajdował się zaczep laserowego miotacza. Ale miotacza tam nie było. Zabierano je tylko na najtrudniejsze wyprawy i, rzecz jasna, nie jako broń, tylko instrument, przy pomocy którego wypalało się przejścia w skałach, cięło i spawało stalowe konstrukcje, dokonywało wierceń i tak dalej. „Może pistolecik gazowy?” — przyszło mu do głowy. Jego odrzut pozwala kosmonautom poruszać się w próżni, ale w normalnej atmosferze nie jest w stanie skrzywdzić muchy. Jednak zaskoczeni w ciemności zbrodniarze mogą uwierzyć, że grozi im nie pistoleciem, lecz prawdziwym miotaczem...

Plan chłopca był prosty. Opanować „Etę” i polecieć na K-1. Komputer sam obliczy kurs, jeśli tylko dostanie rozkazy od nowych pilotów. Na komecie pomogą im automaty. A potem Nik i Radek zabiorą ojca Anik i wrócą, zanim owe wezwane na pomoc nadzwyczajne statki zdążą w ogóle wystartować. Potem...

„Dość” — skarcił siebie w duchu. Zrobił to z pasją, bo po pierwsze, plan, choć taki prosty, miał tę słabą stronę, że — jak na razie — przy sterach siedzieli dwaj silni mężczyźni, którzy ani nie mieli zamiaru zniknąć niczym potwory z „zielonej” ściany, ani ustąpić komuś miejsca; a po drugie, to ostatnie „potem” miało wprawdzie wielkie, niebieskie oczy i śliczne, kasztanowe warkocze, ale poza tym było całkowicie mgliste i wiązało się ze sprawami, wobec których porwanie rakiety, samotny lot na kometę i ocalenie uwięzionego na niej badacza wydawało się igraszką godną niemowlęcia. Zresztą, potem to potem. Tymczasem trzeba odnaleźć Nika, który z pewnością czai się tu blisko w ciemności, i uzgodnić plan ataku.

— Tak, słyszę — powiedział w tym momencie Bysson. — Tu „Eta”. Odbiór.

— Szybko nas znaleźli — mruknął Dauba. — Włącz głośniki, ja także chcę słyszeć.

— ...ngas z Instytutu Galaktycznego — rozległ się w kabinie znajomy głos kierownika bazy. — Halo, Bysson! Halo, Dauba! Dokąd lecicie?!

— Kurs trzy, zero, zero, osiem — odpowiedział krótko pilot. — Odbiór.

Dłuższą chwilę panowała cisza. „Ciekawe, czy już zauważyli, że nas nie ma — pomyślał Radek. — Ale nawet jeśli tak, to przecież nie przyjdzie im do głowy, że poleciliśmy z przestępcami. Będą nas szukać w kabinach, w różnych ogródkach...” Skrzywił się odruchowo.

— Bysson, powtórz kurs — padło wreszcie z głośników.

— Trzy, zero, zero, osiem.

Znowu zaległo milczenie. Zupełnie jakby ten kurs był czymś tak niezwykłym, że wszystkich obecnych w dyspozytorni badaczy kosmosu zamurowało ze zdziwienia.

Mijały sekundy. Na panoramicznym ekranie trwały nieruchomo mgławice i konstelacje. W pewnym momencie wśród gwiazd błysnęło coś dziwnego, jakby ułamany kawałek złotego pierścienia.

— Bysson — po dłuższej pauzie głos zabrał z kolei Buddy Cox — „Eta” nie ma ani urządzeń, ani pojazdów, przy pomocy których można bezpiecznie wykonać to zadanie.

„Mówi niezbyt do rzeczy” — ocenił ukryty za drzwiami chłopiec.

— Dlaczego nie wzięliście kogoś z sobą? Szanse powodzenia byłyby większe.

— To nasza sprawa — odrzekł twardo Dauba. — Alana i moja. Ryzyko istnieje, przyznaję. Jednak jeśli rzecz ma się udać, wystarczy nas dwóch. A w razie niepowodzenia, liczba ofiar będzie mniejsza. To chyba jasne?

— Niezupełnie — Cox jakby się zawahał. — Nie wolno wam było wyruszać bez zgody kierownika bazy.

— Nie pierwszy raz wyruszyłem bez zgody profesora — odpowiedział Bysson. — Pewnie jednak ostatni — dodał ciszej i jakby do siebie. — Nie wiecie jeszcze...

— Już coś niecoś wiemy — przerwał mu białowłósy. — W każdym razie dość, żebyśmy teraz nie musieli o tym mówić. Natomiast jeśli chodzi o stopień ryzyka, to może łatwiej zgodzilibyśmy się z rozumowaniem Witolda, gdybyście teraz byli rzeczywiście tylko we dwójkę.

— Jak to? — zdziwił się Dauba.

— Czy dzieci nas słyszą?

— Jakie znowu dzieci?! — zniecierpliwiał się fotonik. — O co chodzi?

Z głośników popłynęło głębokie westchnienie.

— Alan — głos Coxa drgał nieznacznie. — Co chcecie z nimi zrobić? Czy nie dość wam, że...

— Z kim zrobić, do wszystkich mgławic?! Co to wszystko znaczy?!

— Przecież wiemy, że macie na pokładzie dzieci. I tak nie możemy was ścigać. Więc po co to udawanie....

— Dzieci?! — Dauba aż podskoczył w fotelu. „Do wszystkich mgławic! — powtórzył sobie w duchu Radek. — Do wszystkich mgławic! Fu-fu-fu! Teraz się zacznie...”

I zaczęło się. Fotonik rzucił Byssonowi jakieś niezrozumiałe słówko i wybiegł z kabiny, omal nie potrącając chłopca, którego jednak mimo to nawet nie zauważył. W następnej chwili obszerną nawigatornię zalało jasne światło. Radek, mrużąc oczy, odruchowo wyciągnął przed siebie ręce, przekonany, że młody naukowiec zaraz go zaatakuje. Nagle usłyszał głos Nika, a po tem gorączkowy okrzyk Dauby:

— Ludzie! Dzieci! Co wy tu robicie?! To „wy” sprawiło, że Radek postanowił ubiec napaść. Przekonany, że został odkryty, nie czekał, aż fotonik zrobi coś złego jemu lub 'Nikowi, tylko skoczył jak wystrzelony i rozpaczliwym szczupakiem podciął przestępcy nogi. Obaj runęli na podłogę i zaczęli się po niej przewalać. Zduszone: — Puść! — młodego naukowca głużyły zajadłe okrzyki: — O, nie! O, nie! — po czym szamotanina rozpoczęła się na nowo. Powoli jednak, co było do przewidzenia, napadnięty zaczął zyskiwać przewagę. Radek powtórzywszy jeszcze raz swoje: — O, nie! — zaczął na oślep macać po podłodze w nadziei, że natknie się na coś, czego mógłby użyć jako broni. Szczęście mu dopisało, bo istotnie natrafił na pionowy, niezbyt cienki słupek. Zacisnął kurczowo palce i próbował unieść go, żeby wziąć odpowiedni zamach, ale słupek, choć osobiwie elastyczny, stawiał niespodziewanie silny opór. Chłopiec zebrał wszystkie siły, szarpnął i wtedy dziwny przedmiot wreszcie ustąpił. Powietrze przeszył rozdzierający pisk, który brzmiał jeszcze, kiedy Radkowi zważyło się na głowę coś bardzo, ale to bardzo ciężkiego.

— Zostawcie! Nie! — piszcząco ciągle w wielkiej dali.

— Poczekaj! Poczekaj! To nieporozumienie! — nalegał równie daleki głos Nika.

— Co się tam dzieje?! — zawołał ze swego fotela Alan Bysson.

— Co się tam dzieje? — powtarzał w bazie profesor. Kuningas.

„Nic się nie dzieje” — chciał ich uspokoić Radek, którego nagle ogarnęła nieprzeparta senność, ale nie udało mu się wykrztusić słowa. Zakrakał tylko raz i drugi, po czym pomyślawszy, że to zupełny nonsens zabierać w kosmos wrony, wyciągnął się wygodnie na podłodze. Leżał tak jakiś czas, czekając, aż gwiazdy przed jego oczami wytańczą się do syta. W pewnym momencie zrozumiał jednak, że ten piskliwy głosik, który odezwał się przed chwilą, stanowczo nie mógł należeć ani do Dauby, ani do Byssona, ani do Nika, ani w ogóle do jakiegokolwiek istoty płci męskiej. Zaintrygowało go to do tego stopnia, że uniósł odrobinę głowę i spojrzał przed siebie i... całe błogie lenistwo opuściło go w ułamku sekundy!

Na lewo podnosił się właśnie z trudem do pozycji siedzącej Witold Dauba. Oczy miał półprzymknięte i wyglądał jak złośliwa karykatura boksera, któremu się fatalnie nie powiodło.

Na prawo stał sztywno wyprostowany Nik. Założył ręce na piersiach i spoglądał przed siebie z zadumą, jakby ćwiczył rolę admirała zwycięskiej floty. Natomiast pomiędzy Daubą a admirałem...

— Anik! — wrzasnął Radek, po czym gwałtownie zamachał nogami, co miało najprawdopodobniej imitować czynność wstawania.

— Owszem, Anik — wydyszała dziewczyna. — I to nawet jeszcze żywa — dodała — co jednakże na pewno nie jest zasługą żadnego z was...

— Anik!

Chłopiec podwoił swoje wysiłki, w wyniku czego udało mu się w końcu podnieść.

Równocześnie ten sam sukces osiągnął fotonik. Przeciwnicy znowu stanęli oko w oko.

— Anik! — wykrzyknął po raz trzeci Radek, tym razem z nutą groźby. Nie dotyczyło to, rzecz jasna, córki Piotra Jardin, tylko ich wspólnego wroga. Ma zostawić Anik na łasce zbrodniarzy? O, nie!

Pochylił się i z impetem szarżującego nosorożca runął na Daubę. Niestety, bywa czasem tak, że nawet naj-

większy hart ducha jest bezsilny wobec słabości ciała. Dziwna rzecz. Ten jakiś ciężar spadł przecież Radkowi na głowę, a najbardziej poszkodowane okazały się nogi. Zamiast wstępnym natarciem powalić Daubę — chłopiec przebiegł szybkim, ale chwiejnym truchcikiem obok niego, następnie ani trochę nie zwalniając zatoczył szeroki łuk i trafił dokładnie w to samo miejsce, z którego rozpoczął natarcie.

— Co on robi? — spytała dramatycznym szeptem dziewczyna, spoglądając rozszerzonymi oczami na Nika.

Rudzielec, zamiast odpowiedzieć, niebacznie wybuchnął śmiechem, czym sprawił, że cała złość Radka obróciła się przeciwko niemu.

— Dlaczego stoisz? — wydyszał z wściekłością. — Pomóż mi!

Nik zbliżył się i bez słowa pokazał mu niewielki przedmiot, który dotychczas trzymał w zaciśniętej dłoni.

— Widzisz? — spytał.

— Co: widzisz? Co: widzisz? — kipiał Radek. — Widzę, że znowu jesteś po ich stronie! Teraz kiedy moglibyśmy opanować statek... — zabrakło mu tchu.

Nik przybladł, wyprostował się i wydał pogardliwie wargi. Już wydawało się, że swoim zwyczajem powie przez nos coś takiego, po czym Radek będzie musiał natychmiast zmienić kierunek ataku, kiedy nagle twarz mu złagodniała.

— Wybaczam ci, bo jesteś oszołomiony, działałeś w dobrej wierze i nic jeszcze nie wiesz — rzekł łaskawie. — To jest kalkulator — wyjaśnił, unosząc wyżej dłoń, na której leżało maleńkie, prostokątne pudełeczko.

— Wiem, że kalkulator!

— Posłuchaj, co Nik chce powiedzieć — wtrącił przerywanym głosem Dauba. — Nie, nie, poczekaj! — zawołał prędko.

Nie wiadomo, czy Radek byłby skłonny poczekać — na dźwięk głosu fotonika od razu na nowo przybrał postawę bokerską — ale kolana nadal stanowczo odmawiały mu posłuszeństwa i po pierwszym złowrogim geście usiadł gwałtownie na podłodze, tuż przy nogach Anik.

— Zwariował! — krzyknęła dziewczyna odskakując przezornie do tyłu.

— Kto zwariował?! Odpowiadajcie wreszcie! — denerwował się w bazie O,Claha. — Halo, „Eta”! Co się dzieje?!

— Wszystko w porządku — odrzekł flegmatycznie Bysson. — Dzieci rzeczywiście są na pokładzie, ale dowiedzieliśmy się o tym dopiero przed chwilą. Rakieta prowadzi automatyczny pilot. Teraz przerywam na chwilę łączność.

Rzuciwszy okiem na wskaźniki, odszedł od pulpitu stanął w przejściu, ogarnął wzrokiem scenę, rozgrywającą się w głównej kabinie, skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „miałem rację, wszystko w porządku” — po czym najspokojniej w świecie oparł się o ścianę.

Nik, spoglądając to na swój kalkulator, to na Radka, zrobił jeszcze krok do przodu.

— Nie rozstaję się z nim — wskazał trzymany przedmiot. — Czy pamiętasz, jakim kursem lecimy?

— A cóż mnie obchodzi kurs... Jakim?

— Trzy, zero, zero, osiem — zdążył znowu wtrącić Dauba.
— Właśnie, trzy, zero, zero, osiem — powtórzył Nik. — Biorąc za podstawę pozycję bazy, łatwo obliczyć, że to jest bezpośredni kurs na K-1.
Radek osłupiał. To, co przed chwilą zważyło mu się na głowę, było widać cięższe, niż przypuszczał. Otworzył usta i potrzymał je jakiś czas otwarte. Następnie zamknął je z głośnym kłapinięciem. Być może ten dźwięk sprawił, że jego szare komórki podjęły przerwana pracę, ale jeszcze niezupełnie sprawnie.
— Akurat! — parsknął pogardliwie. — Myślicie, że wam uwierzę! Uciekacie na Ziemię albo na Marsa! A tymczasem ojciec Anik...
— Ani słowa więcej! — przerwał mu ostro Dauba. — To bardzo źle, że jesteście tutaj, ale byłoby jeszcze gorzej, gdybyśmy teraz mieli się jeszcze kłócić. Bezbłędnie odgadłeś kurs — zwrócił się do Nika, który odruchowo przybrał dumną postawę.
— Po prostu podsłuchałem, kiedy ustalaliście trasę i kiedy przekazywaliście informację bazie. Przy pomocy kalkulatora łatwo mi było sprawdzić, co to za kurs.
— W każdym razie spisałeś się na medal — stwierdził fotonik, po czym; skinął na Radka. — Chodź. Sam się przekonasz.
— Dokąd mam iść? — zachnął się chłopiec.
— Porozmawiasz z bazą.
— A może Anik pójdzie pierwsza — zaproponował milczący dotąd Bysson. — Kobietom należy się pierwszeństwo.
Na myśl o tym, że „kobieta” znajdzie się za chwilę w kabinie pilotów odcięta od niego i Nika, Radek skoczył jak oparzony. Kilkoma susami przebył korytarzyk i zatrzymał się dopiero przed pulpitem łączności.
— Co mam nacisnąć? — spytał.
— Kto chce coś nacisnąć? — zareagował natychmiast przez głośniki profesor Kuningas. — Po co? Przecież „Eta” leci wytyczonym kursem. I co to w ogóle za określenie: „nacisnąć”?
— Mikrofony są otwarte — dobiegł z tyłu głos Byssona.
— Wiem — mruknął wyniośle chłopiec.
— Co wiesz? Kto mówi? — dopytywał się kierownik bazy.
— Co wiem?... Aha, mówi Radek Olcha. Proszę o podanie kursu „Ety”.
— Kto?!
— Co?!
— Kursu? Jakiego kursu? Po co ci kurs? — zakrzy-czał całe towarzystwo profesor O,Claha.
— Powiedz lepiej, skąd się tam wzięłeś?!
— Wszedłem, zanim rakieta zdążyła wystartować — wyjaśnił główny spiskowiec. — A teraz podajcie mi ten kurs.
— Jak się czujesz? — nawet doktor Olcha pominął milczeniem oficjalne wezwanie syna. — A Anik? A Nik?
— Tato! — Radkowi głos wypłatał nagle figla, uciekając w najwyższe rejony gamy. — Jakim kursem lecimy?!
— Coś mu jest — stwierdził z zainteresowaniem Fufurya.
— Kurs „Ety”: trzy, zero, zero, osiem — spełnił wreszcie żądanie chłopca Kuningas. — Może mi ktoś łaskawie wyjaśni, o co właściwie chodzi?
— Wiem, że trzy, zero, zero, osiem — wyrzucił z siebie gorączkowo Radek — ale co to za kurs?
— Bezpośredni na K-1 — powiedział profesor Yaic. — Dlaczego się tak dopytujesz o kurs? Śledzimy wasz lot na ekranach. Zmierzacie najkrótszą drogą na naszą starą kometę.
Nastała cisza. Radek zobaczył nagle, że pulpit przed jego oczami zaczyna uciekać w górę, i zanim się spostrzegł, siedział już wygodnie w fotelu opuszczonym przez Byssona.
— Hej, jesteś tam?! — zaniepokoił się O,Claha.
— Jest, jest — odrzekł Dauba — tylko chwilowo przejął obowiązki pilota. Właśnie sprawdził kurs, a te-raz myśli — wyjaśnił.
— Jak to: pilota? — nie zrozumiał doktor Olcha. — A gdzie Bysson? Poza tym przecież prowadzi was komputer?

— Tak się dożyło — odrzekł wymijająco Dauba. — Teraz będzie mówiła Anik — zapowiedział.

— Halo! — zabrzmiał cienki głosik.

Radek odruchowo spojrzał w górę i ujrzał tuż nad sobą smagłą twarzyczkę i gruby, ciemnozłoty warkocz, który spływał wzdłuż szyi dziewczyny, dotykając oparcia fotela. Dopiero teraz zrozumiał, co się dzieje. Więc tamci naprawdę nie uciekają, tylko lecą po jej ojca. Sami, z własnej woli. Co im się stało? A może to jednak Fufurya albo Cox byli głównymi sprawcami nielegalnej wyprawy po purchawki? Może ci dwaj tutaj mieli dość współpracy z przestępcami i dlatego wymknęli się z bazy nic nikomu nie mówiąc? Zresztą mniejsza z tym. Najważniejsze, że niedługo będą na K-1. A on razem z nimi...

— Hura! — krzyknął nagle, zrywając się z fotela. Anik — która właśnie tłumaczyła Patt, że z ciekawości poszła za Radkiem, kiedy ten wybiegł z dyspozytorni, a potem, ciągle idąc jego śladem, wśliznęła się do rakiety — przerwała w pół słowa i wydała zduszony okrzyk:

— Och!

— Hura!

— Zwariował! Naprawdę zwariował!

— Za wiele wrażeń — rzekł ze zrozumieniem Nik. Ale Radek już się opanował. Zupełnie spokojnie zaczął mówić do mikrofonu:

— Usłyszałem w nocy przez radio, jak pan Bysson i pan Dauba rozmawiali o K-1. Potem zakradłem się na pole startowe, akurat wtedy, kiedy „Eta” wróciła... z lotu patrolowego — podkreślił pochwywszy spojrzenie młodego fotonika. — Domyśliłem się wszystkiego, a ponieważ Nik obiecał, że mi pomoże — tytnął porozumiewawczo na rudego — więc pilnowaliśmy pana Byssona. Skoro on wyszedł, my...

— ...poszłicie za nim, a za wami Anik — dokończył z bazy ojciec. — Bardzo sprytnie, choć niezbyt mądrze. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

— Naprawdę chciałem! — zapewnił Radek tym goręcej, że nie bardzo wierzył w to, co mówi.

Teraz dopiero jasno zrozumiał, że cokolwiek by powiedział na swoje usprawiedliwienie, od momentu kiedy odkrył tajemnicę Dauby i Byssona, minęło zbyt wiele godzin. Lecił wraz z innymi, by zbadać milczącą sondę, jadł śniadanie, ba, uczestniczył nawet w długiej zabawie przy „zielonej” ścianie. Gdyby bardzo chciał, mimo wszystko znalazłby sposób, żeby szepnąć ; ojcu do ucha kilka słów. Chciał, oczywiście, że chciał. Tyle tylko, że nie bardzo. A główną przeszkodą była tkwiąca w jego podświadomości nadzieja, że samemu uda mu się ocalić Piotra Jardin. W,styd...

— Chciałem — powtórzył szybko — ale jakoś się nie składało. Myśleliśmy... to znaczy, ja myślałem, że oni uciekają... Myślałem, że uda się odebrać im stery...

Nik, który słuchał dziwnie uważnie, zmienił się nagle na twarzy. Błady jak kreda wykrztusił:

— Radek jest wielkoduszny, ale naprawdę to było trochę inaczej. Ja początkowo... ja... — zająknął się. — Krótko mówiąc, obiecałem im, że nikomu nic nie powiem, jeśli dadzą mi lodowe kamienie. Tato — zniżył głos do szeptu — nie gniewaj się. Kiedy Radek zwrócił mi uwagę, że mogę, je dostać tylko kosztem pana Jardin, ja od razu... prawie od razu... ja...

Jakiś czas nikt nie odpowiadał, po czym z głośnika. dobiegło głębokie westchnienie.

— Zdaje się, że rozumiem — rzekł cicho Oleg Zadra. — Zresztą, to nieważne.

Najważniejsze, że ty rozumiałaś. Prawdopodobnie to nie było zbyt przyjemne. Myślę jednak, że nie zapomnisz tej nauki do końca życia, prawda?

— Tak.

— Więc dość o tym — w głosie sławnego podróżnika zabrzmiała ulga. — Teraz jesteście na pokładzie „Ety” i lecicie na K-1. Nie powinniście tam być, ale stało się. Trudno. Postarajcie się przynajmniej do czegoś przydać. I we wszystkim słuchajcie pilota. Czy na pewno czujecie się dobrze? — zmienił nagle temat.

— Poza mną — wmieszał się Dauba. — Po pierwsze, Radek chcąc mnie obezwładnić postużył się nogą Anik. Szarpnął ją tak, że zwała mi się na głowę. To znaczy, dziewczyna, a nie noga. Jemu, na szczęście tak

że, bo inaczej pewnie by mnie udusił. A po drugie — spoważniał — jak może się czuć człowiek, który popełnił takie głupstwo... Gorzej niż głupstwo. Namówiłem także Alana.

Pamiętajcie, że to tylko moja wina. On nie chciał. Poza tym to on postanowił lecieć po Piotra...

— Na razie myślcie nie o głupstwach — przerwał mu profesor Kuningas — tylko o ludziach. Po pierwsze, uratujcie Piotra, a po drugie, uważajcie na dzie... na pasażerów — poprawił się szybko. — Czy Anik chce jeszcze coś powiedzieć?

— Ja? — zdziwiła się dziewczyna. — Dlaczego? O czym?

— W takim razie koniec rozmów. Baza przejmuje kontrolę nad ekspedycją „Ety” — stwierdził oficjalnym tonem. — Odtąd będziemy się porozumiewać tylko z pilotem dalekiego zasięgu, Alanem Byssonem. Alan?

Minęła dłuższa chwila, zanim Bysson usadowił się na powrót w swoim fotelu i mógł wykrztusić przez zaciśnięte gardło:

— Słucham?

— Kurs?

— Bez zmian. Wszystkie urządzenia działają normalnie — pilot odetchnął głęboko i zaczął mówić przystojnie: — Automaty gotowe do operacji awaryjnego lądowania. Statek sprawdzony. Zapasy tlenu, wody i żywności w normie. Teraz przygotowujemy załogę.

— Słusznie, Alan.

— Czy Fufurya wiedział? — Radek nie mógł się powstrzymać, by nie zagadnąć szeptem stojącego obok Dauby.

Fotonik spojrzał na niego zdziwiony.

— Mig? Muszę mu to powiedzieć...

— Co powiedzieć? — zainteresowała się Anik.

Dauba zrobił łobuzerską minę.

— Radek prosił właśnie, żeby ci powiedzieć coś miłego.

Po rozmowie z Kuningasem młody fotonik doznał wyraźnej ulgi. Jak każdy człowiek, który nie zważając na ewentualne skutki, przyznał się do popełnionego błędu.

— Uważa, że to ci się od niego należy — ciągnął z uśmiechem — za użycie twojej kończyny w charakterze maczugi. Zauważył, zdaje się, przy okazji, że masz śliczne nogi. Co prawda mógł dokonać tego odkrycia wcześniej, ale lepiej późno niż wcale...

— Och! — wykrzyknęła Anik. Jej twarzyczka ściemniała. W oczach zamigotały gniewne iskierki. — Lata sam po kosmosie, plecie bzdury o warko... to znaczy, o tortach, urządza jakieś idiotyczne historie z bajkami, podsłuchuje, zakrada się do rakiet, zwała ludzi z nóg, mdleje, zatacza się, krzyczy... I taki chce wyruszyć do gwiazd! A w dodatku jest niegrzeczny dla kobiet — wyrecytowała jednym tchem.

Przez pierwszą część jej przemowy Radek stawał się wciąż mniejszy i mniejszy, natomiast przez drugą rósł i nadymał się. Kiedy Anik skończyła, jego klatka piersiowa przypominała nadmuchany balon.

— Sama jesteś niegrzeczna! — krzyknął. — Po co za nami laźłaś?! Skąd miałem wiedzieć, że to twoja noga? Takie... taka... — spojrzał na nieszczęsną przyczynę całej kłótni tkwiącą w nogawkach białego, obcisłego kombinezonu — taka noga! — dobrnął szczęśliwie do końca. — I nawet się nie ubrałaś!

— Nie miałam czasu włożyć skafan... Jak to: taka?! — zreflektowała się posiadaczka rzeczonyj nogi. — Bezczelność!

— Anik, Anik — przestraszył się Dauba, który dopiero teraz odzyskał mowę po wstrząsie, jakim było dla niego nagłe przeobrazenie się zawsze dotąd łagodnej pasażerki „Ety”. — Anik, przepraszam! Radek nic takiego nie mówił! Ja żartowałem.

— Ładne żarty — obruszyła się dziewczyna. — „Taka”... — powtórzyła z przekąsem.

Chłopiec pożałował swojego wybuchu. Ten elastyczny pionowy słupek, którym chciał ogłuszyć Daubę... Mimo woli obrzucił pełnym żalu spojrzeniem rzeczywiście śliczne, smukłe nogi dziewczyny i nagle przeraził się. Przecież mógł jej coś zrobić.

— Noga cię nie boli? — spytał. Anik zachnęła się.

— Przestań wreszcie o tych nogach! — parsknęła.

— Ja tylko o jednej — usprawiedliwiał się chłopiec. — Przepraszam, że się uniosłem. A wtedy myślałem tylko o tym, że trzeba polecieć na K-1, i chciałem uderzyć pana Daubę nogą... to znaczy, właściwie nie wiedziałem czym... I naprawdę nic mu nie mówiłem o twoich no...

— Nie! — wykrzyknęła dziewczyna, zatykając sobie palcami uszy. — Jak jeszcze raz ktoś powie słowo: „noga”, to nie odpowiadam za siebie!

— Przepraszam — powtórzył pokornie chłopiec.

— Zarządzam przegląd załogi — zakomenderował w tym momencie Bysson przerywając dyskusję na temat no... no, tak. W każdym razie przerwał ją w porę. — Badanie lekarskie, sprawdzenie skafandrów i osobistego wyposażenia. Stan zapasów energetycznych pistoletów gazowych, sygnalizatorów, centralek łączności. Najpierw Anik, potem Radek i Nik. Na końcu Witold i ja. To wszystko.

Głośnik umilkł. Od dobrej chwili baza przestała się odzywać. Uczeni odbierali sygnały namiarowe „Ety”, obserwowali jej lot i to im musiało wystarczyć. Kiedy statek wylądował na komecie i tak nic nie będą mogli pomóc.

Stanowisko medyczne znajdowało się w rogu nawiga-torni. Radek, siedząc w fotelu, z luźną opaską na głowie, obserwował, jak na ekranikach aparatury diagnostycznej pulsują pastelowe światełka, wiją się świetliste linie, przeskakują cyferki. Przewody — podłączone do opaski — informowały specjalną sekcję komputera o wszystkim, co dzieje się w jego organizmie.

— Zdrowy! — Dauba powtórzył na głos orzeczenie maszyny. — Następny!

Radek ustąpił miejsca Nikowi, sam natomiast podszedł do specjalnej ściennej skrytki, w której właśnie ukazały się trzy kolorowe kuleczki. „Pewnie coś na wzmocnienie” — pomyślał łykając posłusznie pigułki. Przecież jak zdrowy, to zdrowy.

Sprawdzenie skafandrów i osobistego ekwipunku trwało nieco dłużej, w sumie jednak nie minęło dwadzieścia minut, a cała grupka była już z powrotem w kabinie pilotów.

Widok na ekranie zmienił się. Na obrzeżach panoramicznej tarczy nadal tłoczyły się gwiazdy, ale pośrodku widniała duża, spłowiała plama otaczająca niewielką bryłę, z której wybiegały świecące smugi. Zupełnie jakby ktoś niedbale pozamiatał złocisty proszek rozsypa-ny na czarnogranatowej posadzce.

Radek od razu domyślił się, że ta bryła to cel ich podróży. Widział go już wcześniej. Ten kawałek złotego pierścienia, który mignął na ekranie, kiedy chłopiec ukrywał się jeszcze za drzwiami kabiny pilotów, to także była K-1. Jakże inaczej wygląda teraz...

— Warkocz — szepnął Nik. — Już świeci.

— Warkocz — przytaknął równie cicho fotonik. — Z Ziemi wygląda zapewne pięknie. Dla nas jest złowrogi.

— Złowrogi... — powtórzyła jak echo dziewczyna. Radek wzdrygnął się mimo woli. „Musimy zdążyć — pomyślał zaciskając zęby. — Musimy”. Nik przełknął głośno ślinę.

— Kiedy będziemy na miejscu? — wychrypiął.

— Mniej więcej za półtorej godziny — Dauba zerknął na wskaźniki. — Wylądujemy w połowie drogi między terenem dawnej stacji a posterunkiem.

— Dlaczego? — spytała natychmiast Anik. — Czy nie lepiej od razu?

— „Eta” jest ciężka, a przy tym podczas normalnego lądowania rozgrzewa grunt odrzutem dyszy napędowych. Widzieliśmy, do czego są zdolne te lodowe kamienie, kiedy zaczyna im być ciepło. Nie możemy do-

datkowo narażać ani Piotra, ani siebie, bo gdyby nam coś się stało, sama rozumiesz... —

Odchrząknął, potrząsnął energicznie głową, jakby odganiał ponure myśli, po czym mówił dalej:

— Pojedziemy łazikiem. Jego na pewno utrzyma powłoka K-1, nawet w tych miejscach, gdzie będzie już trochę grząsko. Poza tym on nie po-drażni purchawek.

— Zmieścimy się wszyscy? — spytał szybko Nik.

— Wy zostaniecie w statku — zawyrokował Bysson. — Jesteście bardzo dzielni, ale tam trzeba mieć doświadczenie. Każdy fałszywy krok może się skończyć katastrofą. Będziecie utrzymywać łączność z nami i z bazą. To i tak dużo.

— Przecież ja wziąłem kamerę! — zawołał z rozpaczą syn autora pasjonujących podróżniczych filmów. — Ojca na pewno zabralibyście z sobą.

— Kamerę? — Dauba spojrzał na niego z zaciekawieniem. — Gdzie ją masz?

— Tutaj! — rudy poklepał się ostrożnie po brzuchu, gdzie jego skafander wzdymał się tworząc spiczasty wzgórek. — To co? Weźmiecie mnie?

— Niestety, nie — odpowiedział ze szczerym żalem fotonik. — Zdjęcia byłyby na pewno wspaniałe, tylko... widzisz, tam będziemy mieli bardzo mało czasu.

— Myślałam, że ja też wejdę do posterunku — szepnęła zdławionym głosem Anik. — Ale dobrze, zostanę.

Odwróciła się tak, żeby Dauba nie mógł widzieć jej oczu, które zaszyły mgłą.

Bysson sięgnął nagle do pulpitu i przesunął jakąś rączkę. Kometa z jej złowrogim warkoczem zniknęła z ekranu, natomiast w dolnym lewym rogu zaczął pulsować jaskrawym światłem mały trójkącik.

— Co to...

— Cicho! — przerwał Nikowi fotonik.

Przeskoczył oparcie fotela i usiadł obok Byssona.

Przebiegł wzrokiem czujniki, po czym rzucił do mikrofonu:

— Uwaga, baza! Na torze „Ety” niewielki meteor. Zwalniamy.

— Widzisz go już na radarze? — głos profesora Kuningasa był odrobinę zniekształcony.

W miarę oddalania się rakiety od Neptuna łączność głosowa ulegała coraz większym zakłóceniom.

— Tak. Jest blisko.

Radek pochylił się i szepnął Daubie do ucha:

— Czy warto zwalniać dla zwykłego meteoru? Przecież tak nam się śpieszy.

— To nie jest zwykły meteor — mruknął fotonik wpatrując się w ekran.

Przeszkoda przypominała teraz małą pastylkę. Rzeczywiście jak na meteor — zawalidroga miał dziwnie regularną postać.

Bysson wyprostował się raptownie.

— Wodór, amoniak, azot — odczytywał na głos z tablicy analizatorów. — Węgiel. Cząstki aminokwasów, ssasad purynowych, pirymidynowych, węglowodanów...

— Alan! — buchnął z głośnika okrzyk O,Clahy. Matematyk nie powiedział nic więcej, ale pilot zrozumiał.

— Tak — potwierdził. — To samo.

— Purchawki! — zawołał Radek.

— Lodowe kamienie! — zawtórował po swojemu Nik.

— Co to znaczy? — przestraszyła się Anik. — Czy one przyleciały tutaj z komety?

— Jeśli już, to nie purchawki, lecz purchawka — powiedział Dauba. — Przyjrzyjcie się.

Teraz widać do-kładnie.

— Pojedyncza bryłka? — upewniał się z bazy Ku-ningas.

— Tak — uspokoił go Bysson. — Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Skąd się tutaj wzięła? — zwrócił się do Anik. — A któż to może wiedzieć. Przecież i na K-1 ich obecność jest zupełną zagadką. Ale nie bój się, gdyby w rejonie posterunku nastąpiła eksplozja, wszystkie kamyczki uległyby zniszczeniu. One wybuchają. Ten z pewnością przybywa skądinąd.

— Bysson, co chcesz zrobić? — spytał profesor Yaic.

— Nic — brzmiała odpowiedź. Na ekranie pigułka zmieniła się w lekko zniekształconą piłeczkę pingpongową.

— I to ma być żywe? — mruknął z niedowierzaniem Radek.

— Nie w potocznym znaczeniu tego słowa — przypomniał Dauba. Zastanowił się przez chwilę, po czym spojrzał niepewnie na Byssona. — Jak myślisz, czy ona też nadaje? — bąknął z wahaniem.

Pilot potrząsnął niechętnie głową, ale poruszył jakąś gałkę w pulpicie łączności,

Ze ścian kabiny wypelzły falujące leniwie zjawy. Jakże bardzo zmienione w porównaniu z tym, co Radek zapamiętał z pierwszej wizyty na K-1. Zamiast tańczących dziko tarcz, błyskawic i jaskrawych linii — przed jego oczami poruszały się teraz smętne, wypłowiałe pasemka podobne do roślin wodnych, jakieś bezkonturowe cienie czy gasnące w oddali ślady światła. Jeśli to naprawdę kosmos, jak mówił ojciec, opowiadał ludziom za pośrednictwem purchawek swoje bajki, to obecnie te bajki stały się bardzo smutne.

Równocześnie z obrazami pojawiła się muzyka. I ona nie przypominała w niczym rozszalałego oceanu dźwięków, które tam, na komecie, budziły w słuchaczach taką grozę, ale również mimowolny podziw. Tutaj odzywało się ciche pośpiewywanie, przechodzące chwilami jakby w delikatne dzwonienie. Jednak i te głosy zamie rały z wolna, pozostawiając tylko jedną drżącą nutę, która brzmiała już nie smutnie, a wręcz rozpaczliwie.

— To jest śmierć — powiedział cicho Dauba. Radek wzdrygnął się uderzony trafnością tego

sposprzeżenia. Równocześnie przyszło mu na myśl, że tam, gdzie jest śmierć, przedtem musiało być życie, choćby obce, niezrozumiałe dla mieszkańców Układu.

— Śmierć? O czym wy mówicie? — przez smętne pośpiewywanie przebił się głos profesora O,Clahy.

— Nic, nic — ocknął się fotonik. — Ten meteor nadaje taki cichnący świergot. To mimo woli kojarzy się z umieraniem.

— Bzdury! — oburzył się O,Claha. — Anteny też grają na wietrze, a kiedy ten ustaje, cichną i nikomu nie przyjdzie na myśl, że umierają. To zupełnie jakbyś powiedział, że trąba ginie z rozpachy, kiedy przestajesz w nią dmuchać.

Alan Bysson zdecydowanym ruchem przekręcił gałkę łączności. Kabina pilotów stała się znowu jasna i cicha.

— Zmiana kursu — rzucił komputerowi. — Omiń obiekt, który znajduje się na naszej trasie, i wróć na trzy, zero, zero, osiem.

Nikt nic nie powiedział. Radek pomyślał tylko, że tym razem rację ma nie O,Claha, lecz Dauba. Jednak żeby to zrozumieć, trzeba być tutaj, widzieć i słyszeć to, co oni. Baza nie otrzymywała retransmisji żałobnej pieśni samotnej purchawki.

— Lecimy dalej? — spytała Anik.

— Tak — rzekł krótko Bysson, nie odwracając się od pulpitu.

— Zostawiamy ją tutaj? — mruknął Nik. — Szkoda. Dauba odwrócił się gwałtownie.

— Żałujesz? Moglibyśmy wysłać sondę i sprowadzić na statek tę pigułę — powiedział chrapliwym głosem. — Zajęłoby nam to około dziesięciu minut. Sądzisz, że warto?

Radek wstrzymał oddech i spojrzał badawczo na rudego. Ten milczał jakiś czas, po czym przymknął oczy, jakby się bał, że zdradzi go ich wyraz.

— Nie — szepnął. — Nie — powtórzył z samozaparciem. — Nie warto.

— Na pewno nie warto — Dauba miał zupełnie zmienioną twarz. — Widzisz, ja także bardzo chciałem mieć te kamienie. Co prawda nie jestem zbieraczem, ale poszukuję nowych paliw, nowych rodzajów energii. Chcę budować silniki, które kiedyś pozwolą latać ludziom szybciej od światła. Przybyłem do bazy Instytutu Galaktycznego na Neptunie z Ośrodka Wielkich Szybkości na księżycu Saturna i kiedy dowiedziałem się o tych grających kamieniach, postanowiłem zbadać je za wszelką cenę. Namówiłem Byssona, żeby mi je przywiózł. Myślałem, że taka nie znana naszej nauce substancja może mi pomóc w dokonaniu wiekopomnego wynalazku. Nie mogłem ich sprowadzić legalnie, bo nie pozwalają na to przepisy bezpieczeństwa. Chodzi o najrozmaitsze świństwa, kosmiczne wirusy i inne rozwijające się żywiłowo formy życia, które można by przypadkiem zawlec w zamieszkane miejsca Układu. Zanimbym dostał purchawki drogą legalną, musiałyby być przedtem bardzo dokładnie zbadane... przez innych. Rozumiesz? Tak właśnie pomyślałem: „za wszelką cenę”. Okazało się, że byłem głupi. Dlatego teraz lecę na K-1, a potem pewnie już nigdy nie opuszczę Ziemi. Ale jeśli czegoś żałuję, to nie lodowych kamieni, lecz tego, że naraziłem Byssona i Piotra.

— Proszę się nie martwić — szepnęła Anik. — Tato na pewno nie wzięłoby panu tego za złe. On często się narażał, jeśli coś go zainteresowało.

— Siebie — podchwycił gorzko Dauba. — Siebie. Nie innych.

„A więc to jednak fotonik był głównym winowajcą” — pomyślał Radek.

Młody, zdolny naukowiec, cieszący się znakomitą opinią i przez wszystkich lubiany. Dziwne. Ojciec nie raz i nie dwa mówił o odpowiedzialności uczonego. Jak to się mogło stać, że Dauba zapomniał o Układzie, o ludziach, aby tylko osiągnąć swój cel? Nik także początkowo pamiętał jedynie o swojej wielkiej pasji, ale Nik ma piętnaście lat! „Cóż — zakonkludował w duchu chłopiec — widać Cox nie przesadzał mówiąc o tych potworach, które mieszkają w umysłach ludzi i choć milczą od setek lat, to przecież w pewnych okolicznościach mogą się obudzić i przemówić, a nawet zaryczeć”.

Jednak ze wszystkiego, co powiedział przed chwilą fotonik, najsilniej utkwiły mu w pamięci słowa: „namówiłem Byssona”. Tylko tyle? Więc pilot dalekiego zasięgu dał się tak po prostu namówić na potajemny lot, lądowanie na K-1, zabranie purchawek i przywiezienie ich do bazy, gdzie mogły zagrozić ludziom?

Niemożliwe. Bysson musiał mieć jeszcze jakieś swoje powody, żeby tak postąpić. „Trzeba to będzie wyjaśnić” — postanowił.

— Kurs trzy, zero, zero, osiem — zameldował pilot.

— Dobrze — ucieszył się z bazy profesor Kuningas. — Ominęliście to paskudztwo, prawda? No, to teraz naprzód. Powodzenia! Nie będziemy się już odzywać. I tak za chwilę przestalibyście nas słyszeć, łączność z minuty na minutę jest coraz gorsza.

Miał rację. Słowa płynące z głośnika były już ledwo zrozumiałe.

Minęła godzina. Plama na ekranie od dawna przeobraziła się w ciało niebieskie, którego powierzchnia wypełniała teraz całe pole widzenia specjalnie ustawionych kamer „Ety”. Rakieta zatoczyła ostry łuk i zaczęła podchodzić do lądowania.

— Hamownice! — rzucił Dauba.

Z dziobu trysnęły smugi ognia. Statek zadygotał. Z rezerwowych foteli, w których usadzono trójkę nadprogramowych pasażerów, dobiegło melodyjne dzwonienie zębów.

— Sstrrasznne wi-i-i-bracje — poskarżył się Nik. Jego narzekanie przeszło jednak bez echa.

— Posterunek! — krzyknął Dauba.

Radek uniósł głowę i spojrział w ekran. Rzeczywiście, „Eta” przelatywała właśnie nad kopułką, w której spoczywał „śpiący królewicz”. Kiedy obraz posterunku urósł do rozmiarów dorodnego jabłka, Bysson i Dauba porozumieli się oczami.

— Anteny — mruknął fotonik.

— Uhm...

Radek nastawił uszu, ale nie powiedzieli nic więcej. Domyślił się jednak, że zobaczyli coś, co ich poruszyło. Rakieta mijała już placyk z purchawkami i podstacją. W ostatnim- ułamku sekundy chłopiec zauważył, że z jej kopuły sterczą wysokie, ażurowe konstrukcje. Nie było ich, kiedy obserwował posterunek z kabiny śli-maczka. Naraz przypomniał sobie, co mówili uczeni w bazie, kiedy sondzie wysłanej na K-1 nie udało się nawiązać kontaktu z ojcem Anik. Że Piotr, jeśli jeszcze nie śpi, powinien rozbudować swój nadajnik. A przed chwilą Dauba wspominał o antenach.

— Anteny? — zawołał. — A więc pan Jardin jednak przerobił nadajnik! Dlaczego w takim razie nie nawiązał łączności z bazą?

— Ciii! — syknął fotonik, zerkając ze strachem na

Anik. — Może wszedł do hibernatora, zanim ta sonda tutaj dotarła. W każdym razie — dodał szybko, słysząc stłumiony okrzyk, który wyrwał się z piersi dziewczyny — mamy jeszcze jedno potwierdzenie, że podczas katastrofy stacji Piotrowi nic się nie stało, skoro mógł potem rozbudować anteny... A teraz spokój. Łądujemy!

— Lądowanie awaryjne! — polecił komputerowi Bysson. — Zatrzymanie rakiety w przestrzeni na wysokości powierzchni gruntu.

— Co? — spytał bezwiednie Nik.

— Tak się to fachowo nazywa — odpowiedział równie machinalnie Radek. — Nie będziemy siadać w pionie, na słupie ognia, tylko po prostu zatrzymamy się tak, żeby bokiem statku osiąść na K-1. Oczywiście, w ten sposób nie można lądować w atmosferze.

— Przecież wiem! — zirytował się rudy.

— Tatuś... — szept Anik sprawił, że chłopcy umilkli.

Syn i towarzysz słynnego podróżnika, który przed chwilą swoim niebacznym: — Co? — naraził się na to, że ktoś miał czelność jemu tłumaczyć elementarne zagadnienia nawigacji, chrząknął z zakłopotaniem, po czym sprawdzwszy dłoń, czy jego rude włosy są dostatecznie gładko ulizane, powiedział zaskakująco miękким głosem:

— Anik, powinnaś włożyć kask. Nie wiadomo, co się może zdarzyć. I... tego — zająknął się — bądź spokojna. Najgorsze mamy za sobą. Pomyśl, skoro mimo wszystko przylecieliśmy tutaj, to już na pewno uratujemy twojego ojca.

Anik nie włożyła kasku, ale popatrzyła na Nika z taką wdzięcznością, że Radek od razu spochmurniał. Humor jeszcze mu się pogorszył, kiedy odkrył, że jego sąsiad ma niedwuznacznie czerwone policzki. W innych okolicznościach ten przejaw ludzkich uczuć ze strony sztywnego chudzielca byłby go może i ubawił, a nawet rozbroił, teraz jednak wzbudził w nim tylko falę niedorzecznego rozdrażnienia i jeszcze mniej zrozumiałego protestu.

Podchwycił nagle kątem oka spojrzenie Anik i zdał sobie sprawę, że dziewczyna bezbłędnie odczytała z jego twarzy to, czego stanowczo nie powinna była odczytać. Świadczył o tym uśmiezek, który przemknął po jej wargach. Trwał ułamek sekundy i właściwie mógłby być tylko niemiłym przywidzeniem, ale nim nie był. Uśmiechać się w takiej sytuacji! „Kobieta” — powiedział sobie w duchu z gorzką ironią.

Dalsze refleksje na ten temat przerwał mu głos Byssona:

— Wysokość trzy... dwa...

— Uwaga! — rzucił Dauba.

— Zero!

— Automaty! Przygotować się do startu awaryjnego!

Poculi lekkie drgnięcie potężnego cielska „Ety”, a potem dziwny, stłumiony odgłos, jakby jakiś ukryty we wnętrzu komety olbrzym odetchnął z ulgą. Rakieta osiadła na K-1.

— Właz otwarty — mówił Dauba śledząc poruszenia czujników. — Dwa aparaty pomiarowe są już na zewnątrz.

— Grunt?

— Trzyma. Na razie...

Kamery były teraz skierowane na powierzchnię i pokazywały teren otaczający statek. Na ekranie ukazały się dwa automaty, które manewrując laserowymi świdrami, pobierały próbki gruntu. Bysson siedział lekko przechylony do przodu, nie spuszczając dłoni z pulpitu sterowniczego. Był gotów w ułamku sekundy poderwać raketę, gdyby miejsce wybrane do lądowania okazało się niepewne.

Radek nerwowo otarł pot z czoła. Obok niego Nik, nie wiadomo dlaczego, zagadkał krótko i umilkł jak przestraszona kura. Tylko Anik trwała bez ruchu. Mimo powagi chwili i niedawnego wzburzenia wywołanego względami, jakie okazała rudemu, Radek nie mógł nie zauważyć, że z pobladałą twarzą, rozszerzonymi z napięcia niebieskimi oczami i rozchyłonymi ustami wygląda jak marzenie.

— Trzyma — powtórzył z lekkim zdziwieniem Dauba.

— Trzyma — przytaknął Bysson. Chwilę czekali, czy czujniki nie podniosą alarmu, ale nic się nie stało. Wtedy fotonik spytał cicho:

— Stawiamy?

— Nie ma na co czekać. Musimy być przygotowani do startu. My albo ci, którzy tu zostaną... — mruknął w odpowiedzi pilot.

— Uwaga, automaty! Uruchomić windy! Postawić raketę do pionu!

Chwilę później kabina zaczęła powoli zmieniać położenie.

— Bezpieczniej byłoby leżeć na boku, bo ciężar statku rozkłada się wtedy na większą powierzchnię, ale w razie czego nie moglibyśmy szybko wystartować — wyjaśnił Dauba powód ostatniego manewru. — Temperatura stale rośnie. Kiedy wrócimy z Piotrem, nie będziemy mieli sekundy do stracenia. Poza tym gdy nas nie będzie, wy także musicie mieć możliwość błyskawicznego opuszczenia tego miejsca.

— Jak to?

— Sami?

Rakieta stała pionowo. Dauba i Bysson zaczęli się przygotowywać do wyjścia.

— Sami — przytaknął fotonik. — Jeśli warunki pozwolą, wylądujecie gdzie indziej... bardzo ostrożnie. Potraficie?

— Sądzę, że tak — odpowiedział poważnie Nik.

— Ale...

— Nie ma żadnego „ale” — przerwał Radkowi Bysson. — Polecenie przyjęte?

Chłopiec wyprężył się odruchowo. No tak, ostatnie słowo należy do pilota. A teraz przyszła kolej na najtrudniejszą część operacji.

— Tak.

— Więc usiądźcie tutaj — Bysson wskazał ruchem głowy fotele przed głównym pulpitem. — Anik będzie utrzymywać łączność. Stąd macie niezły widok — zerknął na ekran. — W razie jakichkolwiek niepokojących sygnałów startujcie natychmiast. Lepiej, żebyśmy wrócili i was tu nie zastali, niż gdybyśmy wszyscy stracili statek, a razem z nim możliwość opuszczenia K-1. Będziemy przecież w kontakcie radiowym. Jeśli zmienicie miejsce postoju, zawiadomcie nas, gdzie was szukać. Nie zostajecie tak zupełnie sami, w momencie poważniejszej awarii pojawi

się przy was automat uniwersalny. Jasne?

— Miejmy nadzieję, że nic się nie stanie — rzucił na pocieszenie Dauba, kierując się do drzwi. — Jednak w kosmosie trzeba umieć przewidywać nawet najgorsze ewentualności. No, do widzenia!

Odwrocił się i zniknął w przejściu prowadzącym do służby. Bysson siedł tuż za nim.

Minęło pół minuty.

— Jada — rzekł Radek patrząc w ekran. Teraz kiedy rakieta stała pionowo, kamery przekazywały krajobraz komety od podnóża statku aż po kres horyzontu. W dolnej części ekranu ukazał się łaźnik poprzedzany dwoma snopami światła swoich reflektorów. Chwilę później skrył się za pierwszym lodowym pagórkiem.

W głośniku coś zatrzeszczało i usłyszeli nieco zachrypły głos Byssona:

— No, jak tam?

— W porządku — odpowiedział Nik.

— Stale obserwujcie czujniki. Nie odrywajcie oczu od tablicy.

— Dobrze.

Na ekranie znowu ukazały się światła łaźnika. Przebył szybko łagodną przełącz między dwoma wzniesieniami i ponownie utonął w mroku.

Radek uniósł głowę i poszybował wzrokiem ku zaokrąglonej linii horyzontu. Tam był ojciec Anik. Śpiący królewicz czekający na swoich rycerzy. Dziwne, jak. czasem głupia bajka potrafi przyczepić się do człowieka i podsuwać mu niedorzeczne myśli. Ale to, co teraz rozgrywa się na przybywającej z głębi kosmosu kometce, nie jest bajką. Nie jest bajką, choć będzie się o tym opowiadać jak o najbardziej fantastycznej i barwnej przygodzie. Oczywiście, jeśli wszystko skończy się:

dobrze.

— No, jak tam? — odezwał się znowu głośnik.

— W porządku — odpowiedział tak samo, jak poprzednio Nik.

— U nas też — wtrącił Dauba. — Za piętnaście minut będziemy na miejscu. Zabawimy tam jakieś pół;

godziny... Za godzinę przygotujcie bramę triumfalną..

— Obserwujcie czujniki — przypomniał sucho Bysson.

Fotonik umilkł.

„Bramę? — zdziwił się w duchu niezbyt przytomnie Radek. — Bramę... Aha, to oczywiście żarty. Chce nam dodać otuchy. Bramę...” — powtórzył po raz trzeci i w tym momencie w jego mózgu otworzyła się ja-

kaś klapka. Brama! Wejście! Przecież Bysson i Dauba nie znają hasła, które trzeba podać komputerowi Piotra Jardin, aby otworzył właz, wpuścił przybyszów i obudził śpiącego w hibernatorze uczonego! Nikt nie zna tego hasła! Co będzie?

— Cicho — mruknął ni stąd, ni zowąd Nik.

— Przecież nikt nic nie mówił? — zauważyła zdumiona Anik.

— Ja myślałem o lodowych kamieniach... — Nik, manewrując przy centralce łączności, nastawił odbiornik na pasmo, które upodobały sobie purchawki, jednak w kabinie nie odezwał się żaden tajemniczy głos. Cofnął gałkę skali do poprzedniego położenia, ale Bysson i Dauba także milczeli.

U góry ekranu niebo rozjaśnione było blaskiem dalekiej łuny. Dla tych, którzy obserwowali zjawisko z Ziemi lub innych zasiedlonych planet, K-1 ciągnęła za sobą piękny, złocisty warkocz. Tutaj ten warkocz był niewidoczny jak sztylet ukryty w czarnej aksamitnej pochwie. Złowrogi warkocz...

Raptem statek drgnął i zakołysał się gwałtownie. Radek przymknął na moment oczy, przekonany, że ulega złudzeniu, ale kiedy je otworzył, tam gdzie jeszcze przed chwilą na ekranie było niebo, teraz widniał szary, lodowy grunt. Równocześnie kabinę wypełniła lawina dźwięków — natarczywy jęk sygnalizatora alarmowego, zduszony okrzyk Anik, przeraźliwe trzeszczenie głośnika, wołanie Nika, który próbował wydać jakieś polecenia komputerowi. Nagle Radek zdał sobie sprawę, że to nie kometa skacze w przestrzeni jak żaba, tylko ich statek przechyliła się na bok.

Bez namysłu uderzył palcami w czerwoną płytkę z napisem start i wrzasnął:

— Kaski! Włóżcie kaski! Startujemy!
Ujrzał, że Nik schyla się i z trudem, balansując ciałem, podaje Anik przezroczysty próżniowy hełm, a następnie rzuciła mu się w oczy obłąkańcza gra światełek w okienkach czujników. Zaraz potem czaszkę przewiercił mu głuchy świst przechodzący w ogłuszające wycie, do którego wmieszały się odgłosy pękających dźwigarów i dartej stalowej blachy. Zrozumiał, że „Eta” nie wystartuje. Za późno uruchomili zespoły awaryjne lub też grunt ustąpił tak szybko, że automaty nie zdążyły na czas zareagować.

Przez ekran przewaliły się bryły szarej masy, poczuli wstrząs, od którego zajęczały wszystkie spoiny kosmicznego kolosa, w kabinie zrobiło się zupełnie ciemno. Pogasły nawet sygnalizatory. Ostatnie uderzenie, ostatni tępy grzmot i... nagle nastąpił zupełny spokój. Za drzwiami jeszcze coś szurało, gdzieś w dole odzywały się głuche stęknienia, ale tego nie słyszał już nikt z obecnych na pokładzie.

Sezamie, otwórz się!

— Nic z tego — westchnął profesor Kuningas zdejmując dłonie z pulpitu łączności. — Kompletna cisza.

Patt wydała zdławiony jęk i odwróciła się twarzą do ściany.

— Wystartowali czy nie? — zapytał nerwowo O,Claha. — Chłopiec mówił, żeby włożyli kaski. Zachował przytomność umysłu.

— Nie wystartowali — odrzekł błąd jak kreda Oleg Zadra. — Z przestrzeni od razu nawiązałyby z nami łączność.

— Więc co się stało? — Black Rondell załamał z rozpaczą ręce.

Profesor Yaic zmarszczył swoje krzaczaste brwi tak, że utworzyły jedną nastroszoną kępkę, jakby przyklepioną pośrodku czoła.

— Pewnie grunt osunął się pod statkiem — powiedział z wahaniem — i mają uszkodzone anteny. Ale sama rakietka mogła ocaleć. Przecież to latający bunkier.

— Na pewno ocalała — przytaknął nadrabiając miną Buddy Cox.

Doktor Olcha spojrział na niego jakoś dziwnie, ale nie odezwał się ani słowem. Za to Fufurya zamrugnął szybko oczami i warknął:

— Lepiej byś milczał! Gadasz byle gadać! Przez chwilę było cicho jak makiem zasiał.

— Może przynajmniej moja rakietka ocalała — odezwał się wreszcie Oleg Zadra. — Ma... to znaczy, miała pełne zbiorniki tlenu i wody. Zapasu energii powinno wystarczyć na kilka lat. Gdyby udało im się do niej dotrzeć...

— Jeśli grunt K-1 nie utrzymał „Ety”, to i twój statek jest już do niczego — ostudził go Kuningas. — Cóż, może to naprawdę tylko anteny — rzekł bez przekonania. — Swoją drogą, taki pech! Miliony wielkich rakiet krążą po Układzie Słonecznym, zbudowaliśmy całe latające miasta, a teraz kiedy liczą się sekundy, siedzimy zamknięci w tej bazie jak nasi praprzodkowie w swojej skalnej jaskini.

— Cudowna lampa Aladyna! — wykrzyknął nagle ni w pięć, ni w dziewięć Baś.

Fufurya machnął wściekle ręką, a ojciec powiedział:

— Bartoszu...

Tylko Black Rondell uśmiechnął się smętnie.

— Tak. To bardzo ładna bajka — rzekł łagodnie. — Ale dlaczego właściwie przyszła ci na myśl akurat cudowna lampa Aladyna?

— Bo tam jest latający zamek! — wyjaśnił Baś nie zrażony ojcowskim napomnieniem. — Cały, wielki zamek!

— Teraz nie czas na bajki... Co? Latający zamek? Zaraz... chwileczkę... — na czole O,Clahy pojawiła się nagle głęboka bruzda.

— Latający zamek? — podchwycił Rondell. — Wiecie co...

— Cicho!!! Cicho!!! Cicho!!! — w uczonej grawito-niku obudził się dawny Fufurya. —

Byłem zły! Błąd! Pomysł!

Doktor Olcha zerwał się na równe nogi.

— Zdaje się, że wszystkim nam równocześnie przyszedł do głowy ten sam pomysł — rzucił podniecony. — I to dzięki Basiowi.

Uśmiechnął się do syna, ale zaraz spoważniał i spojrział pytająco na profesora Kuningasa.

— Czy to się może udać?

Uczony zagryzł wargi i zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie skinął powoli głową.

— Energii mamy dość — zaczął półgłosem. — Na dobrą sprawę wystarczy zmienić ustawienie dyszy napędowych. To poważna przeróbka... ale możliwa. Aż wstyd — ciągnął z ożywieniem — że dotąd siedzieliśmy beczynnie, czekając na pomoc z zewnątrz. To pewnie dlatego, że nikt dotychczas nie posługiwał się do takich celów wielką stacjonarną bazą. Okazuje się, że w pewnych sprawach, szczególnie tych, które nie dotyczą naszego zawodu, posługujemy się jednak czasem stereotypami myślowymi. Byłby to jeszcze jeden pionierski eksperyment. Oczywiście, trzeba przeprowadzić dokładne obliczenia. Gdyby się okazało, że warto podjąć próbę, musielibyśmy od razu zawiadomić statki, aby zmieniły kurs.

— A potem ofiarować Basiowi najpiękniejszy bukiet kwiatów — rzekł triumfalnym tonem Black Rondell. — Zawsze mówiłem, że...

Gruby chemik nie zdołał jednak dokończyć tego, co mówił zawsze, bo w tym momencie profesor Yaic zadał pierwsze pytanie komputerowi. Na ekranie ukazały się skomplikowane wykresy i liczby.

Radek odetchnął głęboko i usiłował unieść powieki. Zamiar okazał się niewykonalny, spróbował więc przestrzec sobie oczy palcami. Te trafiły jednak na twardą, gładką ściankę. „Aha, kask” — stwierdził w duchu,

Pamiętał mgliście, że niedawno ktoś, może on sam, mówił coś o kasku, ale absolutnie nie mógł sobie przypomnieć momentu, kiedy ten pojawił się na jego głowie. W następnej chwili uprzytomnił sobie ze zdumieniem, że oczy ma szeroko otwarte, a jeśli nic nie 'widzi, to ani kask, ani stukające o niego palce nie mają z tym nic wspólnego. Po prostu jest ciemno jak w grobie.

— Idiotyczne porównanie — powiedział na głos. Ponieważ ten głos zabrzmiał, jakby należał do kogoś innego, zaczął gorączkowo przesuwać dłońmi po swoich ramionach, brzuchu, nogach. Skoro coś pozbawiło go jego własnego głosu, to może w ogóle nie ma już ciała? Ciało jednak było na miejscu i dawało o tym znać występującymi tu i ówdzie ukłuciami bólu, a także jakimiś niedorzecznymi drgawkami, to prawie-go kolana, to palców u nóg, to wreszcie skóry na policzkach. "Dobrze, dobrze — pomyślał mgliście. — Zobaczymy, kto kogo..."

Podciągnął nogi i usiadł. Pocztał, że zamiast w miękkim fotelu — znajduje się na podłodze. I w tym momencie przypomniał sobie wszystko. Katastrofa!

— Katastrofa! — zawołał.

Nikt nie odpowiedział. Począł chwilę, po czym zdołał się na heroiczny wysiłek, żeby wstać. Zatoczył się, uderzył ręką o coś twardego i hamując wpadł prosto w objęcia białej zjawy, która bezszelestnie wyłoniła się z ciemności i wyciągnęła po niego długie, chude macki.

— Umbua szszsz io... — zabełkotała zjawa. Napadnięty zamachał w odpowiedzi rękami. Biała postać odskoczyła przezornie i zniknęła w mroku, skąd dobiegł po chwili stłumiony łoskot. Radek jednak, zamiast upajać się łatwym zwycięstwem, zaczął usilnie myśleć. W końcu ruszył ostrożnie przed siebie. Przeszedłszy kilka kroków stanął, pochylił się, a następnie uklęknął.

— Wstawaj — powiedział do niewyraźnej postaci, która zabielała przed nim na podłodze. — Przepraszam — dodał wyciągając dłoń, żeby pomóc zjawie odzyskać pozycję pionową. — To nerwy,

— Łąszszsz adio... — poradziło w odpowiedzi widmo.

Radek zbliżył twarz do jego baniastej głowy i przekonał się, że odgadł trafnie. Za szybą kasku widniało boleśnie skrzywione oblicze Nika. Stwierdziwszy tożsamość zjawy, skorzystał z jej tak jasno wyrażonej propozycji. Wymacał przy swoim skafandrze płytkę z aparaturą łączności i wdusił miniaturowy klawisz.

— Włącz radio — powtarzał Nik, tym razem bliskim i wyraźnym, choć odrobinę jęklwym głosem.

— Właśnie włączyłem — odpowiedział Radek. —

Gdzie jest Anik?

— Nie wiem. Musimy jej poszukać. Jaksądżisz, czy tu jest powietrze?

Nastała cisza. Powietrze... Pewnie, skoro rakieta straciła oparcie i runęła na ziemię, w jej pancerzu mogły powstać szczeliny. W takim razie byliby zdani wyłącznie na skromne zapasy tlenu w butlach. A Anik? Czy zdążyła włożyć kask?

— Chodźmy szybko! — zawołał, na próżno usiłując przebić wzrokiem otaczające go ciemności.

Kabina pilotów nie była duża. "Dojdę do przeciwległej ściany — myślał gorączkowo Radek — wrócę...

w końcu muszę ją znaleźć".

Zanim jednak zdążył przystąpić do realizacji swojego planu, za jego plecami rozległ się drżący z oburzenia głosik:

— Puść mnie! Puść!

Radek krzyknął z radości. Naraz w kabinie zapaliły się wszystkie lampy. W ich świetle ukazała się Anik, bez kasku, ale za to w towarzystwie potwora, który przypierał ją do ściany tuż obok przejścia do głównej kabiny. Chłopiec bez zastanowienia rzucił się na ratunek, został jednak powstrzymany łagodnym, ale nieubłagany chwytem stalowego ramienia.

— Mu-si-wło-żyć-kask — rzekł potwór charakterystycznym głosem uniwersalnego automatu pomocniczego. — Ma-my-a-wa-rię — wyjaśnił.

Awarię! Dobre sobie!

— Zostaw ją! — zawołał nie panując nad sobą. — Ona sama włoży kask.

— Mam-o-bo-wią-zek-do-pil-no-wać.

— Bądź taki dobry i podaj jej kask — rzekł grzecznie Nik zbliżając się do osobiwej grupki.

Automat tym razem usłuchał bez sprzeciwu.

— Tak się bałem... — szepnął bezwiednie Radek, odwracając głowę i szukając czegoś na nieczynnym ekranie. — Mogło nie być powietrza...

— Jest powietrze — rzekł Nik — i jest światło. Z tego wynika, że roboty naprawcze działają normalnie.

Radek poczekał, aż Anik skończy przymocowywać kask do kryzy skafandra, po czym zwrócił się do robota:

— Czy potrafisz sprawdzić szczelność naszych ubiorów?

— O-czy-wiś-cie.

Radkowi wydało się, że w głosie „uniwersalnego” zabrzmiała nutka urazy, więc szybko dodał:

— Przepraszam cię, że się zdenerwowałem. To dlatego, że byłem jeszcze oszołomiony po kata... po awarii.

— Tak — automat poruszył jednym ze swoich pają-kowatych ramion — lu-dzie-się-de-ner-wu-ją.

Kiedy operacja sprawdzania skafandrow została zakończona, robot, nie czekając, aż ktoś go o to poprosi, skierował się do pulpitu sterowniczego.

— O-su-nął-się-grunt — poinformował zwięźle. -Dźwi-ga-ry-u-leg-ły-znisz-cze-niu.-R-a-kie-ta-le-ży. Bez-po-mo-cy-z-ze-wnątrz-nie-u-da-się-jej-po-sta-wić.

-Au-to-ma-ty-na-praw-cze-za-koń-czy-ły-czyn-noś-ci.

-Re-zer-wy-tle-nu-i-wo-dy-w-nor-mie.-E-ner-gii-

-wy-szar-czy-na-pół-to-ra-ro-ku.-Ist-nie-je-oba-wa-że-

-grunt-na-dal-bę-dzie-się-ob-su-wał.-Po-żą-da-ne-o-

-pusz-cze-nie-stat-ku.

— Skąd to wszystko wiesz? — spytał z niedowierzaniem Radek. — Masz łączność z komputerem? On ocalał?

— Tak.

— Dlaczego w takim razie nic nie widać na ekranie? — wtrącił się Nik. — Czy nie możemy odzyskać kontaktu z ludźmi, którzy wyszli na zewnątrz?

— An-te-ny-u-leg-ły-znisz-cze-niu — wyjaśnił robot.

- Na-wią-za-nie-łącz-noś-ci-na-po-wierz-chni-K-1-

-moż-li-we-po-o-pusz-cze-niu-stat-ku.-Kon-tak-tu-z-

-ba-ż-a-nie-ma.

— Co on mówi? — szepnęła Anik. — Baza nas nie słyszy? A tatuś? — głos jej zadrżał. — Co zrobimy?

— Rakieta leży i nie da jej się podnieść — podsumował Nik. — Możemy porozmawiać z Byssonem i Daubą, ale dopiero wtedy, kiedy wyjdziemy na zewnątrz. Nadajniki dalekiego zasięgu nie działają, bo w czasie upadku „Ety” zgniotło nam anteny, a aparaty łączności przy skafandrach są za słabe, żeby nasze głosy mogły przeniknąć przez pancierz statku. Mamy powietrze, wodę i energię, ale komputer obawia się, że grunt nas nie utrzyma. Czy coś opuściłem? — Wydał dumnie wargi. Zaraz jednak zreflektował się i potrząsnął głową.

— Och! — wykrzyknęła cicho Anik.

— Wszys-tko-się-zga-dza — orzekł automat. Radek odwrócił się i zrobił ruch, jakby chciał pogłaskać Anik po jej baniastym kasku.

— Nie martw się — wydukał przez zaciśnięte gardło. — Komputer jest cały. Coś wymyślimy. Nik zbliżył się do pulpitu i stanął obok robota.

— Coś wymyślimy... — powtarzał półgłosem — coś wymyślimy...

„Byle szybko” — rzekł sobie w duchu Radek. Bysson i Dauba też zastanawiają się teraz, co robić. Nagle stracili przecież kontakt z „Etą”. Nie wiedzą, czy rakieta uległa zniszczeniu, czy też może wystartowała. Zapewne zechcą wrócić, żeby się przekonać, czy trójce ich młodych towarzyszy nie grozi niebezpieczeństwo. W takim razie pomoc dla ojca Anik znowu się odwlecze, o ile w ogóle będzie jeszcze potem możliwa. Skoro grunt jest już taki miękki?...

Nagle przyszło mu do głowy rozwiązanie i aż się zdziwił, że jest takie proste. I nie tylko proste, ale — w gruncie rzeczy — jedyne.

— Czy właz towarowy jest nadal otwarty? — zwrócił się do robota. — Tak.

— A pojazdy? Nie zostały zniszczone?

— Son-dy-w-po-rząd-ku-a-le-wy-rzut-nia-znaj-du--je-się-pod-po-wierzch-nią-grun-tu — odpowiedział automat. — In-ne-po-jaz-dy-spraw-ne.

— Pojedziemy łazikiem? — Nik w lot podchwycił myśl Radka.

Ten skinął głową.

— Przecież robot i tak radzi nam wyjść na zewnątrz. Wobec tego po pierwsze, lepiej, żebyśmy byli wszyscy razem, z Daubą i Byssonem, a po drugie, jedynym chyba pewnym schronieniem na K-1 jest teraz posterunek obserwacyjny.

Oczy Anik zabłyśły.

— To chodźmy, chodźmy!

W mrocznej ładowni — przez otwarty na oścież szeroki właz transportowy — ujrzeli niebo.

— Całe szczęście, że statek nie upadł wejściem na dół — mruknął Nik sadowiąc się w kabinie łazika. Podał rękę dziewczynie, pomógł jej wsiąść, po czym mówił dalej: — Mam nadzieję, że trafimy. Komputer powinien mieć zapisany kurs...

— Kom-pu-ter-„Ety”-zna-kurs-do-pos-te-run-ku-a--le-tyl-ko-z-te-re-nu-sta-cji-K-1 — stwierdził automat, który przyszedł do ładowni w ślad za swoimi podopiecznymi.

Radek zawahał się. Spojrzał pytająco na Nika, potem na Anik, wreszcie zwrócił głowę w stronę robota.

— Czy ty pojedziesz z nami?

— Tak — odrzekł zdecydowanie uniwersalny.

— To porozum się z komputerem i zapamiętaj ten kurs.

Radek jednym skokiem znalazł się obok dziewczyny, pozostawiając Nikowi przyjemność podróżowania obok automatu. Uniwersalny niezwłocznie zaczepił się jedną kończyną o burtę pojazdu, po czym przetoczył na fotel. „Zgrabniej nie zrobiłby tego sam Black Rondell” — pomyślał nieco od rzeczy Radek. I nagle zrobiło mu się bardzo smutno. Czy zobaczy jeszcze kiedyś grubego chemika, gadatliwego i pocziwego profesora O,Clahę, piękną Patt, Basia, ojca, rodzinnego Ganimeda i... mamę?

— W drogę! — zawołał Nik.

— Tak, tak, jedźmy! — podchwyciła skwapliwie Anik.

Łazik przetoczył się powoli przez właz. Ponieważ na skutek położenia statku nie dało się zainstalować pomostu, spadł dobre pół metra w dół, od czego pasażerom pociemniało na moment w oczach, i — jeszcze jęcząc rozedrganymi amortyzatorami — ostro przyspieszył.

Od razu rzuciła im się w oczy złotawa poświata na niebie, o wiele intensywniejsza niż przedtem na ekranie. Złowrogi warkocz coraz wyraźniej dawał znać;

o sobie.

— Tu Nik Zadra — zabrzmiało w słuchawkach. — Halo, tu Nik Zadra, Anik Jardin i Radek Olcha. Słyszycie nas?

— Nik?! Nareszcie! — odezwał się natychmiast przytłumiony głos Byssona. — Co się z wami dzieje?!? Dlaczego nie odpowiadaliście?!

— Mieliliśmy... awarię — wyjaśnił ostrożnie zapytany. — Musieliśmy opuścić raketę.

— Opuścić?! Nik! Gdzie teraz jesteście?

— Wszystko w porządku. Jedziemy do was łazikiem. Nie znamy kursu, więc musimy najpierw dotrzeć do miejsca, gdzie była stacja. Stamtąd poprowadzi nas już automat.

— Automat jest z wami?

— Tak.

— Co się właściwie stało?

— Jedziemy do was, bo chcemy wam pomóc ratować tatusia — uprzedziła rudego Anik. — Rakietę leży i nie da się jej podnieść. Grunt nie wytrzymał.

— Jednak... — westchnął Dauba. Jakiś czas trwała cisza, po czym fotonik nie pytając już o dalsze szczegóły powiedział:

— Dobrze. Mieliliśmy już wracać, ale jeśli jest tak, jak mówicie, to spróbujemy poczekać. Zgłaszajcie się Często. My tu jesteśmy bardzo zajęci...

„Wracać? Spróbują poczekać?!” — powtórzył w myśli Radek. Co to wszystko znaczy?

— A tatuś?! — Anik jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że głosy obydwu mężczyzn dobiegają z miejsca, gdzie jej ojciec od tak dawna czeka na ratunek. — Halo!!!

— Nic... To znaczy, posterunek jest jak nowy — dodał prędko Bysson. — Nie martw się. Opukaliśmy każdy centymetr kwadratowy kopuły.

— Nie możecie tam wejść? — przestraszyła się dziewczyna.

— Na razie nie, Piotr niestety nie zdążył wyjść i napisać hasła. Ale wszystko świadczy o tym, że twój ojciec jest znakomicie zabezpieczony. A teraz dosyć rozmów. Nie przeszkadzajmy sobie nawzajem.

— Łącz-ność-co-kwa-drans — uściślił automat.

— Oto głos rozsądku — zaśmiał się krótko Dauba, po czym słuchawki umilkły.

„Głos rozsądku” — pomyślał Radek. Co się tyczy łączności, to na pewno tak. Ale... Gdyby człowiek zawsze słuchał tylko głosu rozsądku, byłby taki sam, jak automaty. Zawsze spokojny, zawsze niezawodny... I nigdy nie wymyśliłby czegoś takiego, jak bajki. Nie mówiąc już o lotach do gwiazd.

Czołowe światła łazika szyły mrok, wyluskując z niego coraz to nowe garby niziutkich wznieść. Jechali prosto, jak strzełi, wciąż wznosząc się i opadając niczym na jakiejś zwariowanej kolejce w wesołym miasteczku. Po piętnastu minutach ponownie usłyszeli głosy Dauby i Byssona. Obaj nadal stali pod zamkniętym włazem posterunku obserwacyjnego, próbując wszystkich możliwych sztuczek, żeby dostać się do środka. Jak dotąd — wszystkie ich usiłowania pozostały bezowocne. Byli zdyszani i mówili lekko przerywanymi głosami. Widać naprawdę nie próżnowali. Zapytali o kilka szczegółów katastrofy „Ety”, a zwłaszcza o stan zapasów tlenu i wody. Następnie umilkli.

Mijał drugi kwadrans. W blasku reflektorów ukazał się najpierw oczyszczony z pagórków placyk, a następnie — poskręcane szczątki stalowych konstrukcji. Nieco dalej sterczały w górę dźwigary, które jeszcze dwa dni temu unosiły kopułę stacji badawczej K-1.

— Pierwszy etap za nami! — krzyknął Radek. Robot potwierdził poważnie:

— Tak.

Łazik zwolnił. Z prawej strony ukazały się trzy ogromne walce, jakby przewrócone kolumny starożytnej świątyni.

— O, rakiety! — zawołała Anik. — Leżą, tak samo jak „Eta”.

— Rzeczywiście — powiedział nie kryjąc rozczarowania Nik. — Dwa statki bazy i... nasz. Myślałem, że może któryś ocalał. Myślałem... — nie skończył.

Wszyscy wiedzieli jednak, co chciał powiedzieć. Miał nadzieję, że będą mogli wrócić do bazy jedną z raket, które pozostały na lądowisku dawnej stacji. Niestety. Było aż nadto widoczne, że w czasie alarmowego startu K-1 znajdujące się obok niej statki uległy awarii. Radek ponownie zadał sobie w duchu pytanie, czy kiedykolwiek ujrzy jeszcze Basia i ojca, ale

zaraz zmusił się do myślenia o czymś innym.

Pomógł mu w tym automat, zmieniając gwałtownie kierunek jazdy.

— Bez-po-śred-ni-kurs-do-pos-te-run-ku-ob-ser-wa-cyj-ne-go — wyjaśnił.

— Halo! — rzucił do mikrofonu Nik zerknąwszy na zegarek. — Halo, tu łazik!

— Tu dwa łaziki — odrzekł po chwili chrapliwym głosem Dauba. — A raczej dwaj nieproszeni goście,

których gospodarz nie ma ochoty wpuścić do domu. Co u was?

Kiedy Nik zakończył relację o stanie, w jakim znajdowała się K-1, a zwłaszcza pozostawione w jej pobliżu rakiety, Bysson mruknął tylko: — Coraz lepiej —

natomiast fotonik zakrzuszył się i przez dłuższą chwilę pokaszliwał.

— Słuchajcie — wychrypiął wreszcie. — Chyba będziemy musieli wrócić do „Ety” po specjalne narzędzia, a także po tlen. Wyczerpuje nam się szybciej niż zwykle. Nic dziwnego. Czego my tu nie wyrabiamy!

Radek spróbował wyobrazić sobie to „wyrabianie”. Ukazał mu się ponury krajobraz, w dole pagórkowaty, szary, wyżej granatowo-żółty, a u góry czarny, nabijany gwiazdami. Na pierwszym planie widniała biała kopuła, wokół której biegały dwie małe sylwetki. Wymachiwały ramionami, przysiadły, tupały nogami, fikały koziołki. Wszystko na próżno! Zakłeta budowla pozostawała głucha, niema i zamknięta na cztery spusty. No cóż, w życiu nic nie przychodzi tak łatwo, jak w Basiowych bajkach. Piękna szata, mężne serce, hyc, hyc, hyc po szklanej ścianie i — już jest królowna! Im także nikt nie zarzuci tchórzostwa, w skafandrach wyglądają nie gorzej niż rycerze w zbrojach, a tymczasem „śpiący królewicz”, po którego przybyli, wprowadzie nie na koniu, tylko w zionącej ogniem rakiecie — ani myśli się zbudzić. Może jest szczególnie mocno zaczarowany przez jakąś kosmiczną wiedźmę? A może trzeba czegoś więcej niż odwagi i dobrej woli, żeby obudzić już nie księżniczkę czy królewicza, lecz po pro-stu człowieka? Jak odgadnąć to słowo, które ma otworzyć drzwi? O czym Piotr Jardin mógł myśleć tuż przed zaśnięciem? O Ziemi? O Gagarinie? O niedalekiej już, pierwszej podróży do gwiazd? Słowo-klucz zrodziło się przecież w jego umyśle, kiedy został sam na granicy Układu. Czy patrzył w stronę maleńkiego stąd Słońca, czy też w najdalsze gwiazdy?

— Pytam po raz trzeci, słyszycie mnie?! — głos Dauby zabrzmiał tak ostro, że Radek aż drgnął.

Spojrzał przestraszony na Nika i Anik, po to tylko, by stwierdzić, że oboje szeroko otwartymi oczami wpatrują się w przestrzeń. Upłynęła dobra chwila, zanim zdał sobie sprawę, że równocześnie i on, i córka „śpiącego królewicza”, i ostatnio jakoś mniej pewny siebie, przyszedł wielki podróżnik utonęli we własnych myślach.

— Nie-wiem-cze-mu-nie-od-po-wia-da-ją — wyrecytował w tym momencie robot, któremu udało się wreszcie wydłubać miniaturowy mikrofon z centralki łączności. Uniwersalny nie miał przecież na głowie kasku ze słuchawkami. — Sie-dzą-i-nie-ru-sza-ją-się-ale-nic--im-nie-jest.-Po-dróż-prze-bie-ga-nor-mal-nie.

— Już, już! — wykrzyknął Radek. — Przepraszam, zamyśliłem się. Wszystko w porządku.

— Na pewno? A tamci?

Chłopiec przechylił się i trzepnął Nika po ramieniu. Rudy podskoczył i wydał jakiś bełkotliwy okrzyk.

— O, widzicie! — ucieszył się Radek. — Anik także czuje się dobrze — dodał miękko. — Chyba niedługo będziemy na miejscu.

— Owszem, ale nas już nie zastaniecie — Dauba musiał przerwać dla zaczerpnięcia tchu. — Wracamy po nowy zapas tlenu i narzędzia. Weźmiemy i dla was. Nie spotkamy się po drodze, bo my nie pojedziemy w kierunku dawnej stacji, tylko prosto do „Ety”. Kiedy tu dotrzecie, uważajcie na siebie. Te purchawki wyglądają jakoś dziwnie. Musicie dużo mówić, a nuż traficie na to hasło, które trzeba podać komputerowi, aby otworzył posterunek. Ale poza tym nie róbcie nic. Postaramy się wrócić jak najprędzej. Czekać spokojnie. To na razie.

— Na razie — bąknął Nik, który ocknął się z zamyślenia i teraz spoglądał niechętnie to na Radka, to na swoje ramię.

Anik dopiero w tej chwili poruszyła głową i rozejrzała się ze zdziwieniem, jakby chciała

zapytać, gdzie jest i co robi w tak mało przytulnym miejscu.

— Słyszałaś? Nie słyszałaś — odgadł bezbłędnie Nik. — Wracają do rakiety. Poczekamy na nich przy podstacji.

— Nie będziemy czekać beczynn timer — zapewnił ją Radek. — Może akurat nam uda się otworzyć właz... Musimy tylko dużo mówić.

— Mówić? Żartujesz?... — spytała słabym głosem.

— Nie żartuje, nie żartuje — pośpieszył zażegnać wzbierającą burzę Nik. — Popatrzenie — zmienił nagle ton — czy to nie posterunek?

Wspięli się właśnie na wierzchołek któregoś z kolei pagórka. Horyzont spłynął łagodnie w dół, odsłaniając szeroką panoramę K-1. Do połowy zakryta jeszcze przez wydmy ukazała się maleńka, biała kopuła.

— Przed-na-mi-po-ste-ru-nek-ob-ser-wa-cyj-ny — potwierdził automat. — Kurs-był-do-brze-ob-li-czo-ny — dodał z dumą.

Przez chwilę trzymał wysoko swoją bryłową głowę czekając na wyrazy uznania, ale czekał na próżno. W końcu poruszył się niezgrabnie i opadł na fotel; całkiem jak człowiek, któremu życie nie szczydziło rozczarowań i dla którego kolejna kropla gorczy jest tym, czym dla innych codzienna porcja witamin.

Żywi pasażerowie łazika nie myśleli jednak teraz o „uczuciach” ich wiernego, stalowego towarzysza. Wszyscy troje jak na komendę unieśli się ze swoich miejsc i utkwili oczy w jasnej półkuli, która z każdą sekundą stawała się większa. Łazik prześliznął się przez kilka ostatnich wzniesień i wyjechał na okrągły plac. Tu zwolnił i zaczął zataczać łuk. Posterunek znajdował się po przeciwnej stronie płaskiego kręgu. Gdyby chcieli dotrzeć do niego najkrótszą drogą, musieliby przejechać przez purchawki.

— Spójrz — szepnął nie swoim głosem Nik. — Tak wyglądają...

— Przecież to o nie może być żywe! — wyszeptła z przejęciem Anik.

— Nie — przyznał ponuro Radek wpatrując się nieufnie w bezkształtną wypukłość pośrodku placu. — W każdym razie teraz już nie — dodał zniżając głos.

Purchawki przedstawiały widok bardziej żalony niż osobliwy. Zamiast regularnej pryzmy ułożonej z twardych bryłek tworzyły jakąś nieokreśloną, papkową kopę, w której tylko z największym wysiłkiem można było odróżnić rozmazane zarysy pojedynczych lodowych kamieni. Zupełnie jakby ktoś tu wylał wielki garnek beznadziejnie rozgotowanych pierogów. Radek sięgnął po swój odbiorniczek i poszukał pasma, w którym dawniej odbierało się muzykę i malowidła purchawek. Ale i tutaj nie odezwał się żaden, choć-by najcichszy głos. Tylko Anik spytała:

— Czy to na pewno one?

— One i nie one — odparł filozoficznie Nik. Przełknął głośno ślinę, po czym burknął: — Już ich nie chcę.

W tym momencie łazik zatrzymał się jakieś dziesięć metrów przed białą kopułą posterunku. U dołu, dokładnie na wprost przybyłych, widniały prostokątne drzwi w postaci gładkiej, pancernej płyty szczelnie wpasowanej w wypukłą ścianę.

Cała trójka natychmiast zapomniała o purchawkach.

Szklana góra... Radek nagle ujrzał rozradowaną twarz Basia, kiedy ten — jako bohaterski rycerz — wkraczał do czarodziejskiego zamku. Może właśnie on, wyobrażając sobie swoje niezwykle bajki, trafiłby na to hasło?

Radek westchnął ciężko. Następnie, wciąż myśląc o Basiu, wyprostował się tak, że aż mu w kościach zatrzeszczało, i wrzasnął, ile sił w płucach:

— Sezamie, otwórz się!!!

„Sezam” ani drgnął, czego nie dałoby się powiedzieć u Niku i Anik, a nawet o uniwersalnym automacie. Ten ostatni błyskawicznie wyciągnął w stronę Radka swoje kleszczowate ramiona, jednak przekonawszy się, że ma do czynienia nie z kosmicznym napastnikiem, lecz ze znanym sobie i do tego na ogół normalnym chłopcem, zastygł w bezgranicznym zdumieniu. Nik dał rozpaczliwego susa z kabiny i wyciągnął się jak długi dobre kilka metrów od kół pojazdu. Natomiast Anik, zamachawszy rękami, przeskoczyła na następne siedzenie i stamtąd przyjrzała się podejrzliwie swojemu byłemu sąsiadowi.

Na podstawie tych oględzin doszła widać do wniosku, że Radek być może zwariował, ale w każdym razie nie stroi sobie głupich żartów, bo sama także zawołała, tyle że cichym, cienkim głosem:

— Tatuś!

Jednak i to słowo odbiło się bez echa od białej kopuły. Tymczasem automat opuścił powoli ramiona, a Nik jeszcze wolniej podniósł się i rzuciwszy Radkowi nieżyczliwe spojrzenie zaczął iść w stronę posterunku.

— Piotr! — wołał Radek. — Jardin!

— Co-ro-bi-cie? — spytał uniwersalny. Uzyskawszy w miarę dorzeczną odpowiedź, przyłączył się do ludzi.

— Pro-gram!-Za-pis!-Wej-ście!-Wyj-ście! — dukał z zapalem.

Nik zatrzymał się przed włazem, przechylił lekko do -tyłu i po krótkim namyśle także zaczął wyrzucać z siebie pojedyncze wyrazy:

— Pitagoras! Neptun! K-1! Einstein! Kometą! Galaktyka!

— Lot! Gwiazdy! Ziemia! Rakieta! Stacja! Instytut! — zawtórował Radek.

— Au-to-mat!-Kom-pu-ter!-Mo-du-la-tor!-Sprzę-że--nie!

— Tatusiu! Kochany! Ogród! Gagarin! Tatusiu! Dom! Niebo! Słońce! Tatusiu! — Anik nie mogła się powstrzymać, by co chwilę nie powtarzać: „tatusiu”.

— Energia! Trójkąt! Fotosfera! Kwazar! Mgławica! — szukał w kręgu uczonych terminów Nik.

— Księżyc! Błękit! Zieleń! Dzień! Noc! Chmura! — Radek wybierał słowa, które wiązały się z Ziemią.

— Pa-mięć!-Re-gu-la-cja!-To-po-lo-gia!-Sys-tem!

— Kopernik! Orbita! Kolekcja... ee, tego... Materia! Symetria! — Nik szybko zakrzyczał tę nieszczęsną „kolekcję”, która wysnęła mu się wbrew jego woli.

— Dzień dobry! Góry! Tatusiu!

Posterunek trwał jak skała, biały, nieprzystępny, z zamkniętym na głucho włazem. Radek nabrał do płuc powietrza.

— Woda! Morze! Plaża! Las! Wiatr! Żagle! Okno! Spacer! Powietrze! Wiosna! Lato! Jesień! Zima! Wakacje! Słońce!

— Słoń-ce-już-by-ło — zauważył robot.

— Cicho! Horyzont! Świt! Zachód! Aleja! Park! Ciepło! Słowik! Bocian! Róża! — zabrakło mu tchu.

Zrozumiał nagle, dlaczego Bysson i Dauba tak szybko wyczerpali swój zapas tlenu. Poczuł, że z czoła ściekają mu pod kryzę kasku strużki potu, i niespodziewanie znowu przyszedł mu na myśl Baś. Braciszek na pewno wołałby inaczej. Jak? Królewicz? Rycerz? Stoliczku, nakryj się? „Zwariowałem — powiedział sobie w duchu. — A jeśli nawet nie, to zaraz zwariuję naprawdę”.

Zerknął mimo woli na Anik, jakby chcąc sprawdzić, czy już czegoś nie zauważyła. Ale i ona, i Nik byli zbyt zajęci wynajdywaniem coraz to nowych haseł, żeby zaprzętać sobie głowę takimi drobiazgami, jak domniemane szaleństwo ich towarzysza.

Ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie jeszcze jedną bajkę, która zresztą została pominięta przez Basia w czasie jego pamiętnego pokazu. Bajkę o Królowej Śniegu. Była to bardzo stara baśń i Radek znał nawet kilka jej odmian. Jakaś dziewczynka, żeby uratować swojego braciszka, zawędrowała do lodowego pałacu na końcu świata. A potem także potrzebne było jedno słowo — aby brat przypomniał sobie o domu, który opuścił, o niej samej, o dobrej babuni. To słowo brzmiało: „kocham”.

A jeśli Piotr Jardin także znał i lubił baśnie? Jeśli przed zaśnięciem przypomniał sobie akurat tę? W końcu ta historyjka pasowała jak ulał do sytuacji. Że też tu nie ma Basia!

— Całka! Atom! Pozytron! Galileusz! Równanie!

— Trans-la-tor!-Kod!-Dy-rek-ty-wa!-Gra!-Re-la-cja!

— Tatusiu! Kwiaty! Budzik! Firanka! Radek postanowił działać. Zbliżył się do Anik, tak że ich kaski stuknęły lekko o siebie, i zapytał:

— Czy znasz baśń o Królowej Śniegu? Wcale nie żartuję — dodał szybko, widząc, że dziewczyna zmienia się na twarzy. — W tej baśni jednemu chłopcu utkwiał w oku i w sercu

okruch zwierciadła rozbitego przez czarnoksiężnika. A siostra, kiedy go wreszcie znalazła, właśnie u Królowej Śniegu, musiała wymówić słowo... Pamiętasz?

— Co ty pleciesz? — wydyszała dziewczyna. — Jakie słowo?...

I pewnie w tym momencie przypomniała sobie, co musiała powiedzieć dziewczynka w pałacu Królowej Śniegu, bo nagle zaczęła pilnie spoglądać w przeciwną stronę. Jednak myśl rzucona przez Radka nie dawała jej widać spokoju, gdyż po chwili popatrzyła na niego ponownie. Nik przerwał nawoływanie i przyglądał im się ze zdumieniem. Trzeba przyznać, że Anik i Radek prezentowali się dość malowniczo, stojąc w fotelach otwartego łazika, na tle czarnogranatowego nieba ze złotawymi refleksami — i to tak blisko siebie, że ich kaski wyglądały jak para wielkich uszu należąca do niewidzialnej głowy. W dodatku, czego już na szczęście Nik ze swojego miejsca nie mógł zauważyć, oboje byli zarumienieni po biały oczu.

— Co-się-sta-ło? — zaniepokoił się uniwersalny. — Czy-za-brak-ło-wam-słów?

Dźwięk metalicznego głosu robota nie pozostał bez wpływu na bieg wydarzeń. Anik odetchnęła głęboko, oderwała swój kask od kasku Radka i nagle w zupełnej ciszy rozległo się wyraźnie:

— Kocham!

Z pewnością miał to być okrzyk zdolny poruszyć skały, ale w rzeczywistości zabrzmiał nie tylko cichutko, lecz i zgoła piskliwie. Zaraz potem, dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień, ten sam głosik zawołał kilkakrotnie:

— Tatuś! Tatuś! Tatuś!

Ale nic nie pomogło. Po pierwsze, twarz dziewczyny. dalej była czerwona jak burak, a po drugie, wąż ani drgnął. Czarodziejskie słowo też okazało się bezsilne. „Cóż, to jednak tylko słowo” — powiedział sobie Radek z gorzką ironią, widząc, że Anik patrzy na niego z wyraźną pretensją, jakby miała mu za złe, iż go posłuchała, narażając się nie wiadomo na co, i w dodatku niczego nie osiągnęła.

— Faraon! Sfinks? Troja! Maraton! — Nik podjął przerwana pracę, przenosząc się do historii starożytnej.

— Syg-nał!-Tra-sa!-Trans-mi-sja!-Ste-ro-wa-nie! -Pro-te-za!-Ge-ne-ra-cja! — upierał się przy swoim cybernetycznym słowniku robot.

— Tęcza! Zorza! Tatusiu! Sosna! Kukułka! Szarotka!

— Anik!

Po tym ostatnim okrzyku, który wyrwał się z piersi Radka, ponownie nastąpiła cisza. Chłopiec, starannie ukrywając rozczarowanie, otwierał już usta, aby zaatakować komputer nową porcją haseł, kiedy napotkał znów wzrok Anik. Poczł nagle, że ogarnia go pasja.

— Anik! Anik! Anik! — wyrzucił z siebie jednym tchem. — Co tak patrzysz?! To takie samo słówko, jak

każde inne! Przecież twój ojciec mógł pomyśleć właśnie „Anik”.

— Dobrze już, dobrze — wykrztusiła nieco przestraszona dziewczyna. — Czemu się złościś? Przecież nic nie powiedziałam... — Zastanowiła się przez chwilę. — Rzeczywiście, tatuś mógł wymyślić takie hasło — przyznała szeptem. — Przepraszam — dodała jeszcze ciszszej.

Chłopiec pokręcił głową.

— To ja cię przepraszam — wysapał. — Chyba się trochę zmęczyłem i dlatego nie panuję nad sobą.

Dalszą wymianę uprzejmości uniemożliwiło im jednak rozpaczliwe wezwanie Nika:

— Trzyma mnie! Trzyma! Ratunku!

Radek odwrócił się błyskawicznie. Nik, który oddalił się trochę od kopuły, wykonywał jakieś gorączkowe podrygi, jakby szamotał się sam z sobą. Jedna stopa rudego tkwiła w gruncie komety niczym w potrzasku. Radek już zamierzał rzucić się na ratunek, ale nie zdążył. Teraz dopiero uniwersalny pokazał, co potrafi. Jak wystrzelony sfrunął z łazika, pochwycił Nika pod ramiona i odciągnął go na bok. W miejscu gdzie przed chwilą znajdował się syn słynnego astrografa, pozostał głęboko odcisnięty ślad próżniowego buta.

— Grunt-się-to-pi — stwierdził robot. Podprowadził rudego do burty łazika, a sam wrócił pod posterunek, gdzie niezwłocznie zaczął podskakiwać, wysoko unosząc pająkowane nogi i opuszczając je potem z rozmachem. W słuchawkach trojga kosmonautów rozległo się wściekłe tupanie połączone z cmokaniem. Zupełnie jakby jakieś ciężkie zwierzę galopowało

po świeżo położonym asfalcie.

— Co on robi? — nie wytrzymał Radek. — Zaraz Wszędzie dokoła będziemy mieli miękką papkę.

— Ba-dam-wy-trzy-ma-łość-po-wierzch-ni — odpo wiedział robot nie przestając ani na moment wywijać nogami.

Cmok! Cmok! Cmok! Cmok!

— Może już dosyć? — zaproponował nieśmiało Nik. Mlaskanie ustało. Automat wyprostował się z trudem, jak ktoś, kto właśnie skończył przekopywać ciężką, błotnistą ziemię w ogródku i stwierdził:

— Mo-kro.-A-le-jesz-cze-moż-na-cho-dzić.

— Bezpieczniej będzie w łaziku — Radek skinął zapraszająco na Nika.

Ten uznał widać, że rada jest głęboko słuszna, bo skwapliwie ulokował się z powrotem w swoim fotelu.

— Uff! — odsapnął. — Całkiem jak smoła.

— A łazik?! — przestraszyła się nagle Anik. — Czy on nie... — urwała.

Chłopcy nie czekali, aż skończy. W mgnieniu oka przechylił się przez boczne oparcia i zwiłł głowami w dół. Z jednej strony Nik, z drugiej Radek i Anik, która także postanowiła sprawdzić, czy koła ich pojazdu nie pogrążają się w topniejącym gruncie. Przygodny przechodzień, gdyby naturalnie istniały takie osoby na kometach, mógłby pomyśleć, że na małym, ażurowym łaziku wyrosły nagle trzy kolosalne winogrona.

— Ma-szy-na-stoi-pew-nie — pośpieszył ich uspokoić uniwersalny. — Mo-że-jeż-dzić-na-wet-po-bag-nie.

-O-po-ny-au-to-ma-tycz-nie-dos-to-so-wu-ją-się-do-ro-dza-ju-na-wierz-chni.

Winogrona wróciły do pozycji pionowej i stały się na powrót kosmicznymi kaskami.

— Szkoda, że nasze buty tego nie potrafią — burknął Nik.

— Baś wymyśliłby pewnie i takie buty — Radek próbował się uśmiechnąć.

— Tu przydałby się raczej profesor O,Claha — potrząsnął głową Nik. — Gdyby zaczął mówić, to w końcu, chcąc nie chcąc, trafiłby na hasło, bo szybko wyczerpałby cały słownik.

— Co teraz będzie? — szepnęła Anik. Przez chwilę panowało milczenie. Niespodziewanie przerwał je robot.

— Mo-del!-Zbiór!-Bo-dziec!-Bit!-Szum! — podjął recytację.

Ale Radek przyjrzał się z głuchą wściekłością gładkiej płycie wjazdu i zamiast pójść w ślady uniwersalnego — nagle zeskoczył na powierzchnię.

— Co robisz?!

Anik wyciągnęła rękę, aby go zatrzymać, lecz nie zdążyła. Zastygła bez ruchu, z wyciągniętym ramieniem i wdzięcznie przechyloną główką. Wyglądała tak ładnie, że chłopiec, zerknąwszy za siebie, stanął jak wryty. Przyglądał jej się, aż usłyszał znaczące pochrząkiwa-nie Nika. Odwrócił się i chciał ruszyć dalej. Wtedy — po raz pierwszy w życiu — zrozumiał, jak to jest, kiedy człowiekowi nogi wrosną w ziemię. I to nie w przenośni... W każdym razie nie tylko w przenośni.

Panującą na K-1 ciszę — w ułamku sekundy rozproszyła istna lawina dźwięków. Najpierw rozległo się rozdzierające wołanie: — Nogi, moje nogi! — następnie odgłosy krótkiej szarpaniny zakończone podwójnym: „cmok!”, potem drugi okrzyk, cieńszy i zupełnie niezrozumiały, dalej charakterystyczne łupnięcia, jakby ktoś rzucił wypchanym workiem, a wreszcie wściekłe: — Fu-fu-fu! — Nieco później dołączyły jeszcze dwa głosy. Jeden poradził lakonicznie: — Trze-ba-cho--dzić — natomiast drugi wycedził z nutką ponurej satysfakcji: — Sam teraz widzisz, jakie to przyjemne!

— Paskudztwo... brrr! — otrząsnął się Radek. Niezwłocznie zaczął korzystać z doświadczeń robota, to znaczy, szybko — choć z trudem — przestępować z nogi na nogę. Zatoczył kółeczko wokół pojazdu, a po-tem podbiegł truchcikiem do drzwi posterunku i zabę-bnił w nie pięściami.

— Otwierać! — ryknął. — Puścić!

— Szko-da-tle-nu — upomniał go oziębłe robot.

— Zostaw! Jeszcze coś zepsujesz! — złąkła się Anik. — Może... zapukać? — zaproponowała przytomnie.

Radek posłuchał. W tym stanie ducha, w jakim się znajdował, posłuchałby również, gdyby mu ktoś poradził stanąć na rękach i w tej pozycji odśpiewać pieśń wojenną starożytnych Indian. Pochylił się i delikatnie, jak przesadnie nieśmiały gość, zastukał zgiętym palcem w pancerną płytę. Odpowiedziało ledwie słyszalne, głucho echo.

Opuścił dłoń i stał chwilę nieruchomo, nie myśląc o niczym. Następnie najzupełniej bezwiednie oparł się całym sobą o drzwi i, przytykając usta do szyby kasku, wyszeptał:

— Zbudź się, tu jest Anik, zbudź się...

— Nie stój w miejscu — przypomniał Nik. Radek ocknął się, wyprostował i spojrzał pod nogi. Ale jego stopy nie zagłębiły się ani o milimetr.

— Tam-moż-na-stać — sprostował robot. — Przed--wej-ściem-jest-be-to-no-wa-pły-ta.

— Aha — mruknął Nik. — Powinienem być sam zauważyć...

— Nie-mu-sia-łeś.-Od-te-go-je-stem-ja — podkreślił z godnością uniwersalny.

Nik skinął głową na znak, że docenia dobrodziejstwo, jakim jest posiadanie tak wspaniałego towarzysza, ponownie zeskoczył z łazika i podszedł do kopuły.

Radek zaczął tracić poczucie czasu. Wydało mu się, że przy tym nieczułym pancerzu tkwi już od wielu godzin, jeśli nie dni. Przed oczami zaczęły mu krążyć małe, jasne plamki. Zerknął na wskaźnik pod okapem kasku i stwierdził, że tlenu wystarczy mu jeszcze najwyżej na pół godziny. Nie przejął się tym odkryciem. W gruncie rzeczy w ogóle nie przyjął go do wiadomości. Wpatrywał się z rozpaczliwym uporem w ciemny prostokąt drzwi. Posterunek był bardzo mały. W jakiej odległości może być ojciec Anik? Dwa metry, trzy, najwyżej pięć. Śmieszne. Po tyłu trudach dotrzeć tutaj, aby teraz sterczeć bezradnie kilka kroków od celu. I to tylko dlatego, że nie można odgadnąć, o czym myślał człowiek, zasypiając na tym gwiazdnym odludziu.

— Ocean... Promień... Loara... Karuś... — zaszepotało tuż za jego plecami.

Wzdrygnął się, nie zauważył, kiedy Anik wyszła z łazika i stanęła obok nich.

— Karuś? — powtórzył z wahaniem Nik. — Co to znaczy?

— To nasz piesek, spaniel. Tatuś go bardzo lubi — odpowiedziała łamiącym się głosem dziewczyna.

Nagle wszyscy poczuli pod nogami wyraźne drgnięcie, jakby wewnątrz jądra komety obudził się jakiś olbrzym i próbował teraz opuścić swoje więzienie. Po krótkiej chwili spokoju grunt zadygotał znowu. Kontury kopuły rozmyły im się w oczach jak sprężysty pręt, który ktoś wprawił w szybkie drgania.

— Wra-cać! — zawołał automat. — Szyb-ko!

Badek jęknął głośno. Jeśli nawet betonowe fundamenty budowli zaczynają już tracić oparcie, to znaczy, że wszystko przepadło. Piotr Jardin zginie... zginie, choć oni są tutaj, tak blisko!

— Nie!!! — wrzasnął z furją i znowu, jak przed chwilą, zaatakował właz pięściami.

Tym razem Anik nie próbowała go powstrzymać. Krzyknęła cicho i rozkładając ramiona upadła na drzwi. Uderzyła o nie tak mocno swoim próżniowym kaskiem, że ten nieco się przekrzywił.

— Anik, uważaj! — zawołał Nik. — Rozbijesz hełm!

— Na-tych-miast-do-ła-zi-ka!-Od-je-chać! — wołał dalej automat.

Radek poczuł, że płyta pod jego nogami zakołysała się lekko i uciekła w dół. Zatrzymała się zaraz — dwa, trzy centymetry niżej — ale i tego było dość, by chłopiec stracił równowagę. Zamachał ramionami i upadł ciężko na płytę włazu tuż obok Anik.

— Oddychasz?! — zawołał ze ściśniętym gardłem. — Anik, powiedz, czy oddychasz? Nie uszkodziłaś skafandra?!

— Nie — dziewczyna oderwała się z trudem od włazu i obiema rękami próbowała poprawić sobie kask. — Nie — powtórzyła szeptem — tylko włosy mi się zburzyły i teraz przeszkadzają.

Radek odetchnął z ulgą. Przypomniał sobie, co mówiła w czasie tej pamiętnej sceny, kiedy to na stole pojawił się wspaniały tort ze słodkimi warkoczami... Że zwija włosy na czubku głowy i robi z nich poduszczkę, dzięki czemu próżniowy hełm nigdy jej nie gniece. Ta poduszcзка musiała się teraz przesunąć.

— Twoje włosy... warkocze — powiedział nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos.

W tym momencie stało się coś strasznego. Chłopiec, który wciąż jeszcze opierał się całym ciężarem ciała na płycie drzwi, poczuł, że te drzwi nagle znikają. Przekonany, że posterunek zapada się ostatecznie w głąb topniejącej komety i zaraz pociągnie ich za sobą w grząską czeluść, wydał przeraźliwy okrzyk i ostatnim, desperackim wysiłkiem spróbował odepchnąć Anik, ale już nie zdążył. Poleciał przed siebie, potknął się, zatoczył i wylądował w zupełnej ciemności na brzuchu. Za nim rozbrzmieły jakieś głosy, ale ich nie słuchał. Cóż teraz pomogą słowa!

Raptem dokoła niego zaczęło się robić jasno. Światło było spokojne, mocne i padało na gładkie ściany oraz elastyczną wykładzinę podłogi. Wciąż jeszcze nie dowierzając własnym oczom, uniósł się ostrożnie na rękach i rozejrzał wokół siebie. Nie, to stanowczo nie było wnętrze komety. Podłoga, lampy, nisza ze skafandrami... Ależ to śluza! Komora śluzy! Prawie dokładnie taka sama, jak na „Ecie” albo w innych statkach! Czy to znaczy?... A cóż niby może znaczyć?! — Właz się otworzył... otworzył... otworzył... otworzył — powtarzał bezwiednie na głos, zanim wreszcie za którymś razem dotarło do jego świadomości całe znaczenie tego słowa. Wtedy zamilkł na moment, ale tylko po to, by głęboko zaczerpnąć do płuc powietrza. W następnej chwili wrzasnął tak, że aż osłona jego kasku napęczniała i zatrzeszczała ostrzegawczo.

— Hura!!! Hura!!! Hura!!! Otwarty!!! Otwarty!!! Otwarty!!!

Nagle coś go zastanowiło. To cudowne, że drzwi od posterunku wreszcie stanęły otworem, ale dlaczego akurat teraz, kiedy nikt nic nie mówił? Zaraz, zaraz... Anik wspomniała coś o swoich włosach, że jej przeszkadzają, a wtedy on powiedział... powiedział...

— Warkocze!!! — krzyknął zrywając się na równe nogi. — Warkocze! — powtórzył już trochę ciszej.

A więc wtedy, kiedy szukając rozpaczliwie hasła, zawołał: „Anik”, nie był wcale daleki od prawdy! I to słowo, to tak wiele mówiące słowo ze starej bajki o Królowej Śniegu, również nie było zupełnie bez sensu. Przecież Piotr Jardin, przed zaśnięciem, z miłością myślał o swojej córce. Pewnie zamknął oczy przywołując w wyobraźni jej portret i być może zupełnie bezwiednie podyktował komputerowi hasło:

warkocze. Bardzo piękne hasło.

W tym momencie otworzyły się także wewnętrzne drzwi śluzy. Ujrzał niewielkie koliste pomieszczenie, pośrodku którego, przed wygaszonym panoramicznym ekranem, stał zwykły lotniczy fotel. Z boku, pod wklęsłą ścianą, znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka przypominało — wypisz, wymaluj — łożo śpiącej królowej zbudzonej przez bohatera Basia. Na prostokątnej skrzyni wyścielonej białą tkaniną i zabezpieczonej otwartą teraz przezroczystą pokrywą — spoczywał mężczyzna w kompletnym próżniowym rynsztunku. Miejscowe automaty musiały tylko co zakończyć swoje czynności, bo w ścianę chowały się jeszcze powoli dwa skomplikowane wysięgniki zaopatrzone w jakieś uchwyty, lampki, czujniki i oplecione siatką cieniutkich kolorowych przewodów.

Radek, tłumiąc rozpierającą go dumę, chciał właśnie powiedzieć możliwie obojętnym tonem: „dzień dobry”, -kiedy otrzymał takie uderzenie w plecy, że przefrunął jak ptak przez pół kabiny i wylądował na oparciu wspomnianego lotniczego fotela. Jego uzasadniony protest został jednak zagłuszony przez radosny pisk:

— Tatusiu! Tatusiu! Tatusiu!

— Anik? — zabrzmiał zdziwiony, lekko zachrypyły głos. — Anik!

Cudowną, choć tym razem na szczęście wcale nie baśniową scenę powitania „śpiącego królewicza” zmącił odgłos przytłumionego grzmotu, któremu towarzyszył silny podziemny wstrząs. Ponure siły zmieniające twar dą kometek w bryłę topniejącego lodu znowu przypominały o sobie.

— Wszys-cy-do-ła-zi-kai-Od-da-lić-się! - rozpaczliwie wołał niewidoczny robot.

Niespodziewanie zawtórował mu znajomy męski głos:

— Otwarte! Popatrz! Otwarte! Brawo, dzieci!

— Rzeczywiście, otwarte — przytaknął Daubie Alan Bysson. — Przyjechaliśmy już po wszystkim. Ale teraz musimy stąd wiać.

— Wszys-cy-d o-ła-zi-ka! -Od-da-lić-się!

— Nik, co robisz? — zabrzmiał ponownie głos Witolda Dauby.

— Jak to: co? — odpowiedział syn autora wspaniałych filmów podróżniczych. — Zdjęcia! To będzie najważniejszy moment reportażu z wyprawy na K-1. Nie przeszkadzajcie.

— Wejść przynajmniej do łazika — poradził Bysson. — Tak będzie bezpieczniej. Stamtąd też możesz kręcić.

— Nie — odrzucił propozycję rudy. — Muszę widzieć, co dzieje się wewnątrz.

Wewnątrz Radkowi udało się wreszcie podejść do Piotra Jardin, który zdążył już opuścić swoje królewskie łóżce. Trzymając w objęciach Anik, uśmiechnął się do chłopca.

— Świetnie mi się spało, ale trochę długo. Najwyższy czas pomyśleć o śniadaniu. Kto odgadł hasło? Kto powiedział: „warkocze”? — zainteresował się nagle.

Anik natychmiast wysunęła się z jego ramion, natomiast Radek ni stąd, ni zowąd poczuł, że zupełnie zaschło mu w gardle, więc zaczął pilnie pochrząkiwać. „Śpiący król” obserwował te poczynania z rosnącym zdziwieniem, po czym powtórzył:

— Kto odgadł hasło? Miałem je napisać obok wjazdu, ale przedtem chciałem przerobić nadajnik. Niestety, nie udało mi się nawiązać łączności. Próbowałem tak długo, aż wyczerpałem zapas tlenu. Wtedy komputer, nie pytając, położył mnie od razu spać. Więc co z tym hasłem?

— To ja... Przypadkiem... — bąknął niezdecydowanie Radek.

Anik spuściła głowę i odwróciła się szybko. To wystarczyło. Piotr Jardin roześmiał się i zawołał rozkładając ręce:

— No, tak! Widzę, że nie tylko mnie podobają się twoje warkocze.

— U-cie-ka-ci-U-cie-ka-ci! — nawoływał tragicznym głosem robot.

— Co wy tam robicie?! — denerwował się Dauba.

— Przestań filmować i natychmiast chodź tutaj! — krzyknął ostro Bysson. — Wsiadaj!

— Idę — odpowiedział niechętnie Nik.

— Wyłażcie już stamtąd! Hej! Ten domeczek zaraz da nura pod ziemię! — wzywał fotonik.

Piotr Jardin westchnął, przeciągnął się, po czym rozłożył ramiona, objął nimi Anik i Radka i popchnął ich do wyjścia.

— Mają rację — mruknął. Rozejrzał się ostatni raz po swojej „sypialni”. — Szkoda posterunku.

Zarówno Anik, jak i Radek opuścili jednak ciasne pomieszczenie — bez cienia żalu.

— Więc tak to wygląda — mruknął pod nosem ojciec Anik, kiedy Dauba zapoznał go pokrótce z historią K-1 i obecną sytuacją.

Wszyscy, łącznie z uniwersalnym, siedzieli w łaziku, który oddaliwszy się kilkadziesiąt metrów od miotanego coraz gwałtowniejszymi wstrząsami kopulastego budynekczku, stanął na wierzchołku jednego z wzniesień.

— Krótko mówiąc — i ciągnął z ledwie słyszalną nutką ironii Piotr Jardin — nasze położenie jest wręcz wyborne.

— Uhm... — potwierdził bez entuzjazmu fotonik. — Mamy energię, tlen[^] łazika i automat. Możemy czekać.

— Jak długo? — spytał półgłosem Jardin. Dauba zawahał się.

— Choćby i pięć godzin — odpowiedział po chwili, ze sztucznym uśmiechem. — Przywieźliśmy rezerwowe butle z „Ety”.

— Pięć godzin — powtórzył jak echo egzobiolog. Nastąpiła cisza, w której rozbrzmiewał tylko cichy szmer pracującej bez przerwy kamery. Nik postanowił zakończyć film dramatyczną sceną zagłady posterunku.

— A kiedy po nas przylecą? — Anik, przytulona do ramienia ojca, spojrzała mu z ufnością w oczy.

— Nie mamy kontaktu — przypomniał Bysson. — Anteny „Ety” poszły w strzępy. Komputer także nic nie wie. Ale założmy, że za sześć albo siedem godzin... w najlepszym wypadku.

— To co zrobimy? — przestraszył się Radek. — Skoro tlenu mamy na pięć??

— Wrócimy na teren dawnej stacji. Tam jest tlen, w tych przewróconych raketach. A może którąś z nich uda się podnieść i uruchomić? — mruknął bez przekonania fotonik. — W

gruncie rzeczy nie chodzi o tlen. Pierwsze pytanie brzmi, jak długo ta skorupa zechce jeszcze unosić na swojej powierzchni łazika...

i nas — zakończył szeptem.

— To i tak szczęście, że wróciliście akurat w momencie, kiedy mnie zbudzili — powiedział po chwili ojciec Anik. — Zawsze raźniej razem.

— Bylibyśmy wrócili wcześniej — odpowiedział Dauba — ale ładowaliśmy miotacz laserowy — wskazał kabinę drugiego łazika, z której sterczała cienka czarna rurka. — Myśleliśmy, że trzeba będzie wypalić otwór w posterunku...

— ...narażając mnie na to, że polecę zobaczyć, jak ta śliczna kometka wygląda od środka — podchwycił egzobiolog. — Piękne dzięki. Grunt to mieć oddanych przyjaciół — pokiwał głową.

— A skąd niby mieliśmy wiedzieć, że zanim wrócimy, Radek odgadnie hasło? — bronił się fotonik. — Przecież sami próbowaliśmy godzinę i nic.

Nagle stojący dotąd spokojnie łazik gwałtownie zadygotał.

— Jaz-da!-Jaz-da! — zakrzyknął robot. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy unieśli się z miejsc i z napięciem patrzyli w stronę białego budyneczku, który zaczął falować, jakby unosił się na rozkołysanym stawie. Raptem na moment znieruchomiał, a potem w ułamku sekundy zniknął im z oczu, zapadając się w otchłań. Mignęły jeszcze drgające rozpaczliwie koniuszki anten, a chwilę później czarna jama, która powstała w miejscu, gdzie kilkanaście minut temu Piotr Jardin spał za pancernymi drzwiami, zaczęła się wypełniać jakąś bezbarwną, półpłynną masą.

Pojazd, w którym stali, zatrzęsł się ponownie i przechylił niebezpiecznie na lewą burtę.

— Do-ty-łul-Do-ty-łul-Ucie-kać! — błagał uniwersalny.

— No! — odetchnął z satysfakcją Nik, opuszczając kamerę. — Mam wszystko! Ale będzie film! Szkoda tylko, że lodowe kamienie... — nie skończył.

Spojrzał na środek placyku, gdzie nie było już nawet tych rozplaszczonych placków, w jakie przekształciły się tajemnicze purchawki, i pokiwał głową.

Silnik łazika zagwizdał na wysokich obrotach. To Bysson uznał w końcu, że nie ma sekundy do stracenia. Koła pojazdu długo wibrowały w miejscu, zanim rozpędzony do granic wytrzymałości silnik wyrwał je z grzęzawiska. Szarpnęło tak, że omal nie wylecieli głowami naprzód, przez przednią szybę, ale łazik ruszył. Jakiś czas jechali jeszcze tyłem, po czym wykręcili, ominęli koliste wzgórze i przyśpieszyli.

— Bar-dzo-dobrze.-Bar-dzo-do-brze — cieszył się robot.

— Nie ma mojego łódeczka! — powiedział z melancholią Piotr Jardin. — Nie ma stacji i nie ma purchawek. A taki byłem ciekaw, co w nich siedzi! Przed katastrofą długo przecież obserwowałem ich „twórczość”. Wiecie — dodał z ożywieniem — po pewnym czasie to przestawało denerwować. W końcu wydawało mi się chwilami, że jestem na jakiejś wystawie albo na koncercie.

— Uczeni w bazie mówili, że one mogą być żywe — przypomniał sobie Radek. — Ale nie tak jak zwierzęta czy rośliny, tylko inaczej.

— Nie opowiedziałem ci jeszcze wszystkiego — rzekł cicho fotonik unikając wzroku ojca Anik. — Przez te purchawki my... to znaczy, ja...

— My — wtrącił ponuro, lecz zdecydowanie Bysson.

— My — powtórzył Nik.

— ..spowodowaliśmy katastrofę stacji, a potem nie poleciliśmy po ciebie.

Egzobiolog zaniemówił ze zdziwienia.

— Jak to! — wybuchnął wreszcie. — Co ty wygadujesz?! Przecież to właśnie wy przybyliście tutaj... gdyby nie to...

— Ale mogliśmy przylecieć wcześniej. Wiesz, Piotrze — głos Dauby brzmiał coraz chrapliwiej — proszę cię, nie mów na razie o purchawkach.

Potem szczerze, niczego nie ukrywając, opowiedział ojcu Anik całą historię.

— Dlatego zostałeś tutaj sam i o mało nie zginąłeś. Wiem, co o mnie teraz myślisz — fotonik zniżył głos do szeptu — ale bądź pewny, że ja wyciągnę konsekwencje z mojego postępu, nawet jeśli nie zrobi tego nikt inny. Jako naukowiec i jako człowiek zachowałem się... — urwał i zamknął oczy. Milczał dłuższą chwilę poruszając bezgłośnie - wargami, po

czym zakończył: — Pozwolisz, że wrócimy do tej rozmowy, kiedy będziemy już bezpieczni?

Piotr Jardin słuchał, nie przerywając, z nieodgadnio-nym wyrazem twarzy. Teraz zastanowił się jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową.

— Oczywiście porozmawiamy — rzekł poważnym głosem. — Pamiętaj tylko, że w końcu i tak zrobiliście, co do was należało, i to jest najważniejsze. A teraz jedźmy już jak najszybciej do tej stacji — zmienił ton. — Mam nadzieję, że dotrzemy do niej bez przeszkód. Robi się coraz cieplej...

Ludzi zabłąkanych na K-1 chroniły przed kosmicznym mrozem tylko cienkie warstwy specjalnych, ogrzewanych skafandrów. Otaczała ich czarna noc przestrzeni, której nie mogli ani rozjaśnić, ani ogrzać dalekie, zimne gwiazdy. W tej sytuacji słowo „cieplej” brzmiałoby wręcz niedorzecznie, gdyby w gruncie rzeczy nie było zarazem i takie zwykłe, ziemskie i takie... złowrózbnie. „Świat jest niesamowity” — przeszło przez myśl Radkowi. Niewyobrażalnie wielkie ciała niebieskie krążą po swoich orbitach, utrzymując się na nich dzięki niewidzialnym niteczkom sił grawitacyjnych. Taka Ziemia na przykład waży sześć tysięcy trylionów ton, a kiedyś, przed wiekami, wystarczyło drobne odchylenie jej osi, żeby całe kontynenty pokryły się skorupą lodu. Z kolei tutaj, na tym zamartym globiku, wzrost temperatury o jedną czy dwie kreski sprawia, że jakieś przedziwne kosmiczne twory ożywają i zaczynają nadawać, zapadają się potężne budowle, grzęzną rakiety i roboty. A ludzie mówią, że jest „cieplej”. Jak łatwo naruszyć równowagę tego wszystkiego, co widać wieczorem, kiedy patrzy się w niebo. Człowiek też jest niby mądry i silny, planuje podróże do najdalszych gwiazd, a niech tylko dziewczyna mignie warkoczami, powie coś miłego lub właśnie przykrego, już myśli uciekają mu spod czaszki jak spłoszone wróble. Wystarczy jedno słowo...

— Słowo — powiedział z zadumą na głos. — Ba! Ba--a-a-a — przeciągnął, bo akurat w tym momencie łazik podskoczył gwałtownie, pokonując garb jakiegoś wzniesienia.

— Ciągłe nie możesz mi darować tego hasła? — nie zrozumiał Piotr Jardin. — Następnym razem wymyślę coś innego. Na przykład: grzywka. Albo: peruka. Tak, peruka — ucieszył się ze swojego pomysłu. — Wtedy od razu obudzi mnie nasz nieoceniony Black Rondell!

— Tatusiu! — zawołała z wyrzutem Anik. — Pan Rondell jest łysy jak kolano!

— No, właśnie. Każdemu najłatwiej przychodzi do głowy to, co dotyczy go osobiście — odpowiedział niemiłosiernie egzobiolog. — Na przykład Radek musiał z jakiegoś nie znanego mi powodu już przedtem myśleć o warkoczach...

— Tato!

— Ciągłe nie wolno mi o czymś mówić — westchnął Piotr Jardin. — To o purchawkach, to znowu o war-ko...

— Tato!

— Po co w ogóle mnie obudziliście? Spałem sobie i pewnie miałem piękne sny... chociaż nic nie pamiętam. A teraz stale ktoś na mnie krzyczy, pod nogami bulgoce mi kosmiczne bagno i nie ma gdzie się schować. Daleko jeszcze do tej stacji? — szturchnął łokciem siedzącego obok Byssona.

— Pięć minut — odparł lakonicznie pilot. Radek uniósł się w fotelu i rozejrzał dokoła. Od pewnej chwili wzgórze zaczęły stawać się coraz niższe i łagodniejsze.

Nagle pojazd wpadł w poślizg. Silnik zakrztuszył się, po czym zawył rozpaczliwie.

— Je-chać!-Je-chać!-Nie-zwal-niać! — zawołał robot.

— Łatwo ci mówić — burknął Dauba. — Zdaje się, że będziemy raczej pływać.

— Tam gdzie stała baza, grunt powinien być twardszy — powiedział ojciec Anik, obejmując jedną ręką dziewczynę, a drugą opierając o burtę, bo łazik znowu gwałtownie zachybotał. — Teren pod budowę wybraliśmy po długich badaniach. Jeszcze trochę, no! — wykrzyknął, jakby zagrzewał do biegu żywego konia biorącego udział w wielkiej gonitwie.

I, o dziwo, pojazd usłuchał. Silnik przestał jęczeć jak zachrypnięty tenor, skoczyli do przodu i potoczyli się spokojnie dalej.

— Uff... — odetchnął z ulgą Dauba. — A już myślałem, że będzie bul-bul-bul.

— Bul-bul-bul będzie dopiero w bazie - odrzekł z niewzruszoną pewnością siebie

egzobiolog. — Jeśli Kuningas i Yaic nie postawią szampana, to zerwę z nimi wszelkie stosunki.

— W bazie... — szepnął z rozmarzeniem Radek. Zapanowało milczenie. Jechali stale naprzód, chociaż łażnik coraz częściej pośpiewywał bezsilnie, kiedy jego koła zaczynały tracić oparcie i buksować. Wreszcie ujrzeni przed sobą niewielki płaskowyż z resztkami stacji i trzema stożkowatymi cielskami rozrzuconymi na dawnym lądowisku. Nie zatrzymując się okrążyli najpierw oba statki bazy. Pierwszy tkwił już niemal do połowy zagrzebany w topniejącym gruncie. Było aż nadto jasne, że nikt nigdy nie będzie miał z niego pożytku. Drugi musiał upaść na twardsze podłoże, bo jeszcze cały jego obwód rysował się wyraźnie na tle czarnożłotego nieba. Cóż, kiedy obydwie prowadzące do wnętrza włazy znajdowały się akurat u dołu. Aby się do nich dostać, trzeba by wykopać tunel, a to oczywiście nie wchodziło w rachubę. Dopiero ostatnia rakieta, ta, którą przybyli Zadowie, choć jej dysze również się już zapadły, zapraszała szeroko otwartym wejściem. Prowadził do niego trochę tylko przekrzywiony pomost.

— Z tlenem rzeczywiście nie będzie kłopotu — stwierdził lekkim tonem Piotr Jardin spoglądając w stronę otwartego włazu. — Ale o tym, żeby podnieść i uruchomić któryś z tych statków, nie ma co nawet marzyć. Nie szkodzi. Poczekamy na inne.

Nikt nie odpowiedział. „Poczekamy? Ano, poczekamy...” — rzekł sobie w duchu Radek.

Łażnik stanął jakieś dziesięć metrów od miejsca, gdzie znajdował się pomost wiodący do rakiety Zadrów. Dłuższą chwilę wszyscy siedzieli nieruchomo w swoich fotelach, czekając, jak zachowa się łażnik. Kiedy wreszcie wychylili się, by obejrzeć jego koła, stwierdzili, że nie zapadły się one ani o centymetr. Widać miejsce pod budowę stacji było naprawdę dobrze wybrane.

— Koniec jazdy, koniec pracy, koniec wałęsania się po K-1 — ogłosił Dauba. — Teraz będziemy leżeć brzuchami do góry i czekać na obiad.

— Na kolację — poprawił Nik. — Już ciemno. Radek mimo woli spojrzął na niego ze zdziwieniem. Po raz pierwszy, odkąd zawarł z nim znajomość, rudy zdobył się na coś w rodzaju dowcipu. I to właśnie w takiej chwili.

Piotr Jardin zaśmiał się krótko.

— Masz rację! Ciemno. Ciemno, pusto i do domu daleko. Dobrze, że przynajmniej grzeją.

— Och, przestań! — wzdygnęła się Anik. — Jak możesz! Grzeją! Wszystko się topi, a ty...

— ...też zaraz zacznę się topić, tyle że z lenistwa — wpadł jej w słowo ojciec. — Ten statek także nie ma anten — zauważył zmieniając temat. — A więc kontaktu z bazą nie będzie.

Istotnie. Rakieta Zadrów w czasie upadku również straciła wszystkie anteny.

— Ko-niec-jaz-dy-ko-niec-eks-plo-ra-cji-K-1-a-le-nie-ko-niec-pra-cy — teraz dopiero odpowiedział Daubie uniwersalny. — Trze-ba-przy-nieść-ze-stąt-ku-tlen-

-o-raz-ma-ter-ia-ty-i-zro-bić-trat-wę.

— Tratwę? — zdziwił się Piotr Jardin. — Czy coś ci się nie pomyliło? Przecież ta łupina niedługo będzie tak grząska, że wessie każdą łódkę, nie mówiąc już o tratwie!

— Nie-my-lę-się-bo-nie-mo-gę-się-my-lić — odrzekł logicznie robot. — Trat-wa-ma-być-nie-do-pły-wa-nia-

-tyl-ko-do-sie-dze-nia.-Na-le-ży-roz-ło-żyć-cię-żar-lu-dzi-na-jak-naj-więk-szej-prze-strze-ni.

— Aha, rozumiem! — zawołał egzobiolog. — Słusznie!

„No tak, tratwa to jedyne wyjście — Radek zgodził się w duchu z uniwersalnym i z ojcem. Anik. — Nie możemy siedzieć w rakiecie, bo ciężki stalowy kolos z pewnością zatonie znacznie wcześniej niż inne, lżejsze konstrukcje”.

Pół godziny później tratwa była gotowa. Sporządzono ją z najróżniejszych przedmiotów — takich jak oparcia foteli, pokrywy pulpitów, stoły, a nawet obrazy — które powiązano kablami. Bysson, Dauba i Jardin wielokrotnie wracali do statku, wynosząc z niego wciąż nowe materiały. Wreszcie przytaszczyli zwoje lekkiej wykładziny, którą nakryli całą tę osobliwą konstrukcję.

Ulokowano tratwę w starannie wybranym miejscu, mniej więcej trzydzieści metrów od rakiety Zadrów. Alan Bysson jeszcze raz wrócił do niej i przyniósł rezerwowe butle z tlenem,

po czym wszyscy, jak kto mógł najwygodniej, ułożyli się na sporządzonym z takim trudem, a z pewnością jedynym w dziejach kosmo-nautyki — bagiennym „łozu”.

— Chodź i ty — Dauba skinął na uniwersalnego. — Niedługo zaczniesz nurkować.

— Nie — odparł spokojnie robot. — Mój-cię-żar—
-zwiąk-szył-by-za-gro-że-nie-lu-dzi.-Bę-dę-cho-dził-do-
-pó-ki-star-czy-mi-e-ner-gii.

I od razu przystąpił do pracowitego dreptania, w bezpiecznej odległości od tratwy.

Nikt nie zaprotestował. Nastąpiła cisza. Wszyscy leżeli twarzami do góry, zapatrzeni w piękne, ale złowrogie niebo. Mijały sekundy, z sekund powstawały minuty, te powoli, lecz nieubłaganie zmieniały się w godziny.

W pewnym momencie słuchawki próżniowych kasków przyniosły z zewnątrz jakiś głuchy szmer. Kiedy unieśli głowy, ujrzeli, że rakieta, do której jeszcze tak niedawno wchodzili po materiały na budowę tratwy i po tlen, już nie istnieje.

— Spójrzcie — szepnął zdławionym głosem Dauba, wskazując sterczące z topieliska krótkie, skrzyżowane drążki z dwoma grubymi kołami.

Dopiero po dłuższej chwili Radek odgadł, że to jest wszystko, co zostało z łazika. Jeszcze kilka sekund i poczciwy łazik podzieli los wielkiego statku.

Oderwał oczy od tego smutnego widoku i rozejrzał się. Otaczające dawne lądowisko wzniesienia zniknęły bez śladu. Krajobraz przypominał ogromną, lekko wypukłą tarczę sporządzoną z matowego szkła. Tylko że to szkło było pułapką, bardziej zdradliwą niż najgorsze bagno. „Tak — pomyślał — tlenu wystarczy. Będzie-my go mieli w butlach nawet wtedy, kiedy sami zacniemy pogrążyć się jak te statki i łazik”.

Zamknął oczy i wstrząsnął się mimo woli, czując, że po plecach maszerują mu jakieś drobniutkie, lodowate mrówki.

— Le-żeć-spo-koj-nie — upomniał automat. — Każ--dy-ruch-przy-śpie-sza-za-pa-da-nie-się.

Uniwersalny wciąż jeszcze dreptał w niedalekiej odległości od tratwy, ale jego ruchy stawały się coraz wolniejsze, a każdemu stąpnięciu pająkowatych nóg towarzyszyło głośnie mlaśnięcie.

Tuż za Radkiem leżał Piotr Jardin, obejmując ramieniem Anik. Za szybą kasku widniała poblądła twarzyczka dziewczyny. Miała zamknięte oczy i oddychała z trudem.

Radka ogarnął taki żal, że najchętniej zerwałby się i pognał wprost przed siebie — przez to mordercze, kosmiczne grzęzawisko. Lepiej się już zapaść, zginąć, byle tylko nie patrzeć na to, co stanie się tutaj, co czeka wszystkich... a przede wszystkim Anik. Anik...

Zacisnął szczękę. Przez kilka sekund trwał bez ruchu jak skamieniały, po czym nagle, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, usiadł i wrzasnął, ile sił w płucach;

— Anik! Nie! Nie! Ratunku!

— Uspokój się — rzekł cicho Piotr Jardin. — Anik trzyma się dzielnie — przytulił mocniej córkę do siebie. — To nie ma sensu.

Nagle też usiadł gwałtownie i zawołał zupełnie innym tonem:

— Co to?! Kto mówi?!

— Halo! — usłyszał Radek w swoich słuchawkach przytłumiony głos nie należący do żadnej z osób obecnych na tratwie. — Halo! Gdzie jesteście?! Bysson! Dauba! Anik! Radek! Nik! Halo!!!

Młody fotonik wstał tak szybko, że tratwa zachybo-tała i przechyliła się groźnie. Wszyscy zaczęli wołać jeden przez drugiego:

— Tu Dauba!

— Tu Jardin!

— Tu Bysson!

— Halo!!!

— Odezwijcie się! Halo! Kto wzywał ratunku?! — zabrzmiał głos z oddali,

— To Kuningas! — wykrzyknął triumfalnie Dauba.— Poznaję go!

— Halo! Profesorze Kuningas! Halo! — podchwycił ojciec Anik.

— Nie odpowiadają! — lamentował w słuchawkach czyjś lekko zniekształcony głos. — A przecież przed chwilą...

— Tu Nik! Tato! Tato!!! — włączył się do akcji rudy.
— Halo, Witold! Halo, Alan! Halo, Piotr! Czy to wy?
— Nie słyszają nas! Gdzie oni mogą być?! — jęknął fotonik.
— Sła-be-na-daj-ni-ki — zwrócił uwagę robot. — Wo-łać-głoś-niej!
Piotr uśmiechnął się przelotnie do Anik, po czym spojrzał na Radka.
— Nie ma rady, młodzieńcze — westchnął. — Tylko ty możesz tu coś poradzić. Znowu ty!
— dodał z naciskiem. — No, na co czekasz?! — huknął nagle. — Wołaj! Ale tak głośno, jak przedtem!
Do świadomości Radka wreszcie dotarło, czego się po nim spodziewają. Nabrał do płuc powietrza i ryknął:
— Tu Radek!!! Gdzie jesteeeeeeeeście?!!! Egzobiolog kiwnął z uznaniem głową.
— Tak to rozumiem — powiedział wyraźnie ukontentowany. — Jeśli teraz nie usłyszeli, to znaczy, że-polecieli na przeciwległy koniec Układu Słonecznego. A swoją drogą dziwne, że wystarczy pomyśleć: „Anik”, aby narobić wrzasku na cały kosmos. Co, córeczko?
— I ja przyleciałam tu z narażeniem życia ratować. takiego ojca! — próbowała zażartować dziewczyna.
— Cicho! Wszystko zagłuszacie! — denerwował się-Dauba.
— Możemy spokojnie zagłuszać — odparł Piotr Jardin. — Chłopak i tak ich sprowadzi. I, co najdziwniejsze, miał rację. Y/prawdzie umknęła im odpowiedź, którą Kuningas skwitował popisowy wrzask Radka, ale z dalszego ciągu wynikało, że łączność już na pewno została osiągnięta.
— Lecimy do was! — wyskrzeczwały słuchawki. — Będziemy za pięć minut!
— Wisieli nad „Eta”, to znaczy nad miejscem, gdzie się zapadła, i budowali jakąś specjalną windę, żeby ją wyciągnąć — wyjaśnił Radek, który jako jedyny cały czas słuchał, co mówi kierownik bazy. — Myśleli, że jesteśmy uwięzieni wewnątrz.
— A my tymczasem opalamy się na tratwie pod rozgwieżdzonym niebem — zaszczebotał ojciec Anik. — Ale, ale, co, u licha, dzieje się z gwiazdami? — wykrzyknął nagle z bezgranicznym zdumieniem. — Słuchaj no — zwrócił się gorączkowo do Radka — czym oni właściwie przylecieli?
Zanim chłopiec zdążył odpowiedzieć, że nie wie, niebo nad nimi z czarnogranatowego i czarnożłotego zrobiło się tylko czarne. Gwiazdy zniknęły, a ich miejsce zajęły setki drobnych białych punkcików.
— Reflektory — domyślił się Dauba. — Aż tyle?
— Łądowisko... oświetlone ładowisko! — dorzucił Bysson. — To nie jest żaden statek!
— Baza!
Piotr Jardin uniósł z podziwu ręce i stał tak, jakby się spodziewał, że ktoś zrzuci mu z góry bukiet kwiatów.
— Cała baza — powtórzył z zachwytem.
— Baza — szepnął Nik. — Naprawdę.
— Jakim cudem... — zaczął Radek, ale nie skończył. Nad ich głowami, na wysokości mniej więcej dwudziestu pięter, zawisła olbrzymia, lekko przyplaszczona bryła, która patrzącym z dołu wydała się co najmniej tak wielka, jak sama kometa. Umieszczone wzdłuż jej obwodu dysze wyrzucały smugi fioletowego ognia.
— Co z Piotrem? — zabrzmiało w słuchawkach pytanie profesora Kuningasa.
— Dziękuję, już wstałem — zaśmiał się uczoney. Odpowiedział mu zdławiony kobiecy okrzyk. Ojciec Anik natychmiast spoważniał i umilkł. Ale Kuningas i tak nie pozwoliłby mu powiedzieć nic więcej.
— No, to, jednak! — odetchnął z ulgą, po czym zmienił ton na bardziej oficjalny i polecił: — Teraz niech każdy z wezwanych odpowie krótko, jak się czuje. Anik?
— Jestem. Dobrze, dziękuję.
— Radek?
— Zdrowy.
— Nik?
— Wszystko w porządku.
— Alan?

— Zdrowy.

— Witold?

— Zdrowy.

Nastąpiła krótka przerwa, po której odezwał się jeszcze jeden głos.

— Dzie-ku-ję.-Spraw-ny.

Teraz dopiero Kuningas zaśmiał się cicho.

— Widzę, że naprawdę zdążyliśmy w porę — stwierdził. — Uwaga! Przystępujemy do ostatnich manewrów...

— Prawda! — Dauba palnął się dłonią w kask, aż ten podejrzenie zatrzeszczał. — Przecież baza także ma napęd, na wypadek gdyby trzeba było skorygować jej orbitę. Ale żeby użyć takiego kolosa do podróży międzyplanetarnej... Nie, mnie nigdy nie przyszłoby to na myśl!

— Na szczęście komuś przyszło — odpowiedział w słuchawkach wyraźny już głos profesora O,Clahy. — Nie, nie — uprzedził ewentualne pytania — nie mnie i w ogóle żadnemu z moich wielce uczonych kolegów. Przylecieliśmy tylko dzięki Basiowi i jego bajkom.

— Ścisłej mówiąc, jednej z bajek — poprawił doktor Olcha. — Pamiętacie tę o cudownej lampie Ala-dyna? Tam jest taki wielki pałac, który cały przenosi się z miejsca na miejsce jak piórko. Właśnie tę bajkę przypomniał nam Baś... i oto jesteśmy!

— Ja także pomyślałem o bajce — zawołał bez namysłu Radek — kiedy próbowaliśmy otworzyć drzwi posterunku!

— Mniejsza z tym — pisnęła Anik.

Być może Radek nie zwróciłby uwagi na ten sła-biutki protest, gdyby niespodziewanie nie wtrącił się także uniwersalny.

— Baj-ka?-Co-to-jest-baj-ka?

— Baś ci to wytłumaczy! — odpowiedział z góry głos Blacka Rondella.

Nastała chwila ciszy, a następnie słaby damski głos spytał:

— Anik?

— Proszę?

— Jak się czujesz, kochanie? — Patt mówiła tak, jakby sama miała za chwilę zapaść w ciężkie omdlenie.

— O, świetnie! — odkrzyknęła z przekonaniem dziewczyna. — Patt!

— Co, kochanie?

— Jak to cudownie, że jesteście!

— A... a twój ojciec? — Patt zająknęła się. — Czy nic mu się nie stało?

— Owszem — wyręczył córkę Piotr Jardin. — Jestem bardzo, bardzo chory, ale nie pójdę do lekarza i nie pozwolę sobie zmierzyć gorączki. Popękałyby wszystkie termometry... Patt...

Słuchawki odpowiedziały cichym: — Och! — poczym odezwał się rzeczowy głos Coxa:

— No, pięknie. A teraz proszę wsiadać.

Nad głowami rozbitków ukazała się kolistą konstrukcją przypominającą trochę ogromną miskę. Z jej o-brzeża biegła w górę poczwórna lina, której koniec ginął w czarnej chmurze otoczonej białymi gwiazdami reflektorów. Kiedy całe towarzystwo przeniosło się z tratwy do tej osobliwej windy, nadszedł także robot. Tak długo oczyszczał swoje stalowe stopy z kleistej substancji K-1, aż wreszcie zniecierpliwiony Dauba chwycił go za chrząszczowate ramię i siłą wciągnął do środka.

— Kokosisz się jak stara panna przed pierwszą randką! — parsknął. — Nie martw się! W bazie zaprowadzę cię do manicurzystki!

— Wca-le-się-nie-ko-ko-szę.-Grunt-mo-że-być-ska--żo-ny — wycedził robot i obrażony zamilkł.

Miska, kołysząc się jak balon przy łagodnie wiejącym wietrze, powędrowała w górę.

— Żegnajcie, purchawki! — zawołał Piotr Jardin, spoglądając w tę stronę, gdzie jeszcze kilka godzin temu stał jego samotny posterunek obserwacyjny. — Może kiedyś znowu się spotkamy — dodał ciszej. — Gdzieś wśród gwiazd... Wtedy zaśpiewacie inaczej i pokażecie nam ładniejsze obrazki!

— Żegnaj, „Eto” — wyszeptał Alan Bysson. Radek drgnął. Głos pilota był przejmująco smutny. „Trzeba mu koniecznie pomóc... Im pomóc” — poprawił się w duchu, zerkając na Daubę. Gorączkowo uruchomił swoje szare komórki, ale zanim wpadł na jakiś pomysł, przypomniał sobie swoje podejrzenia, że oni nie mogli działać sami. To niemożliwe, żeby

Bysson — tak po prostu — dał się namówić na nielegalny lot po purchase.

Myślał jeszcze przez chwilę, po czym widząc, że nad ich głowami coraz wyraźniej rysuje się otwarty właz, zawołał:

— Tato! Tato!

— To ty, Radku? — odezwał się natychmiast' doktor Olcha.

— Tak! Słuchaj, ja naprawdę chciałem ci wcześniej o wszystkim powiedzieć, ale...

— Wiem już — mruknął z przekąsem ojciec. — Nie składało się.

— Tak... to znaczy, nie. Ja... Tato, pan Dauba i nasz pilot byli wspaniali! — krzyknął niespodziewanie dla samego siebie. — Jeśli nawet przedtem zrobili coś, czego nie powinni, to potem polecili sami ratować ojca Anik, opiekowali się nami, jeździli od posterunku do „Ety”, dowozili tlen, narzędzia...

— Przestań — przerwał mu ze ściśniętym gardłem Dauba — przestań... Ale Radek nie zważał na nic.

— Tato! — wołał z desperacją. — Skoro ktoś ich namówił... Tato, ten Cox na pewno coś wiedział? To, co mówił, że nie można przywozić na Ziemię niezbadanych przedmiotów, wiesz, wtedy kiedy w tym niby-parku coś spadło z nieba, pasuje jak ulał do historii purchase! Potem jeszcze kilka razy mówił tak, jakby wiedział, co „Eta” przywozła z K-1 i co było w tej sondzie, która wybuchła! No i sam ją przecież zniszczył. A w nocy na lądowisko, gdzie pan Alan i Witold rozmawiali o swoim locie, przyszedł także profesor Fufurya! Od razu sobie pomyślałem, że nie trafił tam przypadkiem. Pan Dauba wyśmiał mnie, jak mu o tym mówiłem. Ale ja przecież widziałem, że profesor robił przedtem różne obliczenia. Widziałem go, wyświetlał wzory na „zielonej” ścianie! Na lądowisku nic nie powiedział, bo był tam także Nik, ale... On także może należeć do szajki!

— Coooo? — w słuchawkach odezwał się dźwięk, jakby startowała staroświecka syrena alarmowa.

Młody fotonik otrząsnął się z przygnębienia i słuchał wywodów Radka z rosnącym zdziwieniem. Kiedy padło słowo „szajka”, położył chłopcu rękę na ramieniu i powiedział zaskakująco pogodnym głosem:

— Nie, nie, dziękujemy ci z Alanem za dobre chęci, ale profesor nie należy do żadnej szajki. I naprawdę-o niczym nie wiedział.

— Co!!! Co!!! Co!!! — syrena wzniosła się w najwyższe rejestry i tam eksplodowała głosem znakomitego grawitonika. — Szajka?! Ja?! Ha!

— Mówićmówićmówić! — napomniał go profesor O,Claha.

— Nie!!! — zaryczał Fufurya. — Potem! Teraz skarcić! Zmiażdżyć! Szajka!!! Ja!!! Ooooo!

— Nie gniewaj się, Mig — próbował udobruchać uczonego doktor Olcha. — Chłopiec ma za sobą ciężkie przejścia. Nie wie, co mówi.

— Tato! — wybuchnął Radek, do głębi wstrząśnięty tą haniebną zdradą.

— A Buddy Cox także nie jest hersztem bandy —

dopełnił miary profesor Kuningas — tylko pracowni-Tciem Centrali Ochrony Planet. Przyjechał specjalnie, żeby zbadać lodowe kamienie przed ich ewentualnym przewiezieniem do któregoś z laboratoriów. A poza tym polecono mu zająć się sprawą pilota Alana Byssona.

— Nie ma sprawy Byssona, jest tylko moja — przerwał Witold Dauba. — Obiecałem mu, że po powrocie na księżyc Saturna, do Ośrodka Wielkich Szybkości, dołożę wszelkich starań, aby mógł znowu latać na raketach dalekiego zasięgu. Ja sam jestem winien.

Radek pogodził się już z tym niecnym: „nie wie, co mówi”, którym ojciec skwitował jego rewelacje. Pogodził się z faktem, że Fufurya go zmiażdży i że Cox nie jest złoczyńcą, tylko wprost przeciwnie. Od pewnej chwili po prostu przestał cokolwiek rozumieć — iż tym także pogodził się pokornie oraz bez zastrzeżeń. Głowę miał pełną kojącego szumu, jakby leżał na plaży, nad wzburzonym morzem. Z najwyższym trudem przyjął do wiadomości, że w monotonny huk fal wmieszał się jeszcze jakiś dźwięk.

— Wiesz co — to Nik nachylił się do niego i mówił półgłosem. — Chciałbym, żebyś był współautorem naszego filmu. Ojciec na pewno będzie zadowolony. Razem napiszemy tekst. Z tego, co tu zostało powiedziane, wynika, że trzeba nakręcić sporo dodatkowych scen, aby wszystko widzom wyjaśnić. Sam bym nie potrafił. Zresztą jesteś jednym z głównych bohaterów. Co ty na to?

Gdyby Radek był odrobinę mniej oszołomiony, ten przejaw niebywale wielkoduszności ze strony sztywnego rudzielca sprawiłby go niewątpliwie w stan nieziemskiej euforii. Teraz jednak skinął tylko ręką, po wtórzył z łagodną zadumą: — Co ja na to?... Co ja na to?... — i umilkł.

Myliłby się wszakże ktoś, kto by sądził, że była to ostatnia próba, jakiej — w czasie krótkiej wędrówki miskowatą windą — została poddana skołatana głowa pogromcy kosmicznych przemytników.

Zaledwie umilkł głos Nika, z przeciwnej strony dobiegł cichutki szept Anik:

— Radku, jesteś bardzo miły. Cieszę się, że powiedziałeś to wszystko o panu Daubie i Byssonie. Oni są bardzo dzielni, a ty... ty... Dziękuję ci za tatusia i...

W tym momencie podróż dobiegła końca. Winda zatrzymała się pośrodku jasno oświetlonego lądowiska. Temperatura na polu startowym szybko wzrastała, sprężarki tłoczyły powietrze i po chwili przezroczysta, pancerna przegroda spłynęła pod podłogę. Gospodarze — z Blackiem Rondellem i Patt Hardy na czele — rzucili się w stronę przybyłych. Zabrzmiały radosne okrzyki, ludzie ściskali się i całowali, pytania i odpowiedzi padały tak szybko, że żaden komputer nie byłby w stanie zarejestrować, kto akurat mówi i o czym.

Radek nie słyszał nic. Wysiadł z miski, machinalnie uwolnił głowę od próżniowego kasku i kroczył z powagą przed siebie. Ktoś ustąpił mu z drogi, ktoś inny na jego widok wydał cichy okrzyk przestachu. Wreszcie ujrzał przed sobą roześmianą twarz ojca. Wtedy nagle poczuł, że jego nogi, które wytrzymały ostatnio tyle trudów — dziką walkę na pokładzie „Ety”, dreptanie po kosmicznym grzęzawisku, loty, skoki i upadki — teraz bez żadnego powodu zaczynają wykrzywiać mu się do tyłu, jakby zamiast kolan miał słabe sprężynki, w dodatku założone zupełnie niewłaściwie. W uszach wciąż dźwięczały mu ostatnie słowa Anik i nie przestały dźwięczeć nawet wtedy, kiedy podłoga lądowiska zatoczyła wielki łuk, przemieszczając się nad jego głowę.

Leżąc usłyszał jeszcze muzykę polegającą głównie na biciu w wielki bęben, ale nie zdołał już odgadnąć, że to profesor Fufurya żąda pomocy dla niego. Zamknął oczy i pograżył się w błogiej ciszy.

— Prędko do kącika medycznego! — zawołał O,Cla-ha unosząc głowę chłopca i tocząc dokoła zalęknionym wzrokiem.

— Co mu się stało? Co mu się stało? — powtarzała blada jak kreda Anik.

— Odsuńcie się.

Doktor Olcha wrócił prowadząc robota obsługującego salkę medyczną. Kilka sekund później Radek, unoszony w ramionach automatu, wędrował na fotel diagnostyczny. Wszyscy poszli za nim. Kiedy na głowę chłopca nasunął się wielki hełm opleciony barwnymi kabelkami, obecni zamarli w niemym oczekiwaniu.

Wreszcie z głośnika przystawki lekarskiej komputera padły słowa:

— Receptory żołądka za pośrednictwem nerwu błędnego atakują mózg badanego, powodując zaburzenia ośrodka „G” w okolicy podwzgórzowej. Diagnoza: stan psychiczny wywołujący dążenie do pobrania paliwa. Terapia: normalne postępowanie polegające na uzupełnieniu zasobów energetycznych. Koniec.

— Jak to: koniec?! — wykrzyknęła ze zgrozą Patt. — Co to znaczy?

— Receptory... nerwy... mózg... żołądek... — szeptała zbielełymi wargami Anik.

Doktor Olcha wyprostował się i potoczył po zebranych smutnym wzrokiem.

— Sytuacja jest bardzo, bardzo poważna — oznajmił tragicznym szeptem. — Obawiam się ponadto, że wszyscy cierpimy na to samo, co Radek. Trudno... — zrobił dramatyczną pauzę — ...będziemy musieli ostro zabrać się do roboty w kuchni.

— Do czego? — oczy Patt zrobiły się okrągłe jak spodki.

— Do roboty w kuchni! — astrofizyk nie mógł już dłużej utrzymać powagi i parsknął wesołym śmiechem. — Mój syn miał trochę za dużo wrażeń, ale przede wszystkim jest po prostu głodny! To widać rodzinne — dodał zerkając na Basia, który stał nieco z tyłu i niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

— Głodny?

— Owszem — Piotr Jardin roześmiał się także. — Najwyczejniej w świecie zemdlął z głodu, a komputer wytłumaczył nam tylko fachowo, na czym to polega!

— I wy się śmiejecie! — wydyszał z oburzeniem Black Rondell załamując ręce. — To nieludzkie! Biedny, biedny chłopiec! Natychmiast do jadalni!

— Do jadalni! — podchwycił wesoło O,Claha mrugając porozumiewawczo na Basia.

Królowa kosmosu

— ... no a potem, zdaje się, zemdlałem. Nie mam pojęcia, co mi się stało, przepraszam.

Radek spuścił oczy, kończąc tym aktem zakłopotania swą długą i szczegółową opowieść o przebiegu wyprawy ratunkowej i wszystkich tajemniczych zdarzeniach, które ją poprzedziły.

— Ugryzł! On! Wiedziałem! — zawołał Fufurya, krzywiąc twarz w szatańskim grymasie.

— Byłeś bardzo głodny — rzekł łagodnie profesor Yaic. — Nic dziwnego. Cały dzień bez jedzenia... I to taki dzień!

Radek obrzucił wzrokiem stół i skrzywił się z niesmakiem. Jedzenie! Brrr... Nie do wiary, że można zemdleć z głodu!

W jadalni zapanowała cisza. Oprócz Radka i profesorów: Fufury i Yaica, znajdowali się tutaj: ojciec Radka, Oleg Zadra z Nikiem, białowłosey delegat Centrali Ochrony Planet, Piotr Jardin, no i oczywiście Baś. Bysson i Dauba zniknęli gdzieś zaraz po szczęśliwym powrocie do bazy, profesor Kuningas dyżurował samotnie w dyspozytorni nadzorując pracę automatów, które prowadziły wielkiego satelitę z powrotem na orbitę Neptuna, a Patt Hardy, .Anik, gruby chemik i profesor

O,Claha z tajemniczymi minami ulotnili się, mamrocząc coś niezrozumiale o jakichś gospodarskich obowiązkach.

Milczenie przerwał profesor Fufurya łypiąc w stronę Radka.

— Było nie było, jesteśmy górą! Kosmos! Potwory! Purchawki! Człowiek: bach! — zilustrował sposób, w jaki ludzie radzą sobie z sekretami i pułapkami wszechświata. — Mógłbym cię ostatecznie zabrać do gwiazd — zaopiniował łaskawie — gdybyś nie miał zwyczaju obgryzania palców uczonym i oskarżania ich, że są bandziorami. Ha!

— Niech pan profesor będzie zadowolony, że skończyło się na oskarżeniach — powiedział zuchwale Nik. — Gdyby pan widział, jak on zwał z nóg Daubę, używając Anik w charakterze maczugi!

— To było dawno i nieprawda — zaśmiał się jego ojciec, przymrużając łobuzersko lewe oko. — Nikt w ogóle nie wie, o czym mówisz. A poza tym na twoim miejscu siedziałbym cicho — dodał, poważniejąc. — I tak, prędzej czy później, pociągniemy cię za język. Zdaje się, że będziesz nam musiał to i owo wyjaśnić. Na przykład szczegóły twojej umowy z Daubą i Byssonem.

— Nik był bardzo dzielny — zaprotestował gorąco Radek. — On pierwszy zorientował się, dokąd leci „Eta”. Potem kierował automatami i... nakręcił film...

Twarz Nika stała się nagle czerwona jak jego własne włosy.

— Nie — mruknął przykrywając powieki. — Nie, zachowałem się głupio i nieładnie. Tylko, tato, zamiast dużo mówić, ja... przez pół roku nie zajrzę do mojej kolekcji — podjął bohaterską decyzję.

Wszyscy spojrzeli na niego z przejęciem. Wreszcie Oleg Zadra odchrząknął jakoś dziwnie i powiedział:

— Zawsze wierzyłem w wychowawcze właściwości podróży kosmicznych i okazuje się, że miałem rację — podróżnik silił się na żartobliwy ton, lecz w jego głosie brzmiało tłumione wzruszenie. — W świetle tego, co usłyszałem, uważam, że pół roku to za długo... — zawahał się — powiedzmy, trzy miesiące.

— Pół roku — powtórzył z uporem Nik. Buddy Cox wstał.

— Pójdę do Byssona i Dauby — oznajmił. — Dość długo już siedzą sami.

— Poczekaj — zatrzymał go Piotr Jardin — co z nimi będzie?

Białowłosey rozłożył ręce.

— To nie zależy ode mnie — westchnął. — Jeśli chodzi o Byssona, miałem powołać komisję, aby orzekła, czy może on wrócić do dawnej pracy.

— Jak to? — spytali równocześnie Radek i Oleg Zadra. — To kim Alan był?

— Pilotem dalekiego zasięgu w Ośrodku Wielkich Szybkości — odpowiedział pracownik

Centrali Ochrony Planet. — Tam właśnie poznał Witolda Daubę. Bysson oblatywał eksperymentalne modele rakiet, był prawdziwym asem. Dwa lata temu miał wypadek. Niegroźny, ale komisje lekarskie badające pilotów są, jak wiecie, niezwykle skrupulatne. Obawiano się, że uraz, którego doznał, może kiedyś dać znać o sobie, i to w najmniej odpowiednich okolicznościach. Krótko mówiąc, dano mu licencję pilota średniego zasięgu i odesłano go do grupy patrolowej. Prosił, odwoływał się, ale nic nie pomogło. Jego ostatnie podanie trafiło jednak do Centrali i nasi specjaliści orzekli, że sprawa zasługuje na ponowne rozpatrzenie. Ponieważ i tak akurat leciałem tutaj w związku z purchawkami, obarczono tą misją mnie. Miałem zebrać najlepszych pilotów, uczonych i lekarzy z Instytutu Galaktycznego, a także

Ośrodka Wielkich Szybkości, żeby ostatecznie zdecydowali, czy Alan może odzyskać dawną licencję. Teraz... — zawahał się — powinien właściwie złożyć nadzwyczajny raport i czekać, co z tego wyniknie. Ale faktem jest, że jako pilot Bysson wykazał się pełną sprawnością... Nie wiem... — zakończył niezdecydowanie.

— Jednak poleciał w tajemnicy przed wszystkimi na K-1 — mruknął po chwili Yaic. — Jednak zabrał lodowe kamienie, chociaż to groziło nieobliczalnymi następstwami.

— No, właśnie — westchnął Cox. — Cóż, takiego postępku nie można usprawiedliwić. Nie — powtórzył, jakby odpowiadając na pytanie, które sam sobie w duchu postawił. — Ale... Co innego usprawiedliwić, a co innego: zrozumieć. Widzicie, dla Alana latanie było wszystkim. Przeniósł się do bazy instytutu, bo nie chciał pozostać jako pilot średniego zasięgu tam, gdzie był znany jako najlepszy oblatywacz, mistrz w swoim fachu. Wszystkim było głupio, kiedy odjeżdżał. Dlatego pozwolono mu zabrać raketę, na której latał przed wypadkiem.

— „Ete!” — wyszeptał bezwiednie Radek. Cox skinął głową.

— Tak, „Ete!”. Już wtedy kiedy lecieliśmy na orbitę Trytona, „Eta” wzbudziła moje podejrzenia. Odpowiedź z Centrali te podejrzenia potwierdziła. No, ale wracajmy do historii Alana. Potem na K-1 znaleziono grające kamyczki, a równocześnie do bazy przybył na staż Witold Dauba. Znać go lepiej ode mnie. To zapaleniec, jeden z tych, dla których pierwszy lot w gwiazdy to zaledwie wstęp do podróży poza Galaktykę, w najdalsze zakątki wszechświata.

— Wszyscy tak myślimy — wtrącił doktor Olcha.

— Ale nie wszyscy zapominamy przy tym, po co tam chcemy lecieć i... dla kogo. Nik to już rozumiał. -Białowłosa uśmiechnął się przelotnie, po czym mówił dalej: — Wy pewnie nie znacie historii walki z kosmicznymi przemytnikami, nas jednak uczą tego, kiedy zaczynamy pracę w Centrali. W końcu to nie tak dawno, zaledwie dwieście lat temu. Działy wtedy bandy wyposażone w świetny jak na owe czasy sprzęt, które nielegalnie przywoziły na Ziemię odłamki skał z planet i asteroidów, bryłki gruntu, minerały, rudy i szczątki meteorytów. Sprzedawano je za bająćskie sumy.

— Komu? — wykrzyknął z niedowierzaniem Radek. — Któż to kupował? Przecież uczeni i tak mieli do nich dostęp.

— Nie wszyscy uczeni — odpowiedział z naciskiem Buddy Cox. — Na przykład nie mieli do nich dostępu młodzi stażyści, nawet tak zdolni, jak Witold Dauba. Ale wtedy nie chodziło o naukę... W każdym razie nie tylko o naukę. Pamiętajcie, że działały jeszcze wielkie, prywatne koncerny, które bez skrupułów walczyły ze sobą o zyski. One były głównymi klientami przemytników. Istniała przecież możliwość odkrycia nowych pierwiastków, drogocennych kopalni, w ogóle tajemnic przyrody, które można by wykorzystać w przemyśle, żeby prześcignąć i zniszczyć konkurentów. A poza tym wówczas także byli kolekcjonerzy — znowu uśmiechnął się do Nika. Zaraz jednak spowaźniał. — Opowiadam te stare dzieje, bo chociaż dziś nie ma już przemytników, ale czasem w którymś z nas w chwili słabości odezwą się echa najrozmaitszych złych nawyków odziedziczonych po przodkach. Gdyby wszyscy zawsze umieli zapanować nad sobą, niepotrzebna byłaby moja Centrala. Przecież nikt nie chce świadomie szkodzić Układowi i ludziom. Witold Dauba także myślał tylko o tym, że purchawki mogą się przyczynić do odkrycia energii, która przybliży nam gwiazdy. Uległ swojej pa sji zapominając, że nie wolno mu tego robić. Nie zawahał się nawet wciągnąć w swoją grę Byssona. Ba, obiecywał, że pomoże mu odzyskać dawną licencję. Wątpię, czy taki stary wyga, jak Alan, uwierzył w to, że Dauba; choćby nawet chciał, naprawdę może mu pomóc, ale...

bardzo tęsknił do dalekich lotów. Wyprawa na K-1, prawdziwy, niebezpieczny lot to była z kolei dla niego gratka, której nie potrafił się wyrzec. Wziął „Eteę” i wystartował. Dalszy ciąg znacie. Tak... — zrobił krótką pauzę. — Widzicie — podjął z namysłem — mówimy o winie Dauby i Byssona. Cóż, początkowo rzeczywiście myśleli tylko o tym, żeby się nie zdradzić. Jednak kiedy ujrzeli eksplozję na orbicie Trytona i kiedy wysłuchali opinii komputera, szybko doszli do wniosku, że nie wolno czekać na wezwane przez bazę statki. Poleciali. Wyprawa ratunkowa była niebezpieczna, jak sami najlepiej wiecie, ale, oni nie bali się o swoje życie. Tracili znacznie więcej. Obydwaj wszystkie swoje pragnienia i ambicje związali z badaniem i podbojem kosmosu. Czym dla Byssona jest latanie, tym dla Witolda nowe paliwa i supersilniki. Z tego, przynajmniej w ich własnym mniemaniu, musieli zrezygnować, przyznając się, że chcieli nielegalnie zdobyć purchawki. Nie mogli przecież liczyć na to, że ten postępek ujdzie im płazem... Bysson był pewny, że raz na zawsze pożegna się z raketami, już nie tylko dalekiego zasięgu, natomiast Dauba uważając, że żaden z zespołów pracujących w kosmosie nie zechce go mieć w swoim gronie, postanowił wrócić na Ziemię i zapomnieć o gwiazdach. A jednak poleciali, aby ratować człowieka. Z pewnością nie usprawiedliwia ich wcześniejszego postępku to, że jeden bardzo chciał latać, a drugi budować superszybkie silniki. Natomiast fakt, że tak prędko nie tylko uznali swój błąd, lecz zdecydowali się go także naprawić rezygnując z oso-

bistych marzeń, wystawia im, przynajmniej w moich oczach, już całkiem inne świadectwo. Nie wiem, co wy o tym myślicie... Ja jednak zwołam tę komisję i zrobię wszystko, żeby Alan odzyskał swoją dawną licencję.

— A ja — przerwał zdecydowanie profesor Yaic — nie puszcę Dauby na żadną Antarktykę! Chyba że będzie chciał wrócić do Ośrodka Wielkich Szybkości. Jest za zdolny na to, aby miał podlewać kwiatki na Ziemi.

— Tak! — zawołał Fufurya. — Błąd! Wina! Różnie bywa... — zniżył głos i zamyślił się. — Nie ten jest odważny, kto w ogóle się nie boi, tylko ten, kto umie przewyciężyć swój strach — zamruczał po chwili. — To samo dotyczy innych cech naszego charakteru. Bywa, że palnie się głupstwo albo coś nabroi. To jeszcze niewiele świadczy o człowieku. Najważniejsze, jak zachowa się potem. No, co się gapisz? — ni stąd, ni zowąd huknął na Coxa, który odruchowo uniół ręce w obronnym geście. — Idź już! Sprowadź ich tutaj i powiedz, że Patt... — urwał nagle i łypnął wściekle oczami. — O mało się przez ciebie nie wygadałem! — warknął. — No, zmykaj!!!

Nie musiał powtarzać tej tak uprzejmie wyrażonej propozycji. Białowłosy uśmiechnął się, obrócił na pięcie i wyszedł.

Radek żywo interesował się losem młodego fotonika i pilota nie istniejącej już „Ety”, toteż z należytym skupieniem wysłuchał przemowy Coxa. W pewnym momencie doszedł jednak do wniosku, że ktoś taki, jak pracownik słynnej Centrali Ochrony Planet, stanowczo powinien się bardziej streszczać. Tym łatwiej przyszło mu teraz oderwać się myślami od dobrych i złych cech charakteru człowieka w ogóle, a Dauby oraz Byssona w szczególności. Jego zainteresowanie skupiło się na znakomitym grawitoniku. „O mało się nie wygadałem...” Co to miało znaczyć? Znowu jakieś tajemnice?

— Panie profesorze, pan miał nam zdradzić jakiś sekret? — zagadnął chytrze, z niewinnym uśmiechem.

— Ja? — Fufurya nagle ponownie przeistoczył się w człowieka-węża, w dodatku węża miotanego gorączkowym tańcem. — Ja?!

— Przed chwilą wspomniał pan coś o Patt — podsunął przymilnie chłopiec. — Pan Cox poszedł powiedzieć Daubie i Byssonowi, że Patt...

— Aaaa! — przerwał mu straszliwy ryk grawitonika. — Ty podstępny szpiegu! Nie dość, że podsłuchujesz, za co powinienesz być posiekany, pokropiony smołą i wystrzelony na jakąś kometę, gdzie kosmiczne potwory zrobiłyby z ciebie czarne purchawki, to jeszcze potem masz czelność brać mnie na spytki! Mnie! Sekret? Pewnie, że mam sekret! Wezwałem tutaj całą moją bandę, buahahahaha! — roześmiał się tak, że wszyscy obecni dostali gęsiej skórki. — Jestem przecież zbirem! Hersztem kosmicznych piratów! No, na co czekasz? Wyrwij komuś nogę i daj mi nią po głowie, bo potem będzie za późno!!!

Niewykluczone, że chłopiec, oszołomiony nagłą napaścią, uczyniłby zadość woli profesora

Fufuryi, ale w tej właśnie chwili przedstawienie zostało przerwane, bowiem od proga dobiegł ich donośny głos O,Clahy:

— Muzyka! Fanfary! Naprzód marsz!

Z głośników rzeczywiście popłynęły dźwięki fanfar. Od pierwszych tonów obecni zorientowali się, że słuchają melodii słynnego marsza galaktycznego grywanego tylko przy szczególnie uroczystych okazjach. A chwilę potem w takt muzyki do jadalni wkroczył okazały, świąteczny orszak. Otwierała go Patt Hardy dźwigając przed sobą tacę, na której pysznił się przeogromny tort, tym razem w kształcie latającego zamku z Basiowej bajki.

„Znowu!...” — jęknął w duchu Radek, myśląc z rozpaczą, że jak tak dalej pójdzie, za rok będzie grubszy od najgrubszego z łakomych łysych chemików.

Zaraz jednak otrząsnął się z tej koszarnej wizji, bo za Patt ujrzał wdzięczną główkę Anik. Dziewczyna kroczyła z dumnym wyrazem twarzy, ale w jej niebieskich oczach chłopiec dostrzegł jakieś przekorne figlarne ogniki, które go zachwyciły, choć równocześnie wprawiły w dziwne zaniepokojenie. Za Anik, także obarczoną jakimś słodkim ciężarem, szedł Black Rondell, wyprzedzając profesora Kuningasa sprowadzonego specjalnie na tę okazję z dyspozytorni. Dalej, wysoko nad głowami innych, lśniły w świetle lamp białe włosy Coxa. Pochód zamykali Bysson i Dauba. Byli bladzi i wymi-zerowani, ale nikły uśmiešek na twarzy fotonika świadczył o tym, że przedstawiciel Centrali Ochrony Planet zdążył im już powiedzieć coś, co trochę poprawiło ich samopoczucie.

— A to niespodzianka! — zawołał z radosnym zdumieniem profesor Yaic.

— Brawo, brawo! — Oleg Zadra błyskawicznym ruchem wyrwał swoją kamerę Nikowi, zanim ten zdążył odskoczyć na bezpieczną odległość.

Rudy spojrział na ojca z niemym wyrzutem, ale szybko zapomniał o doznanej krzywdzie, a nawet po chwili zaczął nucić pod nosem melodię marsza. Wypadło to trochę cienko i trochę — co tu ukrywać — fałszywie, lecz przecież podróżnik i badacz kosmosu nie musi być zaraz śpiewakiem operowym.

— Wyszło szydło z worka! — zaśmiał się Cox. — To jest dopiero prawdziwy spiszek! Nawet mnie nie powiedzieli, co tam pitraszą!

— Ja wiedziałem — pochwalił się Mig Fufurya wykonując skróconą wersję swojego najpiękniejszego węzowego piruetu. — Wiedziałem! — powtórzył triumfalnie. — Ale nikomu ani mru-mru, chociaż ten szpieg — łypnął na Radka — chciał ze mnie wszystko wyciągnąć!

— Ach! Ach! Ach! — powtarzał Baś nie mogąc wymówić nic więcej.

Doktor Olcha przyjrzał się promieniejącej szczęściem twarzy swojej młodszej pociechy, następnie zerknął na Anik i Radka, po czym niespodziewanie wpadł w istny szal radości. Porwał za ręce synów i — nie zwracając uwagi, że obaj powiewają nad podłogą na kształt karnewałowej serpentyny — wirował w miejscu z oszałamiającą szybkością, a następnie zaczął wycinać hołubce, których próżno by szukać w jakimkolwiek podręczniku tańca.

Uroczysty korowód okrążył stół i zatrzymał się. Wtedy profesor Kuningas rozwinął wielką kolorową płachtę i zawiesił ją na ścianie. Zabłysła korona słoneczna, z której strzeliły promienie, prześwietlając artystyczne wyobrażenia planet i satelitów. Splecione w uścisku ludzkie dłonie unosiły drzewo, na którym przysiadł rój wielobarwnych motyli. Dopiero z bliska można było dostrzec, że te motyle to pięknie wymodelowane flagi.

Doktor Olcha znieruchomiał, co jego synom pozwoliło na powrót nawiązać kontakt z podłogą.

Pierwszy odzyskał mowę Radek.

— Godło! — zawołał z przejęciem. — Godło! Nastąpiła cisza. Wszyscy patrzyli jak urzeczeni w słoneczny obraz symbolizujący treści drogie każdemu człowiekowi.

— Mamy przecież Błękitne Igrzyska — powiedział wreszcie profesor Kuningas, na próżno starając się pokryć wzruszenie żartobliwym tonem. — Już ostatni dzień, ale dotychczas, jak wszyscy wiecie, nie mieliśmy ani głowy, ani ochoty do zabawy. Za to teraz jesteśmy wreszcie razem, nikomu nic już nie grozi, stacja K-1 zakończyła działalność. Może nieco inaczej, niż to leża-

ło w naszych planach, ale — tak czy owak — swoje zadanie spełniła znakomicie. Najwyższy czas uczcić Wielką Rocznicę. A poza tym powinniśmy okazać naszą wdzięczność i uznanie

ludziom, którzy u progu drogi do gwiazd wykazali się odwagą i hartem ducha, zdając wielki kosmiczny egzamin. Sądzę — profesor spojrzął na udekorowaną przez siebie ścianę — że to godło będzie najwłaściwszym tłem dla małej uroczystości, którą postanowiliśmy powitać... a właściwie pożegnać Błękitne Świąta.

— Dni Starej Ziemi — Piotr Jardin uniósł wysoko brwi i rozejrzał się ze zdziwieniem. — Zupełnie zapomniałem.

— Nie ty jeden — zapewnił go Oleg Zadra.

— No, a teraz — szczipłą twarz Kuningasa rozjaśnił szeroki uśmiech — prosimy bohaterów! Bartosz Olcha!

— Ooiii! — zawiadomił o swojej obecności wezwany.

— Podejdź bliżej.

Kierownik bazy Instytutu Galaktycznego skinął na Basia i odebrawszy od Patt tacę, ceremonialnie wręczył ją chłopcu. Ten natychmiast zbliżył nos do powierzchni smakowitej konstrukcji. Na jego okrągłej twarzy odmalował się wyraz niewystłowionej błogości.

— Uuuuu... — zaintonował.

Odpowiedziały mu zmieszane głosy oczarowanych widzów. Tylko profesor Kuningas zachował niezmaconą powagę.

— To dzięki tobie mogliśmy uratować naszych kolegów i przyjaciół, którym groziło, że pochłonie ich topniejąca kometa. Podsunąłeś nam pomysł, jak się okazało, skuteczny. Niech twoja fantazja zawsze służy ludziom i pozwoli ci przeżyć najpiękniejszą bajkę wśród gwiazd. Dziękuję.

— Cudo! —zawołał Oleg Zadra. — Od dziś zaczy nam uczyć się na pamięć wszystkich bajek! Może i ja kiedyś zasłużę na taki tort!

— Za późno — burknął życzliwie profesor Fufurya. — Jesteś za stary.

Baś, odprowadzany oklaskami, wrócił na swoje miejsce przy stole, a profesor Kuningas wezwał z kolei jego brata.

— Radosław Olcha!

Drugi bohater ruszył bez pośpiechu w stronę uczonego.

— Dajcie mu kość — mruknął Fufurya. — Będzie mógł sobie trochę poćwiczyć zęby.

— Tsss — uciszył go niecierpliwie O,Claha.

— Poczekajcie! — krzyknął Piotr Jardin. — Zostawcie to mnie!

Odebrał od córki prezent przeznaczony dla Radka, spojrzął chłopcu prosto w oczy i powiedział poważnie:

— Dziękuję. Gdyby nie ty, spałbym teraz dalej, ale już snem wiecznym. I przepraszam wszystkich, że wymyśliłem takie hasło.

— Och, hasło było wspaniałe! — bez zastanowienia zaprotestował rozpromieniony Radek.

Za jego plecami rozległy się przytłumione śmiechy, które jednak ustały, jak nożem uciął, kiedy po raz drugi zabrzmiało: — Dziękuję — tym razem wypowiedziane cichym cienkim głosikiem. Wszyscy niczym na komendę zwrócili głowy w stronę Anik.

Dziewczyna, zarumieniona z zażenowania, dodała sobie odwagi przybierając wyzywającą minę, z czym zresztą było jej szalenie do twarzy.

— Zrobiłam to sama — powiedziała odrobinę za głośno. — Nie wiem, czy będzie ci smakowało.

Chłopiec z trudem oderwał wzrok od jej lekko przymrużonych niebieskich oczu, by obejrzeć swój upominek. Patrzył przez chwilę, jakby nie dowierzając samemu sobie, po czym z jego piersi wyrwał się zdławiony okrzyk:

— Nie! Dlaczego?

Na białej okrągłej tacy leżał — zwinięty jak wąż — złocisty warkocz sporządzony z mieszaniny najwymyślniejszych kremów. Pachniał tak, że można było dostać zawrotu głowy.

— Nie podoba ci się? — spytała niewinnym głosikiem Anik, teraz dopiero spuszczać oczy. — A mówiłeś...

— Ależ on jest zachwycony — przerwał jej wyręczając syna doktor Olcha — tylko z wrażenia stracił mowę. A poza tym zastanawia się pewnie, co by tu zrobić, żeby ten słodki warkocz zachować na zawsze w takim stanie, w jakim jest teraz! Niestety, to niemożliwe. Nawet jeśli go zamknie w sondzie i wystrzeli w przestrzeń, Baś i tak do niego trafi. Ale przecież możesz zawsze popatrzeć na oryginał! — podsunął Rad

kowi zdumiewająco proste rozwiązanie. — Pewnie kiedyś razem polecicie do gwiazd, a mam nadzieję, że Anik nie zmieni fryzury. Zresztą stanowczo tak właśnie powinna pokazać się istotom z innych światów — stwierdził autorytatywnie, mierząc dziewczynę zachwyconym wzrokiem. — Od razu nabiorą wysokiego mniemania o mieszkańcach Ziemi.

— Święte słowa — podchwycił z namaszczeniem Piotr Jardin. — Prawda, córeczko?

Anik za całą odpowiedź okręciła się szybko wokół własnej osi, tak że jej warkocze zamigotały w powietrzu jak bengalskie ognie.

— Pięknie! Pięknie! — Black Rondell poklepał się z radości po łysinie.

Radek ocknął się wreszcie. Nadal nie bardzo wiedziała co ma zrobić z tym warkoczem, który trzymał przed sobą, ale zrozumiał, że powinien zabrać głos.

— Ja przecież tylko przypadkiem... — wyjąkał. — Wcale nie myślałem, że to będzie hasło, ale Anik przekrzywił się kask i nie mogła go poprawić, więc zawołałem... a właściwie samo mi się powiedziało...

— Nie myślałeś? — powtórzyła cichutko Anik. Patt Hardy wybrała sobie akurat ten moment, aby szepnąć Radkowi od siebie: — Dziękuję ci za... za wszystko.

Tego było już bohaterowi za wiele. Przycisnął do piersi tacę, tak że o mały włos jej cenny ładunek, przedmiot powszechnego podziwu, nie przeistoczył się w bezkształtny placek, i uciekł na swój fotel.

— Nik Zadra! — zawołał z kolei profesor Kuningas, równocześnie demonstrując upominek przeznaczony dla syna słynnego podróżnika.

Na podstawie przypominającej pagórkowatą powierzchnię komety leżały ułożone w zgrabny stosik... jajowate białe bryłki.

— Purchawki — pośpieszył rozproszyć ewentualne wątpliwości O,Claha.

Nik wzdrygnął się i odruchowo zrobił krok do tyłu.

Nie zrażony tym profesor Kuningas uśmiechnął się i powiedział:

— Te są z najlepszych lodów, jakie udało nam się zrobić. Ale pomyśleliśmy także o twoich zbiorach. Na podstawie danych, które otrzymaliśmy ze stacji K-1, nasz komputer odtworzył kilka lodowych kamieni. Na oko nikt nie odróżni ich od prawdziwych, chociaż, niestety, nie będą umiały grać ani malować. Może znajdziesz dla nich jakiś kącik w swoim pokoju. Bądź co bądź to duża osobliwość.

— Powiedziałem, że nie chcę pur... — zaczął ponuro Nik, ale nagle urwał.

Z jego twarzą zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Najpierw zrobiła się zupełnie okrągła, potem wyciągnęła się i wygięła jak księżyc na nowiu, a wreszcie na tym księżycu zajaśniał prawdziwie słoneczny uśmiech.

— Oho — mruknął sceptycznie ojciec uszczęśliwionego kolekcjonera — coś mi się zdaje, że i trzy miesiące to będzie za długo.

Powiedział to bardzo cicho, ale Nik miał słuch równie dobry, jak profesor Fufurya. Spoważniał, wyprostował się i, patrząc ojcu prosto w oczy, rzekł dumnie:

— Pół roku.

— Za co on właściwie dostał te purchawki? — spytał z udaną dezaprobatą O,Claha. — Pewnie chodziło wam o to, żeby Zadrowie mieli rekwiizyty do tego ich filmu... A właśnie, właśnie — zamachał rękami — uprzedźcie mnie, kiedy będzie nadawany, żebym przypadkiem nie oglądał. Miałem ostatnio tyle gwałtownych wzruszeń, że jeszcze jedno, a zwariuję z kretesem i lecąc do gwiazd będę ryczeć od rzeczy jak mój uczonego przyjaciel.

Zerknął z ukosa na Fufurę, ale ten nie zdążył się zrewanżować żadną uprzejmością, bo profesor Kuningas nie dopuścił go do głosu.

— Za to, że umiał z nich zrezygnować — odpowiedział na pytanie matematyka — choć z pewnością nie przyszło mu to łatwo. No, dość już tego gadania. A te-raz finał!

Anik, Radek i Nik, a także Dauba i Bysson, sami nie wiedząc kiedy, ustawili się w jednym szeregu. Reszta stanęła na wprost nich. Z głośników jeszcze raz popłynęły dźwięki fanfar, a kiedy umilkły, kierownik bazy Instytutu Galaktycznego powiedział krótko:

— Gratulujemy załodze „Ety” śmiałej wyprawy, dzięki której wrócił do nas żywy i cały Piotr Jardin. Ogłaszam koniec uroczystości — wyrecytował jednym tchem. — To znaczy jej pierwszej części.

Odetchnął z ulgą i zmienił ton na mniej oficjalny.

— A teraz bohaterowie mogą się zabrać do warto znaczy, chciałem powiedzieć... Zresztą wiecie, co chciałem powiedzieć — zakończył zadowolony z siebie.

Całe wystąpienie, a zwłaszcza jego ostatnia część, zostało przyjęte burzliwymi brawami i śmiechem. Tylko Dauba i Bysson nie dali się ogarnąć fali wesołości. Pierwszy z nich chrząknął i z nisko zwieszoną głową wystąpił krok do przodu.

— Mnie nie powinno się dziękować — wykrztusił. — Ja...

— Kolego Dauba — przerwał mu profesor Yaic, mierząc go przenikliwym spojrzeniem spod swoich krzaczastych brwi, które bardziej niż kiedykolwiek przypominały teraz kępę wyschniętych ostów — muszę was niestety zganić za niesubordynację.

Na twarzy fotonika przygnębienie ustąpiło miejsca najszczerzszemu zdumieniu.

— Za niesubordynację? Mnie? — wyjąkał.

— A co? Czy profesor Olaf Kuningas nie jest tutaj gospodarzem i szefem? Czy nie powiedział chwilę temu: „dość gadania”? Tak, tak. Niesubordynacja, kolego! — teraz dopiero uczony uśmiechnął się przyjaźnie dając do zrozumienia, że żartuje.

Dauba pokręcił głową, jakby się z czymś nie zgadzał, ale bez słowa wrócił na swoje miejsce. Oburzył się natomiast ktoś inny.

— Jak to?! — wykrzyknął O,Claha. — Nie wolno gadać? Itomabyćświęto? To ja pójdę na korytarz, uruchomię „zieloną” ścianę i przywołam tłum Kuningasowi Wygłoszę godzinną mowę, przekonam ich, że są obrzydliwymi, despotami, którzy wydają nieludzkie za-rządzenia, zwymyślam Miga, pokąsam jakiegoś bohatera — zerknął obiecująco na Radka — i dopiero będę wiedział, że żyje! Nie dość, że nie dali mi nawet tyciu-teńkiego — pokazał na palcu jak małego — sucharka, to jeszcze mam siedzieć niczym mysz pod miotłą? Nie-doczekanie!

— A ja nigdzie nie pójdę, tylko zwymyślam cię tutaj i od razu — zapowiedział wyginając się ochoczo czło-wiek-waż.

— Niech mówią — wstawił się za uczonymi Oleg Zadra. — Będzie wesoło!

— Nie wszystkim — doktor Olcha stropił się nagle. — Uczciliśmy fantazję Basia i czwórkę bohaterów ostatniego lotu „Ety”, ale zapomnieliśmy o piątym... a raczej o piątej. Nie pojmuję, jak to się mogło stać, że Anik nic nie dostała — stwierdził z żalem.

Dziewczyna zaśmiała się.

— Och, nie szkodzi! Zresztą ja... — posmutniała nagle i spojrzała po sobie — ja muszę dbać o linię — zakończyła z zabawną powagą.

— Bo chodziło o niespodziankę — odezwała się zafrasowana Patt Hardy — a Anik brała udział w przygotowaniach. Nie mogła przecież zrobić niespodzianki samej sobie. Ale to rzeczywiście niesprawiedliwe.

— Niech sobie za to wyobrazi najpiękniejszą bajkę, a my będziemy ją oklaskiwać — zaproponował Black Rondell. — Chociaż troskę o linię uważam za niebezpieczny przesąd.

Obrzucił krytycznym spojrzeniem Zgrabną sylwetkę dziewczyny.

— Taka chuda... — rozczulił się.

— Bajka? Niech będzie bajka! — zgodził się O,Claha. — Śpiący królewicz już się zbudził, to może wreszcie zobaczymy coś wesołego i... bohaterskiego! No, Anik!

— Śpiący królewicz? — spytał krzywiąc się Piotr Jardin. — To o mnie?

— A o kim? — huknął Fufurya. — Gdzie się człowiek obrócił, widział tylko ciebie; na brylantowym łożu, w jakimś cudacznym pałacu! A jaki byłeś przystojny! Myślałby kto... ha!

— Naprawdę? — ucieszył się egzobiolog.

— To co z tą bajką? — przypomniała szybko Patt, unikając wzroku „śpiącego królewicza”.

Piotr Jardin zaczął się w nią jednak wpatrywać tak uporczywie, że piękna autorka świątecznych niespodzianek musiała wreszcie unieść głowę i spojrzeć mu w oczy. Jej smagła twarz momentalnie okryła się ciemnoczerwonym rumieńcem.

— Bajka?! — zawołała raptem szczególnym głosem Anik, która bardzo uważnie obserwowała tę scenę. — Dobrze.

Podbiegła do ściany naprzeciwko godła, stuknęła w nią lekko palcem i oto...

— Znowu! — jęknął Fufurya.

— Cicho bądź! Potwora obejrzysz sobie w lustrze! — skarcił go scenicznym szeptem O,Claha.

Część jadalni przeistoczyła się w przebogata, pałacową komnatę. Na środku, dokładnie tak, jak przedtem w bajce Basia, stało kryształowe podwyższenie z szerokim lśniącym od złota i klejnotów łóżem. Zajmował je Piotr Jardin w książęcym stroju. Nagle do sali wbiegła dziewczyna.

— Ona pokazuje, jak to było, kiedy cię budzili — szepnął do egzobiologa Rondell.

Mylił się jednak. Dziewczyna nie miała bowiem kasztanowych warkoczy. Jej czarne włosy opadały łagodnymi falami na ramiona. W pewnym momencie odwróciła się twarzą do widzów.

— Patt! To jest Patt! — ucieszył się Baś.

— Anik... — wyszeptała błagalnie prawdziwa Patt, ale nie zdążyła powiedzieć nic więcej.

Jej wyobrażenie na ścianie pochyliło się nad śpiącym królewiczem i złożyło na jego czole długi pocałunek. Wtedy Piotr Jardin obudził się, podniósł i wyciągnął ramiona do swojej wybawicielki.

— Zdrada! — zawołała Patt biegnąc do ściany. Uderzyła w nią dłonią, a kiedy pałac zniknął, stała jeszcze dłuższą chwilę nieruchomo, wstrzymując oddech i przyciskając ręce do piersi. Wreszcie odwróciła się powoli, ukazując zebrany twarz, na której błąkał się jakiś nieodgadniony uśmiezek.

— To ładna bajka — powiedziała przerywanym głosem — ale kogoś tam brakowało. Jak myślisz?

Pytanie to było zwrócone do córki obudzonego przed chwilą księcia.

W ciszy, która teraz nastąpiła, szept Anik zabrzmiał tak wyraźnie, jakby wyszedł z ust profesora Fufuryi znajdującego się akurat u szczytu formy.

— Tatusiu, -ja bardzo lubię Patt. Ojciec pochylił się, przytulił dziewczynkę do siebie i odpowiedział takim samym szeptem:

— To się nieźle składa, córeczko, bo ja też szalenie ją lubię. Jak myślisz — ciągnął z chytrym, a zarazem trochę nieśmiałym uśmiechem — czy możemy jej to powiedzieć?

Anik krzyknęła cicho i rzuciła się w stronę Patt, ciągnąc ojca za sobą.

— No i tego... uhm... tak... — dał wyraz swemu wzruszeniu profesor Stanko Yaic.

— Kobieta! Piotr! Sen! Osłabienie! Fiksum-dyr-dum! — orzekł znieruchomiały z wrażenia Fufurya. Następnie zastanowił się głęboko i powiedział już zupełnie innym tonem: — Nie rozumiem, dlaczego to mi się tak podoba. I oni także mi się podobają — odkrył ze zdziwieniem. — Ba, ja ich nawet lubię!

— Cudcudcud! — krzyknął O,Claha. — Starynastro-szonopytonprzemówiłludzki mgłosem! Ale do licha teraz z gadami! — przerwał sam sobie, biegnąc w stronę uszczęśliwionej trójki. — Hura! Wiwat! Niech wszystkie gwiazdy i księżycy będą dla was szczęśliwe! — Bardzo się cieszę — powiedział szczerze i poważnie profesor Kuningas.

Po nim pośpieszyli z życzeniami pozostali. Kiedy wreszcie wszyscy umilkli, z rogu sali dobiegł charakterystyczny szmer kamery.

— Nie wiem, czy widzowie uwierzą, że tak było naprawdę — mruczał Oleg Zadra nie przestając filmować — i czy nie zarzucą mi, że specjalnie spreparowałem taki sentymentalny finał. Ale co robić. Życie bywa piękniejsze niż filmy.

— Wezwanie do dyspozytorni! — oznajmił w tym momencie przez głośnik główny komputer bazy. — Wezwanie do dyspozytorni!

— Akurat w takiej chwili?! — zachnął się Black Rondell.

— Idę — profesor Kuningas westchnął i ruszył w stronę drzwi.

Stanko Yaic poszedł za nim.

— Ja też! — wyrwał się Nik.

— I ja — dorzucił Radek.

Piotr Jardin uwolnił z uścisku Patt i Anik, po czym potrząsnął głową.

— W takim razie niech idzie także moja córka, a z nią Dauba i Bysson — powiedział z udaną powagą. — Ta piątka ostatnio wszystko robi wspólnie...

— ...a ponieważ baza nie ma już bodaj latawca, którym mogliby po kryjomu nawiać na drugi koniec Galaktyki, więc nie musimy ich nawet wiązać — dokończył gładko doktor Olcha.

Koniec końców poszli wszyscy. Profesor Kuningas zajął swoje miejsce przed panoramicznym ekranem. Po obu stronach wielkiej tarczy, na tle miliardów gwiazd, zawisły znajome rybie sylwetki.

— Statki... — szepnął Bysson.

— Dopiero teraz — w głosie Radka zabrzmiała duma.

— Halo, baza! — zadudniło w głośniku. — Zgłasza się rakieta badawcza dalekiego zasięgu „Kopernik”.

— Halo! — zawtórował pierwszemu drugi męski głos. — Tu statek flagowy Instytutu Galaktycznego „Albert”. Mówi Lud Arbanin. Odebraliśmy dokładną relację z przebiegu ewakuacji K-1 i wyprawy ratunkowej. Czy baza ma dość energii, by wrócić na orbitę Neptuna o własnych siłach?

— Tak — odparł Kuningas. — Witam, profesorze.

— To ja witam i pozdrawiam was serdecznie — padło z głośników. — A także gratuluję świetnie przeprowadzonej operacji. Nie zdążylibyśmy ocalić Piotra Jardin. Na mój wniosek Rada Naukowa postanowiła przyznać wszystkim ratownikom, którzy brali udział w ostatnim rejsie „Ety”, krzyże Orderu Pierwszej Gwiazdy. Jeszcze raz gratuluję.

— Dziękuję — odrzekł kierownik bazy. Odwrócił się i odszukał wzrokiem Anik, Byssona, Daubę, Radka i Nika. Wyglądali tak, jakby jedna z Ba-siowych kosmicznych wrózek przemieniła ich w kamienne posągi. I nic dziwnego. Order Pierwszej Gwiazdy, zwany także Krzyżem Słonecznym, był przyznawany niesłychanie rzadko. W dodatku gratulacje składał im sam legendarny Lud Arbanin, nestor astrofizyków, dyrektor Instytutu Galaktycznego.

— Nie dziękuj — odpowiedział Kuningasowi słynny uczoney. — To wam i tylko wam należą się podziękowania. Baza i stacja K-1 znakomicie wykonały swoje zadanie. Zebrane przez was dane potwierdzają, że możemy już polecieć, aby przyjrzeć się bliżej innym Słońcom i ich planetom. A jeśli chodzi o te lodowe kamienie... Cóż, spotkamy jeszcze nie jedną i nie dziesięć zagadek, tak w naszej Galaktyce, jak i w innych. Ale przecież gdyby pewnego dnia zabrakło zagadek, życie straciłoby dla nas sens. Może trafimy do ojczyzny purchasek już w pierwszym locie, a może w dziesiątym lub setnym. To nieważne. Kiedyś odkryjemy je na pewno. Zresztą także sama kometa K-1 wróci do nas za kilka tysięcy lat. Kto wie, czy znowu nie znajdziemy na niej czegoś ciekawego? Cóż znaczą lata... W chwili gdy otwieramy przed ludzkością cały wszechświat. A właśnie, byłbym zapomniat. Powiedz Migowi, że jego teoria wykorzystania słabych galaktycznych pól grawitacyjnych do podróży z szybkością nadświetlną została powszechnie uznana za największą naukową rewelację stulecia. Wszystkie placówki są w stanie prawdziwej euforii. Powołaliśmy zespoły, które zajmą się budową silników przystosowanych do wzmacniania sił grawitacyjnych. Stanko będzie miał nowe zajęcie.

Zmienił nagle temat i ton,

— Co teraz robicie?

Upłynęło kilka sekund, zanim profesor Kuningas ochłonął z wrażenia i mógł odpowiedzieć.

— Właśnie zaczęliśmy obchodzić Błękitne Igrzyska. Wcześniej nie mieliśmy do tego głowy.

— To bardzo dobrze, że teraz macie! — zaśmiał się Arbanin. — W takim razie nie przeszkadzam. „Kopernik” i „Albert” będą was eskortować do Neptuna. Możecie spokojnie świętować. Żeby wam to ułatwić, przerywam łączność. Odtąd będę się kontaktował tylko z komputerem bazy. Dla was mnie nie ma. Życzę wesołej zabawy. Koniec.

Kuningas próbował jeszcze coś powiedzieć, ale urządzenia łączności pozostały głuche i nieme.

Baza wędrowała pod dobrą opieką przez bezmiar międzyplanetarnej przestrzeni. Lud Arbanin nie żartował. Postanowił, że załoga wielkiego satelity beztrudnie spędzi ostatnie godziny lotu i było to postanowienie nieodwołalne.

— Mig, dlaczego nic nam nie powiedziałeś?! — profesor Yaic podszedł żywo do Fufury. Na jego twarzy malowała się radość i zaniepokojenie.

— Przyjmij moje gratulacje — uściśnął serdecznie kościstą dłoń grawitonika. — Bardzo się cieszę. Ale powiedz coś więcej o tej teorii.

Człowiek-waż wygiął się do tyłu i zrobił niechętną minę.

— Siły grawitacyjne w przestrzeni międzygwiazdowej są bardzo słabe, ale jeśli tym mądrалom, konstruktorom, uda się zrobić silniki, które będą je stale wzmacniać, to statek o takim napędzie będzie też stale przyspieszał, aż wreszcie osiągnie każdą szybkość, jaka nam się tylko zamarzy. Jednak na razie to tylko hipoteza.

— Ale wspaniała! — wykrzyknął z entuzjazmem doktor Olcha.

Profesor Kuningas pokręcił głową i powiedział:

— Skoro Arbanin mówił o największej naukowej rewelacji stulecia, a Rada Naukowa powołała od razu zespoły robocze, to chodzi o coś więcej niż hipotezę. Gratuluję, Mig. Serdecznie gratuluję. Że też nie pisałeś ani słówka!

— Niezupełnie — mruknął jeszcze bardziej ponuro Fufurya. — Black i Sean wiedzieli. Pierwszy określił charakterystykę paliwa, jakie mogłoby napędzać silniki wzmacniające, a drugi pomógł mi w ostatniej fazie, przy obliczeniach. Ja je potem tylko sprawdziłem.

— No i odkryliśmy nowy spiszek! — zaśmiał się Cox. — Jak tak dalej pójdzie, będę musiał wezwać na pomoc cały zespół Centrali!

— Obyśmy takich spisków mieli bez liku — rozmarzył się profesor Yaic. — A kiedy właściwie zdażyłeś przekazać swoją teorię Radzie Naukowej? — zwrócił się znowu do Fufuryi. — Tyle się tu ostatnio działo.

— A działo się, działo — przytaknął grawitonik. — Obliczenia sprawdziłem w nocy na korytarzu i zaraz nadałem je na Ziemię. A chwilę później zostałem pokąsany — dodał przewracając groźnie oczami.

Radek osłupiał. Więc wtedy, w nocy, Fufurya posłużył się „zieloną” ścianą, żeby ostatni raz przed opublikowaniem sprawdzić swoje odkrycie. Odkrycie, które być może otworzy ludziom drogę do gwiazd, na krańce wszechświata! A on myślał... on myślał...

Z odrętwienia wyrwał go cichy głos Witolda Dauby.

— A ja, głupi, szukałem rewelacji w purchawkach — szepnął fotonik. — Tymczasem rozwiązanie przyszło z Ziemi... bo przecież umysł człowieka należy do Ziemi...

— Jak zwykle, jak zwykle — odpowiedział Daubie równie cicho profesor Yaic. — Kosmos wiele już nas nauczył, a w przyszłości z pewnością będziemy mu mieli jeszcze więcej do zawdzięczenia. Przecież Ziemia z kolei należy do kosmosu. Cieszę się jednak, że to powiedziałeś. Będziemy razem pracować nad tymi silnikami, prawda?

Fotonik otworzył usta, ale nie był w stanie wykrztusić słowa.

Nagle dyspozytornię przeszył straszliwy ryk genialnego odkrywcy.

— Co to?! Co to?! Precz! Nie życzę sobie! — wrzeszczał Fufurya, który teraz dopiero zauważył, że Oleg Zadra cały czas celuje w niego obiektywem swojej kamery. — Przynajmniej uczesałbym się i zrobił mądrą minę — zakończył łagodniej, choć z wyraźną pretensją.

Słynny podróżnik — zupełnie nie speszony gromami, jakie spadły na jego głowę — odjął kamerę od oka.

— Musiałem przecież sfilmować autora naukowej rewelacji stulecia, w momencie kiedy przyjmuje pierwsze gratulacje — powiedział. — Ale nie martw się, profesorze — dodał przymilnym tonem. — Sportretuję cię także, kiedy będziesz w pełnej gali.

— Wtedy nikt go nie pozna — zauważył pogodnie O,Claha.

Wszyscy się roześmieli, a profesor Kuningas, uprzedzając ripostę człowieka-węża, zawołał wesoło:

— Przybyło nam bohaterów! Patt i spółka będą musieli znowu popracować w kuchni. A teraz zróbmy tak, jak nam radził Arbanin, i zacznijmy wreszcie świętować.

— Wszystko pięknie — podchwycił Piotr Jardin. — Tylko że mieliśmy już bajki dla dziewcząt, torty dla chłopców, a gdzie jest szampan dla królewiczów i odkrywców?

— Znajdzie się i szampan — zapewnił go poważnie-Black Rondell.

— Całe szczęście — odetchnął egzobiolog. — Wypiję zdrowie bohaterów i utopię własne smutki. Ani warkocza, ani Orderu Pierwszej Gwiazdy.

— Naprawdę? — zdziwił się z figlarnym błyskiem. w oczach Oleg Zadra. — A mnie się wydawało, że kto jak kto, ale właśnie ty zdobyłeś tutaj swoje s ł o Ń c e!

Patt skwapliwie mu przytaknęła.

— Oczywiście! W ogóle jest bajecznie! — orzekła z przekonaniem. — Lodowe kamienie, wystrzelenie stacji, wyprawa ratunkowa, hasło, odkrycie profesora Fufuryi, Krzyże Słoneczne. Może to naprawdę tylko bajka? Baś, czy przypadkiem nie wymyśliłeś tego wszystkiego?

— Nie — odrzekł po krótkim zastanowieniu Baś. — To nie ja.

Doktor Olcha spojrział z uśmiechem na syna, po czym nagle spowaźniał.

— Bajka... — powtórzył jakby do siebie. — Kto wie, kto wie? Czy to nie bajka, że potrafiliśmy pokonać wszystkie kłopoty, od których roiła się nasza ziemską historią,

zlikwidować choroby, głód, granice i uczynić z mieszkańców Ziemi jedną wielką rodzinę? Czy to nie bajka, że ludzie umieli budować wciąż doskonalsze maszyny, a równocześnie pisać wiersze, malować, komponować symfonie i wymyślać cudowne historie o śpiących królewnach, dobrych wrótkach, Kopciuszkach i Czerwonych Kapturkach? Czy to nie bajka, że są bajki? A to, że mądry uczonek, układając się do samotnego snu w hibernatorze na dalekiej komete, ostatnią myślą przywołał obraz pewnej dziewczęcej główki z warkoczami i że potem znalazł się ktoś, kto w porę krzyknął: „warkocze!” — czy to nie jest cudowne? Albo że budując supermozgi i komputery, wyzywając gwiazdy, tak łatwo się wzruszamy, cieszymy, martwimy. I że chociaż pracy poświęcamy życie, to kochamy

tylko ludzi? — Odwrócił się nagle twarzą do ekranu i wskazał niebo z biliardami gwiazd. — A czy to nie bajka, że istnieje wszechświat? I że my będziemy tam...

o, tam, gdzie świeci to złote oczko.

Uderzył palcem w dolny róg tarczy, trafiając w ja-kaś małą gwiazdkę.

Przez chwilę było cicho jak makiem zasiał. Wszyscy utkwili wzrok w mikroskopijnej iskierce, która w istocie była ogromnym Słońcem otoczonym planetami, gdzie — być może — ktoś inny w tym samym momencie myślał o tym samym i tak samo jak ludzie...

Profesor Kuningas westchnął. Było to jakby hasło do powrotu z czarnego nieba na ziemię, a raczej na pokład podróżującej przez przestrzeń ziemskiej bazy.

Stanko Yaic uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Ładnie to powiedziałaś, ale...

— ...ale za długo! Za długo! — wpadł mu w słowo Fufurya. — Miało już nie być gadania! Teraz jeszcze zacznij ten krzykacz — wyszczerzył zęby do O, Cla-hy — i będzie po świętach!

— A żebyś wiedział, że zacznę! — podchwycił z entuzjazmem matematyk. — Ale nie mowę, tylko ba! Orkiestra! Szampan! Efekty! Główne atrakcje: cudowne dzieci i człowiek-waż! Tańce! W pierwszej parze Patt i Piotr! Zaraz za nimi ja z Anik!

— A Baś udekoruje ściany — uzupełnił Rondell. — Chodźmy, chodźmy!

Dyspozytornia opustoszała. Pozostał tylko Radek ciągle jeszcze zapatrzony w ekran z gwieżdzistym niebem i... Anik.

W pewnym momencie chłopiec, jakby czując na sobie jej wzrok, odwrócił się.

— To ty... — szepnął.

Zrobił krok w stronę dziewczyny, stanął, westchnął i z ogromnym skupieniem zaczął rozglądać się po podłodze.

— Wszyscy już poszli — powiedziała cicho Anik. — Chodź, bo zaczną... zaczną się niepokoić — wybrnęła zwycięsko.

— Tak, idę — przytaknął potulnie Radek, nie ruszając się z miejsca. — Wiesz, chciałem ci coś powiedzieć — wyrzucił z siebie jednym tchem z jakimś rozpaczliwym pośpiechem.

— Tak?...

— Tak.

Nastała cisza. Niebieskie oczy czekały, skryte pod długimi rzęsami.

— Bo widzisz — powiedział wreszcie Radek — to hasło, które wymyślił twój tatuś, było ładne, ale jaja wolałbym „Anik”. Imię — wyjaśnił. — Masz naprawdę śliczne warkocze... Tylko że nie same warkocze... To znaczy, cała jesteś... jesteś... — urwał.

— Jestem?... — powtórzyła po jakimś czasie dziewczyna.

Radek podjął jeszcze jeden desperacki wysiłek.

— No... w ogóle...

Dłuższą chwilę milczenia znowu musiała przerwać Anik.

— A wiesz, ja tobie chciałam także coś powiedzieć. Chłopiec poruszył kilkakrotnie wargami, zanim zdołał wyszeptać:

— Tak? Co?

— To samo, co ty mnie! — usłyszał w odpowiedzi, a w następnym ułamku sekundy poza nim w dyspozytorni nie było już nikogo.

Dobre pół minuty stał jak zamurowany, po czym nagle podskoczył, wydał serię zduszonych, niepodobnych do niczego odgłosów i rzucił się pędem w stronę drzwi.

Jadalnia przemieniła się w olśniewającą salę balową. Snop światła jedyne reflektorka padał na godło Starej Ziemi. Poza tym w przestronnym pomieszczeniu panował półmrok. Tym wyraźniej rzucał się w oczy olbrzymi obraz wyczarowany przez Basta na ścianie naprzeciw godła. Było to jakby niebo, ale widziane z Ziemi, z wielkim księżycem, błyszczącymi latarniami sztucznych satelitów i cieniutkimi łukami ognia wyrzucanego przez roje rakiet. Wszystko to zasnuwała błękitna mgiełka tłumiąca lśnienie gwiazd.

Radek szedł coraz wolniej, wolniej, aż wreszcie stanął tuż za Anik, akurat w momencie kiedy Baś zawołał:

— Sezamie, otwórz się!

Niewyraźna mgiełka pękła niczym rozdarta zasłona i cały przestrzenny obraz zaczął się szybko powiększać. Widzowie doznali wrażenia, że to oni sami nagle wyruszyli w głąb nieba i zaczęli z niesłychaną szybkością zbliżać się do najdalszych gwiazd. Zniknął księżyc i rakiety, za to z otchłani kosmosu wypływały wciąż nowe świecące ślimaki Galaktyk, rozżarzone obłoki, błękitne, białe i czerwone słońca otoczone wianuszkami pięknych planet.

— Sezamie, otwórz się! — powtórzył Baś. Obraz ponownie rozdzielił się na dwie części. Gwieździsta przestrzeń umknęła w prawo i w lewo, odstawiając wewnątrz pałacowej komnaty jeszcze bogatszej i piękniejszej od tych, które załoga bazy podziwiała w czasie poprzednich seansów. W jej centralnym punkcie — zamiast kryształowego łoża — stał na marmurowym podwyższeniu ogromny, błękitny, lśniący od klejnotów tron. Nie był pusty. Siedziała na nim jakaś postać w gronostajowym płaszczu i w imponujących rozmiarów koronie, z berłem i złotym jabłkiem. Ze ścian, jakby pokrytych świeżym szronem, padały na nią migotliwe, brylantowe refleksy. Obraz rósł, zbliżał się, aż wreszcie wszyscy rozpoznali rysy twarzy bajkowego monarchy, a raczej monarchini.

— Anik! — krzyknęła cicho Patt.

Rzeczywiście. Postać na tronie miała ogromne niebieskie oczy, a spod jej korony spływały dwa kasztanowe warkocze.

— Królowa Śniegu — szepnął bezwiednie Radek. Powiedział to bardzo cicho, ale nie za cicho dla Ole-
ga Zadry, który stał tuż obok.

— Królowa Kosmosu! — poprawił słynny podróżnik. - Brawo, Baś! Świetny pomysł! Przecież i tak musielibyśmy wybrać królową balu! Zostanie nią sama Królowa Kosmosu w całym blasku swego galaktycznego majestatu!

— To nie ja...

Baś rozejrzał się dokoła. Ale kiedy popatrzył na starszego brata, na jego okrągłej twarzy odmalowało się

zrozumienie. Dziwna rzecz, tym razem nie przyszło mu nawet na myśl rozgniewać się na Radka za to, że po raz któryś z rzędu uzupełnił jego wyobraźnię własnymi myślami.

— No, dobrze — mruknął łaskawie. — Niech to już będzie nasza wspólna bajka.

— Tak to rozumiem! — ucieszył się doktor Olcha. — Brawo, Baś! Brawo, Radek! — dodał po chwili, przyjrzawszy się uważnie ślicznej twarzyczce władczyni.

W tym momencie królowa — nie ta ze ściany, tylko ta z krwi i kości, i... warkoczy — potrząsnęła niecierpliwie główką. Kąciki jej warg drgnęły nieznacznie, jakby chciała się uśmiechnąć, ale coś jej w tym przeszkodziło. Na jej twarzy odmalowało się skupienie.

Do pałacu lekkim krokiem wbiegł smukły rycerz w przepysznym stroju. Zbliżył się do tronu, oddał monarchini grzeczny, choć nie uniżony pokłon, po czym wziął ją za rękę. Królowa wstała. Wtedy rycerz na chwilę odwrócił się w stronę widowni.

— Radek! — zawołał tłumiąc śmiech doktor Olcha. — Gratuluję, synu!

— Mogłem się tego spodziewać — mruknął z melancholią Nik.

Władczyni i jej towarzysz nie zwracali uwagi na głosy dochodzące z widowni. Trzymając się za ręce, zaczęli iść w głąb sali. Kiedy doszli do zamykającej ją ściany, ta jeszcze raz pękła i rozsunęła się. Znowu załśniły mgławice, kolorowe słońca, księżyce i planety. Pałacu już nie było. Pozostała mknąca w nieskończoność nieba ciemnoniebieska smuga jakiegoś dziwnego światła. Królowa Kosmosu wraz ze swoim rycerzem szli tą smugą wciąż wyżej i wyżej, coraz mniejsi, coraz bledsi na tle mijanych gwiazd, aż wspięli się ku najdalszej Galaktyce i zniknęli wśród jej złocistych pierścieni.